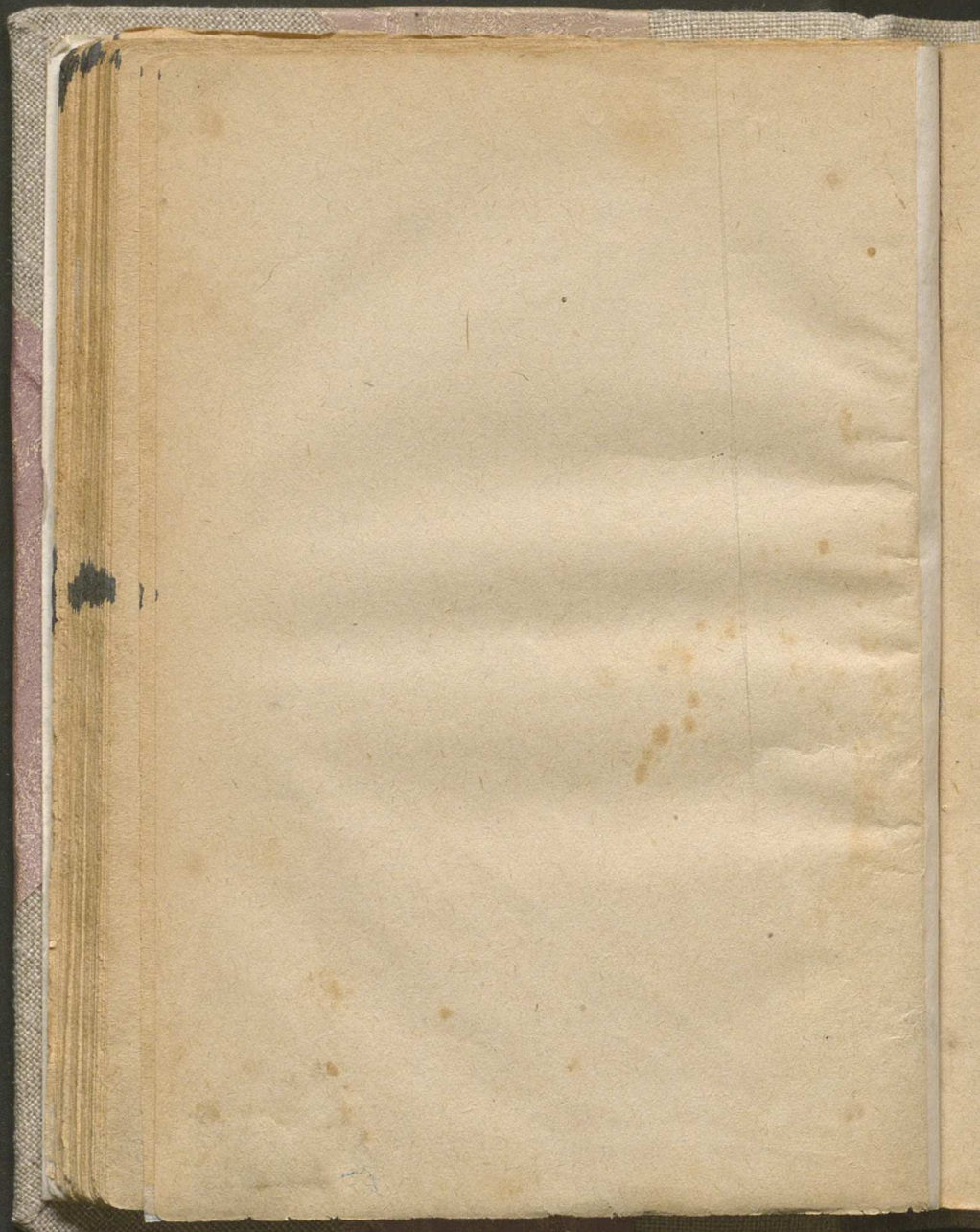


I. 292.750

ŚWIAT ZAGINIONY



CONAN DOYLE

ŚWIAT ZAGINIONY

Tłumaczenia autoryzowane
A. SPERO

TOM II.



SKŁAD GŁÓWNY
WSTOWARZYSZENIU PRACOWNIKÓW KSIĘGARSKICH
Spółka zogr. odp.

T. 292.750

ROZDZIAŁ IX.

„Któż mógł to przewidzieć?”

Zdarzyło się nam coś okropnego. Ktoby to mógł przewidzieć? Nie widzę żadnego wyjścia z tej sytuacji, i kto wie, czy nie jesteśmy skazani na spędzenie całego życia w tem okropnem, niedostępnem miejscu. Jestem doprawdy tak oszołomiony że nie mogę myśleć spokojnie ani o tem co zaszło, ani o tem co będzie. Teraźniejszość i przyszłość wydała mi się czarne jak noc.

Żaden człowiek nie znajdował się chyba w podobnej sytuacji; na nicby się też nie zdało dokładne określenie miejsca w którym jesteśmy, z prośbą o wysłanie ratunkowej ekspedycji. Los nasz rozstrzygnie się zanim ekspedycja ta zdołałaby przybyć do Ameryki Południowej.

Faktycznie jesteśmy tak odcięci od reszty świata, jak gdybyśmy byli na księżycu, i możemy liczyć jedynie na samych siebie. Towarzysze moi to trzej ludzie niezwyklego rozumu i niezachwianej odwagi;

w nich też pokładam całą nadzieję. Ilekroć spoglądam na ich spokojne twarze, przybywa mi nieco otuchy. Ale choć w duszy pełen jestem obaw, staram się nie okazywać tego na zewnątrz.

Opiszę panu szczegółowo cały przebieg tej katastrofy.

Jak stwierdziłem w ostatnim moim liście znajdowaliśmy się o siedem mil od olbrzymiego łańcucha skał, okalającego płaskowzgórze, o którym mówił Challenger. Gdyśmy się doń zbliżyli okazało się że niektóre skały były znacznie wyższe, niż profesor przypuszczał, dochodziły bowiem do tysiąca stóp. Formacji były bazaltowej: Bujna roślinność pokrywała ich szczyty, wgłębi, za gestwina krzewów, strzelały w górę drzewa. Nigdzie nie było widać śladu życia.

Rozbiliśmy obóz u podnóża skał, w dzikiej, ponurej okolicy. Skalista ściana przed nami nie była prostopadłą lecz uwypuklała się ku górze, co zupełnie uniemożliwiało wejście. W pobliżu widniała owa skalna piramida, o której już poprzednio wspomniałem. Podobna była do szerokiej wieży kościelnej, sięgającej szczytem do poziomu płaskowzgórza, lecz oddzielonej odeń głęboką przepaścią. Na wierzchołku tej piramidy rosło jedno, jedyne drzewo. Zarówno piramida, jak i dźwigająca ją skała, były stosunkowo niskie — pięćset do sześciuset stóp.

— Na tem to drzewie — rzekł Challenger — siedział pterodaktyl. Wdrapałem się do połowy ska-

ly zanim go zastrzeliłem. Sądzę że taki wprawny alpinista jak ja mógłby się wspiąć na sam szczyt piramidy, ale nie zbliżyłoby mnie to wcale do płaskowzgorza.

Gdy Challenger wspomniał o pterodaktylu spojrziałem na profesora Summerlee, i poraz pierwszy, zamiast szyderstwa, dojrzałem na jego twarzy jakby wyraz żalu, zdziwienia czy zaciekawienia. Challenger spostrzegł to również i wyraził w swój zwykły, urągliwy sposób:

— Naturalnie — rzekł — gdy mówię o pterodaktylu mam na myśli bociana, tylko bociana, który ma grubą skórę, błonkowate skrzydła i szczęki najeżone zębami.

Przytem ukłonił się urągliwie w stronę profesora Summerlee, a ten bez słowa odwrócił się i odszedł.

Po śniadaniu, złożonem z kaszy i manjoku — musieliśmy oszczędzać naszych zapasów — odbyliśmy naradę, jak dostać się na płaskowzgorze.

Challenger prezydował, a czynił to tak uroczyście, jakgdyby był ministrem. Proszę go sobie wyobrazić rozpartego na kamieniu; słomkowy, śmiesznie dziecinny kapelusz zsunął mu się wtył głowy, czarna broda rozwiała się na piersi, a on, spoglądając na nas z pod wpół opuszczonych powiek, rozważał naszą obecną sytuację i nasze plany na przyszłość.

My trzej rozmieściliśmy się poniżej — ja błyszczący młodością i siłą, opalony po przebytej wędrówce. Summerlee uroczyście, ale zawsze sceptyczny, ukryty za dymem swej nieodłącznej fajeczki, i lord Roxton, muskularny, szczupły, wsparty na swym sztucerze, nie spuszcający orlego wzroku z twarzy mówiącego. Po za nami usiedli dwaj smagli metysi i gromadka indjan, a nad nami wznosiła się skalna ściana, dzieląca nas od celu naszej wyprawy.

— Nie potrzebuję chyba mówić — zaczął kierownik naszej ekspedycji — że podczas poprzedniej mojej tu bytności próbowałem wszystkich środków aby wdrapać się na szczyt. Skoro mi się to nie powiodło, wątpię, aby mogło się udać komu innemu, jestem bowiem wprawnym górale. Coprawda nie miałem ze sobą tych przyrządów w które zaopatrzyłem się teraz, to też nie wątpię, że udałoby mi się wdrzeć na tę odosobnioną skałę, ale cóż z tego? W pierwszej mojej podróży musiałem się śpieszyć, gdyż zbliżała się pora deszczowa a także i zapasy moje były na wyczerpaniu. Posunąłem się więc wzdłuż skał w kierunku wschodnim o jakieś sześć mil tylko, nie znalazłszy drogi na płaskowzgórze. Cóż pocniemy teraz?

— Widzę tylko jeden rozsądny sposób — rzekł profesor Summerlee — jeżeli posuwał się pan poprzednio na wschód, to idźmy teraz na zachód i tu szukajmy drogi.

— Słusznie — poparł go lord Roxton — ponieważ płaskowzgórze nie wydaje się wielkiem, więc albo znajdziemy jaką drogę, wiodącą nań, albo powrócimy do miejsca z któregośmy wyruszyli.

— Tłumaczyłem już tu obecnemu młodzieńcowi — rzekł Challenger, który ma sposób wyrażania się o mnie jakgdybym był dziesięcioletnim uczniakiem — że niepodobieństwem jest aby istniała jakaś dostępna droga na płaskowzgórze, w tym bowiem wypadku nie mogłoby być ono kompletnie izolowanem, i nie wytworzyłyby się na niem te, zupełnie odrębne warunki, przeczące ogólnemu prawu walki o byt. Ale myślę, że znajdują się jakieś przejścia po których wytrawny góral mógłby wdrzeć się na płaskowzgórze, choć nie może się przez nie przedostać żadne ciężkie i duże zwierzę. Ba, jestem przekonany, że takie przejścia istnieją.

— Skąd to przekonanie? — zagadnął cierpko Summerlee.

— Ponieważ mój poprzednik, amerykańczyk, Maple White, musiał z nich skorzystać. W przeciwnym razie skądże byłby widział tego potwora, którego narysował w swym notatniku?

— Tem rozumowaniem wyprzedza pan nieco fakty — odparł uparty Summerlee — godzę się na pańskie płaskowzgórze bo je widzę, ale nie upewniłem się jeszcze, czy istnieje na niem życie, w jakiegokolwiek formie.

— To, na co się pan godzi, czy nie godzi, ma dla mnie niezmiernie małe znaczenie. Ale stwierdzam z przyjemnością, że umysł pański objął przynajmniej istnienie płaskowzgórza, — Challenger spojrział nagle w górę i, ku naszemu zdumieniu, zeskoczywszy ze skały, porwał Summerlee za brodę i odrzucił mu w tył głowę. Patrz pan — wrzasnął głosem ochryplym z podniecenia: patrz pan, czy widzisz, w jakiej formie istnieje życie na płaskowzgórzu?

Gęste zarośla porastały skały, a z tych zarośli wynurzyło się nagle coś czarnego i błyszczącego. W miarę jak posuwało się zwolna naprzód by zawiśnąć nad urwiskiem, ujrzeliśmy iż był to wielki, czarny wąż z płaską, łopatowatą głową. Przez chwilę chwiał się nad nami, a poranne słońce błyszczało na jego lśniacej łusce, potem cofnął się zwolna i znikł. Summerlee z takim zainteresowaniem przyglądał się temu zjawisku, że nie zareagował na ruch Challengeera i wyswobodził się z nieproszonego uścisku dopiero wówczas, gdy wąż znikł.

— Byłbym panu bardzo wdzięczny profesorze Challenger — rzekł z godnością — gdyby pan zechciał robić nadal swoje uwagi i obserwacje bez chwytania mnie za brodę. Nawet ukazanie się zupełnie pospolitego, skalnego pytona nie usprawiedliwia podobnej poufałości.

— Ale przekonał się pan że na płaskowzgórzu istnieje życie — odparł tryumfująco Challenger — teraz dowiodłszy tego faktu, w sposób nie pozosta-

wiający wątpliwości nikomu, nawet najbardziej uprzedzonym i tępym osobom, proponuję abyśmy zwinęli nasz obóz i skierowali się ku zachodowi w poszukiwaniu przejścia.

Skaliste podnóże płaskowzgórza było dosyć niewygodną drogą. Posuwaliśmy się więc powoli. Nagle natrafiliśmy na coś co nam dodało otuchy: były to ślady dawnego obozowiska, jak wskazywały puste blaszki od konserw, butelka z etykietą „Brandy“, złamany klucz do otwierania puszek, i jeszcze inne rozmaite szczątki. Między nimi znaleźliśmy gazetę „Chicago Democrat“, ale data na niej była już nieczytelna.

— To nie moja gazeta — rzekł Challenger — to Maple White'a.

Lord Roxton przyglądał się ciekawie paprocio-wemu drzewu ocieniającemu obozowisko.

— Spójrzcie na to — rzekł — zdaje mi się że to drogowskaz.

Kawałek kory, zwrócony na zachód, przybity był do drzewa.

— Naturalnie, że drogowskaz — zawołał Challenger — cóżby innego? Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa wyprawy, nasz pionier zostawił ten znak aby wskazać następcom drogę jaką iść należy. Być może że natrafimy na jeszcze inne wskazówki.

Trafiliśmy istotnie, ale były one straszne. Tuż pod skałą rosła kępa bambusów, również gestych

i wysokich jak te, któreśmy napotkali w podróży. Niektóre z nich dochodziły do dwudziestu stóp wysokości, a wierzchołki ich były ostre i twarde, co czyniło je podobnymi do olbrzymich, zatkniętych w ziemię włóczni. Gdyśmy mijali tę kępę dojrzałem w niej coś białego; była to czaszka ludzka. O kilka kroków dalej leżał szkielet.

Paroma uderzeniami siekierki wycieliśmy bambusy aby obejrzeć miejsce tej dawnej tragedji. Tylko parę łachmanów pozostało z ubrania, ale sądząc z butów, tkwiących na nogach szkieletu, zmarły był Europejczykiem. Pomiedzy kośćmi odnaleźliśmy złoty zegarek firmy Hudson, z New Jorku, mechaniczne pióro na łańcuszku, oraz srebrną papierośnicę z inicjałami „J. C. od A. E. S.“ Stan metalu świadczył, iż katastrofa zdarzyła się niezbyt dawno.

— Któżby to mógł być? — szepnął lord John — biedak! wszystkie jego kości zdają się pogruchotane.

— Bambusy wyrosły pomiedzy połamanymi żebrami — zauważył Summerlee — choć jest to roślina prędko rosnąca, jednak nieprawdopodobnem mi się wydaje, aby mogła dosięgnąć dwudziestu stóp od czasu, jak to ciało tu leży.

— Mogę z całą pewnością stwierdzić tożsamość zmarłego — oświadczył Challenger — jadąc bowiem do was, do Manaos, zasięgałem wszelkich możliwych informacji co do osoby Maple White'a. W Para nie wiadomo nic o nim. Na szczęście jeden szkic z jego albumu, przed-

stawiający go przy śniadaniu z jakimś księdzem w Rosario, dostarczył mi dokładnej wskazówki. Odszukałem owego księdza, który choć był nader kłótliwym człowiekiem i nie mógł zrozumieć wszystkich moich dowodzeń, jednak udzielił mi ciekawych informacji. Otóż Maple White odwiedził Rosario przed czterema laty, to jest na dwa lata przed śmiercią. Znajdował się w towarzystwie niejakiego James'a Colver, który nie brał udziału w śniadaniu z księdzem. Jestem przekonany, że mamy przed sobą szczątki owego James'a Colver.

— Jasnem jest w jaki sposób zginął — rzekł lord John — spadł lub został zepchnięty z wierzchołka skał i nadział się na bambusy jak na pale. Jakżeż inaczej mógłby mieć wszystkie kości pogruchothane, lub jakżeż rosłyby wśród nich te trzciny?

Odczuwaliśmy dziwne przygnębienie, stojąc nad tymi ludzkimi szczątkami i zastanawiając się nad objaśnieniem lorda Roxtona. Szczyt skały widniał ponad bambusami. Nieszczęsny spadek. Ale czy przypadkiem? Czy też... straszne i groźne widziadła poczęły już zaludniać tę nieznaną ziemię.

Szliśmy nadal w milczeniu, okrażając łańcuch skał, który zdawał się nieprzerwany i nieprzebyty jak te potworne Antarktyczne lodowce, które oglądałem na obrazkach, ciągnące się wzdłuż całego horyzontu, wysoko ponad masztami wędrownego statku. Na przestrzeni pięciu mil nie spostrzeegliśmy żadnej szczeliny żadnej przerwy. Aż nagle, zoba-

czyliśmy coś co napełniło nas nadzieją. W zagłębieniu jednej ze skał, zabezpieczonem od deszczu, narysowano kredą strzałę, wskazująca na zachód.

— Znowu Maple White — rzekł Challenger — przeczuwał widocznie iż będzie miał godnych siebie następców.

— Więc on miał z sobą kredę?

— W torbie jego znalazłem całe pudełko kolorowych kredek i przypominam sobie że z białej pozostał ledwie mały kawałek.

— Bądź co bądź jest to dobra wskazówka — rzekł Summerlee — musimy się do niej zastosować i iść na zachód.

Zrobiwszy jeszcze pięć mil ujrzeliśmy znów białą strzałę na skale. W tem miejscu znajdowała się wąska skalna strzelina, a w niej jeszcze jedna strzała skierowana ostrzem do góry.

Miejsce to sprawiało wrażenie ponure, kamienne bowiem ściany były tak wysokie, tak pokryte bujną roślinnością, że widniał przez nie ledwo wąziutki skrawek błękitnego nieba, skąd sączył się nikły promyczek światła. Od wielu godzin nie mieliśmy nic ciepłego w ustach i byliśmy bardzo wyczerpani długą wędrówką, ale naprężone nasze nerwy nie pozwalały nam jej przerwać. Tem niemniej kazaliśmy indjanom, rozbić obóz, a sami zabrawszy obydwóch metysów weszliśmy w rozpadlinę, za którą ciągnął się czarny wawóz. Szerokość jego nie przechodziła czterdziestu stóp, ale nagle kończył się ostro

ścięta i zupełnie prostopadłą ścianą. Nie było więc to owo przejście, które nam chciał wskazać nasz poprzednik. Zawróciliśmy więc z powrotem — cały wawóz nie był dłuższym nad ćwierć mili — gdy nagle bystre oko lorda Roxtona znalazło to, czegośmy szukali. Wysoko ponad naszymi głowami, wśród gęstych cieni, odcinał się jeszcze ciemniejszy jakiś punkt. Mógł to być jedynie potwór jaskini; po złamach skalnych, które piętrzyły się w tem miejscu, wdrapaliśmy się doń bez trudności. Była to istotnie jaskinia, a obok niej widniała znowuż biała strzała, nie ulegało więc wątpliwości, że tędy właśnie Maple White i jego nieszczęsny towarzysz wdarli się na płaskowzgórze.

Byliśmy zbyt podnieceni, aby narazie zadowolić się tem odkryciem i wrócić do obozu. Lord John miał elektryczną latarkę, wydobył ją więc z torby i zapaliwszy, wszedł pierwszy, my zaś posuwaliśmy się za nim pojedynczo w małym krążku złotawego światła.

Jaskinię wyźłobiła najwidoczniej woda, gdyż ściany jej były gładkie, a dno pokryte okrągłemi kamieniami. Sklepienie jej było tak niskie i wąskie, że można się było posuwać jedynie pojedynczo i to zgarbiwszy się. Na przestrzeni pięćdziesięciu jardów biegła poziomo, poczem nagle wznosiła się w górę pod kątem prostym. Stawała się też coraz bardziej stroma, aż wreszcie musieliśmy się czołgać na czworakach, wśród kamieni, które usuwały

się z pod nas. Nagle lord Roxton krzyknął: „przejscie zatarasowane“.

Tłocząc się za nim, w błędem świetle jego latarki, ujrzelśmy olbrzymi zwał bazaltowych kamieni: było to sklepienie, które się najwidoczniej zapadło. Napróżno staraliśmy się wyciągnąć pojedyncze głazy; jako jedyny skutek większe odłamy poczęły się odrywać, grożąc nam zmiążdżeniem. Widocznem było, że przeszkoda ta jest nie do przebycia. Droga, z której skorzystał Maple-White, była już dziś niedostępna.

Zbyt przybici, aby móc mówić, zawróciliśmy i przez jaskinię i wąwóz wróciliśmy do obozu, ale w trakcie powrotu zdarzył nam się wypadek, ważny ze względu na to, co później nastąpiło. Staliśmy na dnie wąwozu o jakie czterdzieści stóp od wejścia do jaskini, gdy nagle olbrzymi głaz stoczył się z góry i spadł obok nas z nadzwyczajną siłą. Był to istny cud że nie zabił żadnego z nas. Nie mogliśmy dojrzeć skąd się stoczył, ale metysi, którzy znajdowali się jeszcze u wejścia do jaskini, zauważyli, że potoczył się obok nich, coby oznaczało, że spadł z wierzchołka skały. Ale spoglądając w górę nie dojrzelśmy najmniejszego ruchu wśród zielonej dżungli, porastającej skały. Nie ulegało jednak wątpliwości, że kamień wymierzony był w nas, co by dowodziło, że na płaskowzgórzu znajdują się istoty ludzkie i to złośliwe.

Pospiesznie opuściliśmy wąwóz, przejeżdżając obro-

tem jaki przyjmowała sprawa, i następstwami, jakie mogły z tego wyniknąć. Sytuacja wogóle była dość utrudniona, ale jeżeli złość ludzka miała się połączyć z przeszkodami piętrzonemi przez naturę, to położenie nasze było istotnie beznadziejne. A jednak, spoglądając na bujną zieleność, która zwieszała się zaledwie o kilkaset stóp nad naszymi głowami, żaden z nas nawet na chwilę nie pomyślał o powrocie do Londynu, przed wdarciem się aż do głębi płaskowzgórza.

Zastanawiając się nad sytuacją, doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie posuwać się wzdłuż skał, szukając jakiegoś innego przejścia. Łańcuch ich zniżał się coraz bardziej i poczynił już biedz ku północy, co by wskazywało, że ich obwód nie jest bardzo wielki. W najgorszym więc razie znaleźlibyśmy się po paru dniach wędrówki w punkcie wyjścia. Przeszliśmy tego dnia jakie dwadzieścia dwie mile. Nasz aneroid wskazywał, że idąc wciąż w górę znaleźliśmy się, od chwili opuszczenia naszych łodzi, o jakie trzy tysiące stóp po nad powierzchnią morza, to też zmiany klimatu i roślinności są bardzo znaczne. Nie widać już tych okropnych owadów, które są plagą podzwrotnikowych okolic, spotyka się jeszcze nieco palm i sporo drzew paprociowych, ale wielkie lasy wybrzeży Amazonki pozostały za nami. Wśród tych ponurych skał z przyjemnością zauważyłem powoje i begonje, przypominające mi żywo rodzime

strony. Szczególniej jedna czerwona begonia swym kolorem przywiodła mi na pamięć pewien kwiat oglądany w oknie willi Streatham, — ale porzućmy te osobiste wspomnienia. Tego wieczoru — mam jeszcze ciągle na myśli pierwszy wieczór naszego pobytu u stóp płaskowzgórza — zdarzyła nam się przygoda, która raz na zawsze rozproszyła wątpliwości, co do dziwów, jakie czaiły się w pobliżu.

Czytając ten list, drogi panie Mc Ardle, zda sobie pan może po raz pierwszy sprawę, że redakcja nie wysłała mnie tylko na miłą wycieczkę, lecz że zdobędziemy materiał do niejednej wspaniałej strony druku, o ile tylko profesor cofnie swoje zastrzeżenia. Ale nie odważę się ogłosić tych listów, o ile nie przywiezę do Anglii dostatecznych dowodów, gdyż inaczej okrzyczanoby mnie za Münchhausena wszystkich dziennikarzy. Ponieważ jestem przekonany, że pan podziela moje zdanie i że nie wystawiłby pan nigdy lekkomyślnie na szwank naszej „Gazety“, więc też i nasza dzisiejsza przygoda, która byłaby taką sensacją dla pisma, będzie musiała na czas jakiś powędrować do pańskiej szuflady..

Oto co się zdarzyło. Lord John zastrzelił „aguti“ nieduże, podobne do świni zwierzątko; jedną jego połowę oddaliśmy indjanom, a drugą piekliśmy na ogniu. Ponieważ po zachodzie słońca zrobiło się chłodno, zbliżyliśmy się wszyscy do ogni-

ska. Noc była bezksiężycowa, ale gwiazdy rzucały blask na równinę. Nagle w ciemności, gdzieś w głębi nocy zaszumiła coś jakby propeller areoplanu. W jednej chwili zostaliśmy wszyscy przykryci sklepieniem błoniastych skrzydeł, na jedną chwilę ujrzałem nad sobą długą węzową szyję, żarłoczne czerwone oko, wielki roztwarty dziób, błyskający ku mojemu zdumieniu szeregiem drobnych zębów.

Po chwili wszystko znikło — wraz z naszym obiadem. Wielki czarny cień, zajmujący ze dwadzieścia stóp przestrzeni uniósł się w górę, zakrył potwornymi skrzydłami gwiazdy i zniknął wśród skał nad nami. Zdumieni i milczący patrzyliśmy na siebie jak bohaterowie Wirgiliusza, gdy ukazały im się Harpie. Summerlee przemówił pierwszy:

— Profesorze — zwrócił się do Challengera uroczystym a zarazem wzruszonym głosem — chciałbym pana przeprosić. Myliłem się grubo, ale mam nadzieję, że mi pan zechce ten mój błąd wybaczyć.

Był to rzeczywiście ładny postępek z jego strony i oto obaj wrógowie poraz pierwszy podali sobie dłonie. Tylnym wyskaki na wizycie pterodaktyla, ale pogodzenie naszych mędrców warte było obiadu.

Jeśli jednak przedhistoryczne życie istnieje na płaskowzgórzu, to nie może być zbyt bogate, gdyż nie dało żadnego śladu w ciągu następnych trzech dni. Przez ten czas przebyliśmy naga i od-

pychająca okolice, przechodząca od kamiennej pustyni do rozpaczliwych trzęsawisk, znajdujących się na północ i wschód od skał, a zamieszkałych przez całe mnóstwo dzikiego ptactwa. W okolicach tych płaskowzgórze jest kompletnie niedostępne; wielokrotnie zapadaliśmy po szyje—po ramiona w lepkie, podzwrotnikowe trzęsawiska, to znów posuwaliśmy się samym brzegiem przepaści. W dodatku miejsca te są ulubionem legowiskiem węzów „Jaracaca“, najzuchwalszego i najjadowijszego gatunku Ameryki Południowej. Raz po raz któreś z tych ohydnych stworzeń wypelzało ku nam z cuchnącego błota i tylko trzymając w ciągłym pogotowiu nasze strzelby, moglibyśmy się jako tako zabezpieczyć. Szczególniej jedno miejsce tego trzęsawiska, porośnięte zgniło-zielonym mchem, pozostało mi w pamięci jak straszna zmora. Było to specjalne gniazdo tych ohydnych gadów, które, syćząc i skrecając się we wszystkich kierunkach, rzuciły się ku nam. Jest to bowiem właściwością węzów „Jaracaca“ napastować człowieka, jak tylko go ujrza. Było ich zbyt wiele, aby można było je wystrzelać. Pozostawało nam więc tylko ratować się ucieczką. Ale oglądając się poza siebie, długo jeszcze widziałem płaskie głowy, i śliskie szyje naszych prześladowców, podnoszące się i opadające wśród trawy. Na mapie, którą rysujemy, nazwailiśmy to bagno „Bagnem Jaracaca“.

Skały przeszły stopniowo od koloru rudawego

go w ciemno czekoladowy; rośliność na ich szczytach stała się rzadsza ale, choć wysokość ich opadła do trzystu lub czterystu stóp, w żadnym miejscu nie znaleźliśmy przejścia, prowadzącego na szczyt. Przeciwnie, zdawały się jeszcze bardziej nieprzebyte. Na fotografii, którą zrobiłem, ta stromość uwydatnia się wyraźnie.

— Jednakowoż — zauważyłem podczas narady — deszcz musi przecież kędyś spływać, więc powinien być sobie powyżłabiać kanały w skałach.

„Nasz młody przyjaciel“ zaśmiał się Challenger, uderzając mnie po ramieniu „miewa błyski rozumu“.

„Przecież deszcz się musi gdzieś podziewać“ — powtórzyłem“.

„Jest pan bystrym obserwatorem. Niestety przekonaliśmy się naocznie, że niema kanałów w skałach“.

„Więc dokąd podziewa się woda?“ zapytałem.

„Można z całą pewnością stwierdzić, że skoro nie wychodzi na zewnątrz, to gromadzi się wewnątrz“.

— W takim razie powinno być w centrum jezioro.

„Tak sędzę“.

„Prawdopodobnie jezioro to jest dawnym kraterem wulkanu“ — wtrącił Summerlee — cała ta formacja jest typowo wulkaniczna. Sędzę też, że po-

środku płaskowzgórza znajduje się wglebienie, będące zbiornikiem wody, która podziemnym kanałem spływa do trzesawisk Jaracaca.

„Ale parowanie może tworzyć pewną równowagę“ zauważył Challenger i obydwa uczeni zapuścili się w dyskusję, którą dla laika brzmiała jak chińszczyzna.

Po sześciu dniach obeszlśmy wkoło płaskowzgórza. Droga, którą posłużył się Maple-White, jak wskazywały jego znaki, dzisiaj już nie istniała.

Cóż nam pozostawało do czynienia? Dzięki naszym strzelbom zasilaliśmy ciągle nasze zapasy żywności, ale trzeba było liczyć się z chwilą, gdy mimo wszystko będą potrzebowały odnowienia. Zbliżała się pora deszczowa. Widzieliśmy, że za jakie dwa miesiące wypędzi nas z obozu. Skały były twardsze niż marmur. Wyrabianie więc w nich jakiegokolwiek drogi było zadaniem zbyt uciążliwym i zbyt mozolnym. Nic więc dziwnego, że owego wieczoru, gdyśmy po uciążliwej wędrowce znaleźli się nowu wobec znanej nam skalnej piramidy, spoglądaliśmy chmurno na siebie i w zupełnym milczeniu udaliśmy się na spoczynek.

Usypiając, widziałem jeszcze Challenger'a, który siedział przy ognisku, jak wielka nadęta żaba i wsparłszy na rękach swą olbrzymią głowę, zamyslił się tak głęboko, że nie słyszał nawet „dobrej nocy“, której mu życzyłem.

Ale za to ten Challenger, który nas powitał następnego ranka, był zupełnie innym człowiekiem. Zadowolone i dumne malowały się w całej jego postaci. Gdyśmy się zeszli przy śniadaniu, spoglądał na nas z wyrazem fałszywej skromności, która zdawała się mówić: „Wiem doskonale, na jakie pochwały zasłużyłem, ale proszę was, abyście mi ich zechcieli oszczędzić“. Jeżył radośnie swoją brodę, wypinał dumnie pierś, a rękę włożył za klapę surduta tak, jak gdyby się już widział w myślach uwiecznionym na Trafalgar Square w pomniku, powiększającym długą listę tych, które już szpecą ulice Londynu.

— Eureka! — krzyknął, błyskając zębami w radosnym uśmiechu. — Panowie możecie mi powinszować — poczem możemy sobie wszyscy wzajem powinszować, — rozstrzygnąłem problemat.

— Znalazł pan sposób dostania się na płasko-wzgórze?

— Tak śmiem przypuszczać.

— I jakież to?

Zamiast odpowiedzi wskazał nam skalną piramidę, wznoszącą się na prawo. Nasze twarze, a przynajmniej moja, wydłużyły się. Challenger zapewniał nas, że można wdrapać się na ten wierzchołek, ale głęboka przepaść dzieliła go od płasko-wzgórza.

— Nie przejdziemy tamtędy — szepnąłem.

— Dostaniemy się tylko na wierzchołek — odparł Challenger — a wówczas może uda mi się do-

wieść, jak niewyczerpane są środki prawdziwie wyższego umysłu“.

Po śniadaniu wypakowaliśmy akcesoria górskich wycieczek. Z pośród nich Challenger wybrał najdłuższą a najlżejszą linę, długości stu pięćdziesięciu stóp, zaopatrzoną w haki, klamry i t. p. Lord John i profesor Summerlee brali udział w niejednych niebezpiecznych górskich wycieczkach. Tak, że właściwie tylko ja jeden byłem nowicjuszem, ale moja siła i wytrzymałość wynagradzały brak doświadczenia.

Wspinanie się w gruncie rzeczy nie było tak trudnem, choć zdarzały się chwile, w których mi włosy powstawały ze strachu. Pierwsza połowa drogi była nawet łatwa, ale stopniowo skała stawała coraz bardziej stroma, aż wreszcie przez ostatnie pięćdziesiąt stóp wisielśmy kompletnie na rękach, czepiając się nogami wązkich krawędzi skalnych. Ani ja, ani Summerlee nie bylibyśmy nigdy dosięgli szczytu, gdyby nie to, że Challenger, który wdarł się pierwszy (uderzająca była ta zwinność w tak ciężkiem ciele), umocowił linę na około drzewa i rzucił nam ją. Dzięki temu zdołaliśmy obydwaj dotrzeć na sam wierzchołek, porośnięty gęstą trawą, i mający około dwudziestu pięciu stóp rozległości.

Gdym nieco odetchnął, uderzył mnie nadzwyczajny widok, który się stąd roztaczał. Zdawało się, że cała Brazylijska równina leży u naszych

stóp i zlewa się w oddali z błękitnawymi mgłami horyzontu. Na pierwszym planie leżało długie zbocze, usiane głazami i porośnięte drzewem paprociowym, a dalej poza linią pagórków dojrzałem zielonożółtą gęstwinę bambusów, przez którą żeśmy się przedzierali. Sięgając wzrokiem jeszcze dalej, widziałem coraz bujniejszą roślinność, która kończyła się olbrzymim, niezmiernym lasem. Wpatrywałem się jeszcze w tę cudowną panoramę, gdy ciężka dłoń profesora dotknęła mojego ramienia.

— Tedy mój młody przyjacielu — rzekł „Vescigia nulla retrorsum“. Nie spoglądać nigdy wstecz, lecz zawsze naprzód ku swemu celowi.

Szczyt skały był na tym samym poziomie co i płaskowzgórze, którego bujna zieleń i potężne drzewa, rozsiane wśród zarośli, zdawały się być bardzo bliskie. Niestety przepaść dzieląca skałę od płaskowzgórza, mogła mieć na pierwszy rzut oka jakie czterdzieści stóp szerokości, a może miała i czterdzieści mil. Objawszy ramieniem pień drzewa, pochyliłem się w dół ku dolinie, na której majaczyły drobne, dalekie postacie naszych służących, spoglądających ku nam. Skalna ściana, którą miałem pod sobą, jak i ta, która ciągnęła się na wprost mnie za otchłanią, była absolutnie prostopadła.

— To istotnie ciekawe — rozległ się nagle głos profesora Summerlee.

Odwróciwszy się, ujrzałem, iż przyglądał się drzewu, u którego się uwiesiłem. Gładka kora i dobrze ciemne liście wydały mi się znajome.

— Ależ to buk! — zawołałem.

— Buk, naturalnie — rzekł Summerlee — rodak napotkany w tym obcym kraju.

— Nietylko rodak, drogi kolego — wtracił Challenger — ale nawet sprzymierzeniec. Ten buk będzie naszym zbawcą.

— Na Boga! — zawołał lord Roxton — toż to most!

— Właśnie, moi mili, most. Nie napróżno wysłałem wczoraj mój umysł nad rozwiązaniem sytuacji. Przypominam sobie, iż powiedziałem kiedyś temu, tu obecnemu młodzieńcowi, iż Jerzy Edward Challenger, czuje się najlepiej, gdy zwalcza przeciwności. Przyznajcie, iż wczoraj mieliśmy wszyscy czterej nie lada przeciwność do zwalczenia. Ale rozum i energia znajdują zawsze jakąś radę. Rzucimy więc most przez tę przepaść.

Pomysł był rzeczywiście świetny, drzewo liczyło jakie sześćdziesiąt stóp wysokości i napewno sięgnęłoby do brzegów płaskowzgórza, o ile tylko upadłoby prosto. Challenger podał mi siekiere, którą zabrał z obozu.

— Posiada pan wyrobione muskuły — rzekł — i najlepiej nadaje się pan do tej roboty. Muszę jednak pana poprosić o ścisłe stosowanie się do

moich wskazówek, bez wtrącania jakichkolwiek osobistych uwag.

Stosownie więc do jego rozkazów ponaciąłem drzewo tak, aby upadło w pożądanym kierunku; nie było to zbyt trudnym zadaniem, gdyż buk pochylony był wogóle w stronę płaskowzgórza. Pracowaliśmy gorliwie na zmianę z lordem Johnem, i po upływie dobrej godziny rozległ się głośny trzask, drzewo zachwiało się, pochyliło i wreszcie z powtórным trzaskiem runęło naprzód, grzebiąc swe gałęzie wśród zarośli płaskowzgórza. Pień, odrąbany od korzenia, potoczył się ku brzegowi przepaści, i przez jedną straszną chwilę sądziliśmy, że w nią runie, ale zakołysał się kilkakrotnie i zatrzymał się o parę cali od niej. Most, prowadzący do nieznanej krainy, stał gotów.

W milczeniu uścisnęliśmy wszyscy dłoń profesora Challengeera, który zdjął swój słonkowy kapełusz i skłonił się nam głęboko.

— Domagam się zaszczytu — rzekł — wkroczenia pierwszemu do nieznanej ziemi. Jakież by to był pyszny temat do historycznego obrazu.

Z tymi słowy zbliżył się już do mostu, gdy lord John przytrzymał go za rękaw.

— Mój drogi profesorze — rzekł — przykro mi, ale doprawdy, nie mogę na to pozwolić.

— Nie może pan pozwolić! — Głowa profesora cofnęła się w tył, a czarna broda wysunęła się agresywnie naprzód.

— Tam, gdzie chodzi o kwestje naukowe, ustępuje panu bez wahania i stosuje się do pańskich rozporządzeń, gdyż jest pan człowiekiem nauki. Ale wkraczając w moją dziedzinę powinien pan mnie usłuchać.

— W jaką dziedzinę?

— Każdy z nas ma jakiś zawód, a włóczęgostwo jest moim. Otóż dziś wchodzimy do nowego kraju, który równie dobrze może być jak i nie być, pełnym wrogów. Zdaniem mojem niepodobna narażać się tak ślepo i nierozsądnie na przypuszczalne niebezpieczeństwo.

Uwaga była zbyt słuszna aby jej nie uznać, to też Challenger potrzęsnał jedynie głowę i podniósł ciężkie ramiona.

— No, więc cóż pan proponuje?

— Któż mi zareczy, czy cała zgraja dzikich nie czai się poza tymi krzakami, aby nas porwać na drugie śniadanie — ciągnął lord Roxton, spoglądając ku płaskowzgórzcu — zapóźno będzie myśleć o rozsądku, gdy nas zarzną na zupe. To też mimo jaknajlepszych nadziei, będziemy się przytrzymywać jaknajwiększych ostrożności. Malone i ja zejdziemy na dół i powrócimy tutaj ze strzelbami i służbą. Wówczas dopiero jeden z pośród nas będzie mógł przejść na płaskowzgórze pod osłoną naszych strzelb, a gdy przekonamy się że niema niebezpieczeństwa, to przejdą i inni.

Challenger usiadł na pniu ściętego drzewa, pieniać się z niecierpliwości, ale Summerlee i ja przyznaliśmy słuszość uwagom lorda Johna. Wdrapanie się na skałę teraz przy pomocy liny nie przedstawiało już wielkich trudności. W godzinę powróciliśmy z bronia, a z nami przybyli dwaj metyst, niosąc zapas żywności na wypadek, gdyby nasz pierwszy pobyt na płaskowzgórzu miał się przedłużyć. Zaopatrzyliśmy się też obficie w ładunki.

— A teraz, profesorze, proszę pana, jeśli już istotnie chce pan być pierwszym — zakomenderował lord Roxton, gdy wszystkie przygotowania były ukończone.

— Ogromnie jestem zobowiązany za łaskawe przyzwolenie — odburknął Challenger, który nie uznaje niczyjego autorytetu — skoro pan uprzejmie zgadza się na to, abym był pionierem, nie omieszkam z tego skorzystać.

Zarzucawszy sobie siekiere na ramię, siadł okrakiem na zwałonym pniu i zaczął się po nim posuwać. Dopełnawszy w ten sposób do przeciwległego brzegu, wyskoczył nań i podniósł w górę ramiona.

— Nareszcie — zawołał — nareszcie!

Patrzyłem za nim nie bez uczucia strachu, spodziewając się, że lada chwila coś strasznego wyłoni się z zielonej gęstwiny krzewia, ale naokoło pannaował najzupełniejszy spokój, tylko jakiś dziwacz-

ny, wielobarwny ptak zerwał się z trawy i zniknął wśród drzew.

Summerlee poszedł drugi z kolei. Zdumiewający jest ten jego hart przy tak wątej pozornie budowie. Uparł się, aby przewiesić sobie przez oba ramiona po strzelbie, tak, że gdy stanął na przeciwnej stronie, obaj profesorowie byli uzbrojeni. Teraz przyszła kolej na mnie; starałem się z całej siły nie patrzeć w tę otchłań, nad którą przechodziłem; Summerlee wyciągnął ku mnie lufę sztucera, a po chwili już mógł chwycić mnie za rękę. Co się tyczy lorda Roxton, to przeszedł najspokojniej, bez żadnego oparcia, czy pomocy. Poprostu przeszedł! Ten człowiek musi mieć stalowe nerwy.

I otóż staliśmy wszyscy czterej w tej krainie baśni, w zaginionym świecie Maple White'a. Przeżywaliśmy chwilę najwyższego tryumfu, nie przeczuwając, że będzie ona chwilą zupełnej klęski. Muszę w kilku słowach opowiedzieć przebieg tego nieszczęścia.

Zrobiliśmy jakie pięćdziesiąt kroków w głąb zarośli, gdy nagle dobiegł nas głuchy hałas. Wiedzeni jedną myślą zawróciliśmy z powrotem. Nasz most upadł w przepaść!

Głęboko w dole, wśród kamieni ujrzałem masę pogruchotanego drzewa, splecionych liści i gałęzi. Był to nasz buk! Czyżby osunęła się krawędź, na której się opierał? Takeśmy pomyśleli na razie, ale w tej samej niemal chwili wyjrzała ku nam ciemna

twarz metysa. Był to Gomez, ale nie ten uśmiechnięty, uprzejmy Gomez, jakiegośmy dotychczas znali. Mieliśmy przed sobą człowieka, którego oczy ciskały błyskawice, a rysy wykrzywione były wyrazem jakiejś zaciętej, szalonej, nienawistnej radości.

— Lordzie Roxton — wrzasnął — lordzie Roxton!

— Jestem — odparł nasz towarzysz — jestem tutaj.

— Tam jesteś, psie angielski, i tam pozostaniesz! Czekałem długo na tę chwilę zemsty. Ale jeśli trudno wam było tam się dostać, to niepodobna wam będzie się stamtąd wydobyć. Przekleci głupcy, jesteście w potrzasku, wszyscy co do jednego!

Byliśmy zbyt zdumieni, aby coś odpowiedzieć. Staliśmy w osłupieniu, wpatrując się w niego; spora kłoda, leżąca wśród zgiecionej trawy wskazała w jaki sposób zepchnął nasz most. Głowa metysa zniknęła na chwilę w zaroślach, poczem wynurzyła się znów, jeszcze dziłksza, niż poprzednio.

— O mało nie zabiliśmy was kamieniami w owej jaskini — wołał — ale ta pułapka jest lepsza, bo gotuje wam śmierć powolniejsza i straszniejsza. Twoje kości, mój lordzie, zbieleją wśród tych zarośli, a nikt nie dowie się nigdy, gdzie leżysz, i nikt nie przyjdzie cię pochować. Ale przed śmiercią wspomnij Lopeza, którego zastrzeliłeś przed pięcioma laty na wybrzeżach Putomayo. Jestem jego

bratem, i mogę umrzeć szczęśliwy, żem godnie pomógł jego śmierć.

Pogroził nam z nieopisaną wściekłością i zniknął w gęstwinie.

Gdyby metys był zadowolnił się swoją zemstą i uszedł chyłkiem, byłby ocalał życie. Ale ten nieposkromiony, nierosądny impuls romańskiej rasy, który popchnął go do dramatycznego wystąpienia, zgłotował mu zgubę. Roxton, który w trzech rozmaitych krajach zyskał przydomek Bicza Bożego, nie był człowiekiem pozwalającym się bezkarnie wyzywać. I gdy metys spuszczał się na dół po przeciwnej stronie skały, lord Roxton przebiegł brzegiem przepaści, szukając miejsca, z którego mógłby go widzieć. Rozległ się suchy odgłos strzału i choć nic nie mogliśmy dojrzeć, ale usłyszeliśmy krzyk i odgłos spadającego ciała. Lord Roxton wrócił ku nam z twarzą tak chłodną, jakgdyby była ze spiżu.

— Postąpiłem jak głupiec — rzekł — przez moją nieostrożność wpadliście w tę pułapkę. Powiniennem był pamiętać, że ludzie tutaj nie zapominają nigdy o zemście i mieć się więcej na baczności.

— A cóż pan począł z drugim metysem? Musiał i on przyłożyć ręki do zniszczenia naszego mostu.

— Mogłem go zastrzelić, lecz darowałem mu życie. Może nie brał udziału w tym spisku. Kto

wie zresztą, czy nie należało go ukarać, gdyż istotnie musiał przyłożyć ręki do tej zbrodni.

Teraz dopiero, wobec słów rzuconych przez metysa, zaczęliśmy uprzytamniać sobie jego rozmaite, dziwaczne postęпки: ciekawość, z jaką starał się przeniknąć nasze plany, pochwycenie go na gorącym uczynku podsłuchiwania pod naszym namiotem, nienawistne spojrzenia, jakich nie mógł czasami powściągnąć. Rozstrzasaliśmy to wszystko, zastanawiając się zarazem nad naszą sytuacją, gdy uwagę naszą zwróciła dziwna scena, rozgrywająca się na równinie, u naszych stóp.

Biało ubrany mężczyzna, który mógł być tylko drugim metysem, uciekał tak, jak ucieka człowiek ścigany przez śmierć. Tuż za nim biegła olbrzymia hebanowa postać: był to Zambo, nasz wierny murzyn. Dopełdziwszy zbiega, skoczył na niego, rękoma chwytając go za szyję. Obydwaj padli i potoczyli się po ziemi, ale po chwili Zambo powstał i, spojrzawszy na leżącego nieruchomo metysa, i dając nam jakieś radosne znaki, pobiegł w naszą stronę. Biała postać zabitego leżała nieruchomo wśród wielkiej równiny.

Tak więc obaj zdrajcy zostali zgładzeni, ale nie zmieniało to w niczem następstw ich zbrodni. Nie mogliśmy powrócić do obozu. Z mieszkańców świata przedzierzgnęliśmy się w mieszkańców płaskowzgórza, a świat i płaskowzgórze były ze sobą rozdzielone bezpowrotnie!

U naszych stóp ciągnęła się równina, za którą zostawiliśmy nasze czółna, dalej, w fioletowej mgłę horyzontu, płynął strumień, ta jedyna droga wiodąca do cywilizowanych krajów, ale między nami a tymi dwoma łącznikami zerwane zostało jedyne ogniwo. Jakaż siła zdołałaby wypełnić przepaść, dzielącą nas od przeszłości? Jedna chwila zmieniła doszczętnie cały bieg naszego życia.

W tej to chwili poznałem charakter moich towarzyszy: byli poważni, ba, nawet zamyśleni, ale zupełnie spokojni.

Narazie pozostawało nam jedynie siedzieć wśród zarośli i oczekiwać zjawienia się Zambo. Po niejakim czasie pocziwa jego, czarna twarz mignęła wśród skał, aż wreszcie cała herkulesowa postać ukazała się na szczycie piramidy.

— Co ja robić teraz? — zawołał — panowie powiedzieć. Zambo robić.

Pytanie było łatwiejsze niżeli odpowiedź; jedno wszakże czuliśmy wyraźnie: murzyn był jedynym łącznikiem z zewnętrznym światem, i dlatego nie powinien był pod żadnym pozorem porzucać nas.

— Nie, nie — wołał — Zambo nie porzucić. Cokolwiek być ja zawsze tutaj. Ale nie potrafić trzymać indjan. Oni powiedzieć za dużo Curupuri wracać do domu. Panowie odejść, a Zambo nie potrafić ich trzymać.

Istotnie, od niejakiego czasu, indjanie okazali chęć do powrotu i wielkie znużenie podróży.

Zrozumieliśmy, że Zambo miał słuszną i że niepodobna mu będzie wstrzymać opornych.

— Namów ich, aby poczekali do jutra — zawołałem — a prześlę przez nich list.

— Dobrze. Oni czekać — odparł murzyn — ale co ja robić jeszcze dla panów?

Dużo było do zrobienia i wierny chłopak wywiązał się z tego doskonale. Przedewszystkiem kazaliśmy mu odwiązać linę od ściętego pnia buku i przerzucić ją ku nam. Nie będąc bardzo grubą, lina ta była niezwykle mocna, i choć niepodobna jej było użyć jako mostu, ale za to mogła być bardzo pomocną przy wszelkiem wspinaniu się. Potem Zambo uwiązał do końca liny wór z zapasami żywności, który przyciągnęliśmy do siebie. W ten sposób byliśmy zaopatrzeni w środki żywności przynajmniej na tydzień, nawet w tym wypadku, gdybyśmy nie upolowali. Wreszcie Zambo spuścił się na dół, skąd przyniósł amunicję i wiele potrzebnych rzeczy, które znów za pomocą liny przeholowaliśmy do siebie. Noc już zapadła, gdy ostatecznie zeszedł na równinę, zapewniwszy nas raz jeszcze, że zatrzyma indjan do jutra.

Niemal cała noc, (pierwsza, spędzona na tem płaskowzgórzu) zesła mi na opisywaniu, przy świetle jedynej latarki, naszych przygód.

Rozbiliśmy obóz na samej krawędzi skały; tutaj spożyliśmy wieczerę, gasząc pragnienie dwoma butelkami Apolinaris, jakiegoś znaleźli w skrzy-

ni. Odnalezienie jakiegoś źródła wody jest dla nas kwestją pierwszorzędną wagi, ale zdaje mi się, że nawet lord John ma dość przygód na dzisiaj, i nikt nie miał ochoty zapuszczać się w głąb nieznaną krainę. Nie zapaliliśmy nawet ognia i wystrzegaliśmy się wszelkiego hałasu.

Jutro (lub raczej dzisiaj, bo zaczyna już świtać) zaczniemy stawiać pierwsze kroki w tym tajemniczym kraju. Nie wiem kiedy uda mi się znów napisać i czy wogóle napiszę. Na razie dostrzegam, że Indianie jeszcze nie odeszli i jestem pewien, że wierny Zambo przyjdzie po list. Mam nadzieję, że dojdzie on rąk Pańskich.

P. S. Im więcej zastanawiam się nad sytuacją, tem rozpaczliwszą mi się ona wydaje. Nie widzę żadnej możliwości powrotu. Gdyby jakie wysokie drzewo roślo na brzegu skały, moglibyśmy je ściąć i posłużyć się niem jak drugim mostem, ale najbliższe drzewo znajduje się o jakie pięćdziesiąt jardów od przepaści. Wszyscy czterej razem nie zdołalibyśmy przydzwigać pnia tak ogromnego jaki byłby nam potrzebny. A lina jest o wiele za krótka, aby można było spuścić się po niej. Położenie nasze jest beznadziejne, — beznadziejne!

ROZDZIAŁ X.

„Coś dziwnego się zdarzyło“...

Coś dziwnego nam się zdarzyło i wciąż się zdarza. Cały mój zapas papieru składa się z pięciu starych notatników, oraz całej masy jakichś skrawków; pozostał mi też zaledwie jeden kopjowy ołówek, ale dopóki tylko będę w stanie ruszać ręką, nie omieszkam zapisywać naszych przygód i wrażeń, jesteśmy bowiem jedynymi ludźmi na świecie, którym danem jest oglądać tak niesłychane zjawiska. To też chcę je utrwalić na papierze póki są świeże i żywe i póki los, który stałe nam nie sprzyja, nie pozbawi mnie możności pisania. Może Zambo zabierze te listy w pewną drogę, może ja sam je odniosę, ocalawszy cudem, a może jaki śmiały podróżnik, idący naszym śladem, lecz zaopatrzony w dobry samolot, natrafi na ten manuskrypt, — w każdym razie wierzę, że to, co tu dziś piszę uwieczni historję prawdziwych, choć tak niesłychanych przygód.

Następnego ranka, po uwięzieniu nas na płasko-
wzgórzu przez podstępnego Gomeza, rozpoczęła się
nowa faza naszej wyprawy; dla mnie zaznaczyła
się ona dość niemiłym incydentem, obudziwszy się
bowiem po krótkiej drzemce, w jaką popadłem już
o świcie, ujrzałem nagle coś bardzo dziwnego na
mojej własnej nodze. Na skórze, między skarpetką
a odwiniętą nieco nogawicą spodni, leżało coś po-
dobnego do dużego, szkarłatnego winnego grona.
Zdziwiony tym widokiem, nachyliłem się i wziąłem
to grono w rękę, gdy nagle ku memu obrzydzeniu
pekło mi między palcami, tryskając naokoło krwią.
Okrzyk, jaki wydałem, zwrócił uwagę profesorów.

— A to ciekawe — rzekł Summerlee, pochyla-
jąc się nademną — olbrzymi kleszcz, dotychczas
nie sklasyfikowany.

— Oto pierwsze owoce naszych trudów —
odezwał się Challenger w zwykły sobie pompa-
tyczny sposób — nazwiemy tego owada „Ixodes
Malone“. Ukąszenie to jest nader drobnym oku-
pem za możliwość uwiecznienia swego nazwiska
w rocznikach zoologii. Niestety, zgniółł pan ten
rzadki okaz w chwili, gdy kończył się on pożywiać.

— Wstrętne robaczysko! — rzekłem.

Profesor Challenger podniósł swe krzaczaste
brwi na znak protestu i oparł łapę na mojem ra-
mieniu.

— Powinien pan wyrobić w sobie zamiłowanie
do wiedzy i naukowy pogląd na życie — rzekł —

dla człowieka, obdarzonego filozoficznym umysłem, — tak jak ja naprzykład, — ten kleszcz, z jego lancetowatym żądłem i wypukłym ciałem, jest równie pięknym wytworem przyrody jak paw, lub choćby zorza północna. I dlatego pański dziecinny, powierzchowny sąd, razi mnie, mam jednak nadzieję, że uda nam się zdobyć jeszcze inne okazy, tego co i ten owad, gatunku.

— O, to nie ulega wątpliwości — wtracił Summerlee — właśnie w tej chwili jeden wpadł za kołnierz pańskiej koszuli.

Challenger podskoczył i literalnie rycząc, zaczął szarpać na sobie kołnierz i koszulę. Summerlee i ja dostaliśmy takiego napadu śmiechu, że ledwo mogliśmy mu pomóc; jednak udało się nam nareszcie obnażyć ten potworny kark, i wśród gęstwiny ciemnych włosów, jakimi porośnięte jest całe ciało uczonego profesora, wyłowiliśmy kleszcza, który nie zdążył jeszcze zapuścić swego żądła. Ale krzaki wokoło roily się od tych wstrętnych owadów i jasnym było, że nie mamy tu po co dłużej zostawać.

Przedewszystkiem jednak należało się porozumieć z wiernym Zambo, który wkrótce zjawił się na skałę, obarczony puszkami kakao i biszkoptów. Przerzucił je do nas, a z pozostałych w obozie zapasów kazaliśmy mu zatrzymać ilość wystarczającą dlań na dwa miesiące. Resztę miał oddać indjanom, jako wynagrodzenie za służbę i za odwiezie-

nie listów do dorzecza Amazonki. W kilka godzin później ujrzeliśmy ich jak szli szeregiem przez równinę, a każdy dźwigał na głowie tobolek. Wierny murzyn, to jedyne ogniwo, łączące nas z pozostałym światem, umieścił się w naszym małym namiocie tuż u stóp skały.

Należało się zdecydować co do dalszych kroków. Przenieśliśmy nasz obóz z pośród zarośli na małą polankę, otoczona zewsząd drzewami; w samym jej środku znajdowało się kilka płaskich skał, na których rozsiedliśmy się wygodnie, naradzając się nad podbojem tej nieznannej krainy. Wśród drzew nawoływały się wzajemnie ptaki, — jeden z nich odznaczał się dziwnym, głuchym skrzekiem, jakiegośmy dotychczas jeszcze nigdy nie słyszeli — poza tymi jednak odgłosami nie było wokół ani znaku życia.

Pierwszą naszą czynnością było sporządzenie inwentarza; dzięki zapasom, jakieśmy zabrali ze sobą i tym, które nam dostarczył Zambo, byliśmy wcale dobrze zaopatrzeni. Ze względu na niebezpieczeństwa, jakie mogły nam zagrażać, najcenniejszy nabytek stanowiły cztery strzelby i tysiąc trzysta naboji. Pozatem mieliśmy jeszcze fuzję, ale tylko sto pięćdziesiąt kul. Co do żywności, to było jej poddostatkiem na kilka tygodni; posiadaliśmy jeszcze spory zapas tytoniu i nieco przyrządów naukowych, między innymi duży teleskop i wyborną lunetę. Cały ten nasz dobytek

zgrupowaliśmy na polanie, i w drodze ostrożności otoczyliśmy go wałem ciernistych krzaków, powycinanych nożem lub siekiera, okalając w ten sposób przestrzeń o 15 yardowej średnicy. Tu miała być na razie nasza główna kwatery, nasz skład a zarazem nasze schronienie, na wypadek nagłego niebezpieczeństwa. Nazwaliśmy to fortem Challengegera.

Było już południe, gdyśmy zakończyli te przygotowania, ale gorąco nie dawało się we znaki; klimat płaskowzgórza tak jak i jego roślinność jest typu umiarkowanego. Wśród drzew, jakie nas otaczały były buki, dęby, a nawet brzozy. Olbrzymie drzewo ginkgo, przerastające wszystkie inne wokół, rozciągało nad zbudowanym przez nas fortem, wspaniałe warkocze swych gałęzi i listowia. W ich to cieniu ciągnęliśmy naszą naradę, a lord Roxten, wysuwający się zawsze na czoło w chwilach czynu i decyzji, wykladał nam swoje poglądy.

— Jesteśmy bezpieczni — rzekł — dopóki nie widział nas człowiek, ani nie dosłyszało żadne zwierzę. Zmartwienia nasze rozpoczną się z chwilą, gdy obecność nasza zostanie odkryta; nic nie wykazuje, aby to już miało nastąpić. Całe więc nasze zadanie polega narazie na badaniu płaskowzgórza skrycie; musimy się przyjrzeć naszym miłym sąsiadom, zanim zawiążemy z nimi bliższe stosunki.

— Ale trzeba przecież posuwać się w głąb kraju — ośmieliłem się zaznaczyć.

— To też będziemy się posuwali, miły chłopcze! Będziemy się posuwali, ale przezornie. Nie powinniśmy nigdy tak się oddalać, abyśmy nie mogli wrócić do naszej kwatery, a przede wszystkim nigdy i pod żadnym pozorem, — chyba tam gdzie będzie chodziło o śmierć i życie — dać strzał.

— Ale pan sam wystrzelił wczoraj — rzekł Summerlee.

— Ba, nie miałem innego wyjścia. Ale wiatr był silny i dał w przeciwną stronę, to też wątpię, aby echo wystzału mogło rozbrzmieć na płaskowzgórzu. A propos, jakże nazwiemy ten kraj? Uważam, że mamy prawo dać mu jakieś imię.

Wysunięto kilka mniej lub więcej odpowiednich nazw, aż wreszcie przyjęto tą, którą proponował Challenger.

— Jedna tylko nazwa może wchodzić w rachubę — rzekł — a mianowicie imię człowieka, który ten kraj odkrył. Niechże to będzie Ziemia Maple White'a.

Jest więc to Ziemia Maple White'a i taką nazwę nosi na mapie, której sporządzenie stało się moim udziałem. Mama też nadzieję, że tak figurować będzie w przyszłym atlasie świata.

Zbadanie Ziemi Maple White'a stało się więc naszym najpierwszym zadaniem. Przekonaliśmy się na własne oczy, że jest ona zamieszkała przez nieznaną w nauce zwierzęta, a notatnik Maple White'a

mówił o straszniejszych jeszcze i bardziej niebezpiecznych potworach, które mogły się nam ukazać. Podziurawiony przez bambusy szkielet, który musiał zostać strąconym ze skały, wskazywał również, że miejscowość tę mogły zamieszkiwać ludzkie istoty, i to istoty złośliwe. To też zdawaliśmy sobie dokładnie sprawę z niebezpieczeństw, jakie nam groziły w miejscu, które faktycznie przeistoczyło się w nasze więzienie i zgodzaliśmy się na wszystkie środki ostrożności, jakie nam zalecało doświadczenie lorda Johna. Temniemniej nie mogliśmy się zatrzymać na progu tego tajemniczego świata, gdy serca nam były nieprzezwyrodną chęcią poznania go i dotarcia do samej jego głębi.

Zabarykadowaliśmy więc cierniami wejście do naszego fortu i pod opieką tego żywopłotu pozostawiliśmy obóz nasz i nasze zapasy; poczem powoli i strożnie zaczęliśmy się zapuszczać wgłęb lasu, idąc brzegiem strumienia, który miał nam być przewodnikiem w powrotnej drodze.

Po ujęciu zaledwie kilkunastu kroków przekonaliśmy się, iż prawdziwe cuda czekają na nas w tym kraju; przeszliśmy przez gęstwiny zupełnie mi nieznanych drzew, które jednak Summerlee, botanik naszej wyprawy, określał jako „conifera“ i „cycadaceous“, gatunki roślin oddawna wymarłych w znanym nam świecie i dotarliśmy do miejsca, w którym strumień rozlewając się tworzył dość znaczne bagno. Porastały go wysokie, dziwaczne

trzciny, określone jako „*equisetaca*“ oraz olbrzymie paprocie, a chwając ich wierzchołkami unosił się nad tem bagnem dość silny wiatr. Nagle lord John, który szedł na przedzie zatrzymał się i podniósł rękę.

— Spójrzcie no na to! — zawołał — na honor, to musi być ślad rodziciela wszystkich ptaków.

Ślad ogromnej trzypalcowej stopy widniał odgnieciony w miękkim błocie. Jakieś wielkie stworzenie musiało przejść przez bagno do lasu.

Zatrzymaliśmy się wszyscy, aby się przyjrzeć temu olbrzysiemu śladowi. Jeżeli był to istotnie ptak — a jakież zwierzę mogłoby posiadać taką stopę? — to stona jego była o tyle większa od strusiej, że w tym samym stosunku wielkość jego musiała być olbrzymia.

Lord John obejrzał się bystro wokół i wsunął dwa ładunki do swej strzelby.

— Rękę moja dobrą sława myśliwca — szepnął — że ten ślad jest świeżym. Niema jeszcze dziesięciu minut jak ptak przeszedł tedy. Spójrzcie na powierzchnię wody, która jeszcze faluje! O na honor, otóż i ślad pisklecia.

Istotnie obok dużych śladów biegły mniejsze, lecz także same.

— A co powiecie na to? — zawołał tryumfalnie profesor Summerlee, wskazując na odcisk ogromnej pięciopalcowej dłoni ludzkiej, widniejący wśród poprzednich, trzypalcowych śladów.

— Widziałem już coś podobnego! — szepnął Challenger w ekstazie. — Widziałem w wykopaliskach! Mamy do czynienia ze stworzeniem, które trzymając się prosto na dwóch trzypalcowych stopach, podpira się w chodzie przednimi, pięciopalcowymi łapami. Nie, to ptak, mój drogi Roxtonie, — nie ptak.

— Zwierze?

— Nie, to płaz — dinozaurus. Żadne inne stworzenie nie mogłoby pozostawić podobnych śladów. Przed dziewięćdziesięciu laty wprawiły one w osłupienie pewnego uczonego, ale któż mógł się spodziewać, że będzie te cuda oglądał na własne oczy?

Głos jego przeszedł w szept i zamarł: zdumienie obezwładniło nas: idąc za śladami mineliśmy bagno i gesto podszyty las, i oto staliśmy na przełęczu, mając przed sobą pięć najdziwniejszych stworzeń, jakie kiedykolwiek widziałem. Ukryci w zaroślach obserwowaliśmy je niepostrzeżenie.

Było ich, jak już powiedziałem, pięcioro, w czem trój młodych. Wielkość ich była tak kolosalna, że nawet młode dorównywały słoniom a stare były nieporównanie większe od największego ze znanych mi zwierząt. Czarniawa ich skóra, chropowata jak skóra jaszczurki, lśniła w promieniach słońca; kołysząc się zlekka na swych potwornych, szerokich ogonach i tylnych trójpalcowych stopach, przednimi, krótkimi łapami o pięciu palcach, nachylały ku sobie gałęzie drzew i obgryzały

je. Zdaje mi się, że dam panu najlepsze pojęcie o tych potworach, jeśli powiem, że przypominały olbrzymie, dwudziestu stóp sięgające kangury, o czarnej krokodylej skórze.

Nie wiem, jak długo staliśmy przed tem niezwykłym widowiskiem. Zaszyliśmy się głęboko w zarośla, a że silny wiatr dał w naszą stronę, nie było więc żadnego prawdopodobieństwa, aby zwierzęta nas zweszyły. Od czasu do czasu młode skakały naokoło starych, a te ocieżałym ruchem opadały na przednie łapy, to znów unosiły się na tylne. Siła tych stworzeń musi być niepomierna, gdyż jedno z nich nie mogąc dosięgnąć jakiejś gałęzi, objęło przednimi łapami pień drzewa i zła mało je jak trzcinę. Postępek ten dowodził nie tylko siły mięśni, ale zarazem małej zmyślności zwierzęcia, drzewo bowiem, padając ugodziło je w łeb i musiało je skaleczyć, gdyż wydawszy cały szereg ostrych pisków, oddaliło się z tego niegościnnego miejsca, a za nim udali się i jego towarzysze.

Lśniąca łuska ich skóry mignęła parokrotnie wśród drzew, głowy ich zakolysały się wysoko ponad zaroślami, aż wreszcie wszystko zniknęło nam z oczu.

Spojrzałem na moich towarzyszy. Lord John wyprostowany, stał trzymając palec na cynglu strzelby, a błyszczące jego oczy płonęły namiętnością myśliwską. Cóżby dał za to, aby jedną z takich głów umieścić między dwoma skrzyżowanymi

wiosłami, nad kominkiem w swem mieszkaniu na Albany! Ale rozsądek wziął górę nad namietnością, bo wszak mogliśmy poznać cuda tej ziemi jedynie kryjąc się przed jej mieszkańcami. Obydwaj profesorowie byli w jakiejś ekstazie. W podnieceniu chwycili się mimowolnie za ręce i stali tak jak dwoje dzieci wobec ziszczonej bajki, twarz Challengera rozplynęła się w zachwyconym uśmiechu, a sardoniczne oblicze Summerlee wyrażało podziw i skumpienie.

— Nunc dimittis⁶⁶ — szepnął wreszcie — co o tem wszystkim powiedzą w Anglii?

— Drogi Summerlee — uśmiechnął się Challenger — wyjawię panu pod sekretem, co powiedzą w Anglii; a mianowicie, nazwą pana bezczelnym kłamcą, i szarlatanem, tak jak pan i pańscy towarzysze nazwaliście mnie.

— Przywieziemy fotografie.

— Sfałszowane, Summerlee! Niezręcznie sfałszowane!

— Przywieziemy dowody.

— Ach, gdybyśmy je tylko zdobyli! Wówczas Malone i jego szajka zasypaliby nas pochwałami. Dwudziestego ósmego sierpnia ujrzeliśmy pięcioro żywych igunadonów na przełęczy Ziemi Maple White. Niech pan to sobie zapisze, młodzieńcze i prześle swojej szmacie.

— I niech się pan przygotowuje na poczęstunek redaktorskiego buta — wirać! lord John — podob-

ne widowisko wygląda nieco odmiennie w Londynie. Znam wielu ludzi, którzy nie opowiadają o swoich przygodach, jedynie dlatego, że niktby im nie uwierzył. I czyż nie mają racji? Wszak to, cośmy teraz oglądali wyda nam się za miesiąc lub dwa, jakimś snem fantastycznym. Co to było moi panowie?

— Iguanodony — odparł Summerlee — ślady ich stóp odnaleziono w piaskowcach Hastings Kentu i Sussexu. Żyły masami, na południu Anglii wówczas gdy znajdowały tam pod dostatkiem bujnej, świeżej roślinności. Ale warunki się zmieniły i zwierzęta te wymarły. O ile można sądzić, na tym tu płaskowzgórzu warunki nie uległy zmianie, i zwierzęta egzystują po dziś dzień.

— Jeżeli ujdziemy stąd z życiem — rzekł lord John — muszę jedną taką głowę zabrać sobie do domu. Wyobrażam sobie, jakby ślicznie pozielenieli z zazdrości niektórzy moi przyjaciele i koledzy. Nie wiem, co panowie myślicie o tem wszystkim, ale co do mnie, czuję się tu dość niepewnie.

I ja doznawałem wrażenia, jakby wokół czaiła się tajemnica i niebezpieczeństwo. Coś groźnego kryło się w czarnej gęstwinie drzew, i dziwny nieokreślony lęk zakradał się w serce. Prawda, że te potworne stworzenia widziane przed chwilą, wydawały się nieszkodliwymi olbrzymami, ale któż mógł odgadnąć, co kryło się jeszcze w tym kraju cudów — jakie dzikie i okrutne stworzenia mogły

rzucić się na nas z pośród skał lub zarośli? Wiadomości moje o przedhistorycznym życiu są dosyć skąpe, ale żywo stoi mi w pamięci niegdyś przeczytana książka opisująca zwierzęta tej epoki, tak wielkie, że mogłyby polować na lwy i tygrysy, jak kot poluje na myszy. Wszak i takie okazy mogły zamieszkiwać ziemię Maple White'a!

Sądzonem nam widać było, tegoż samego ranka — pierwszego w tym kraju — zapoznać się z niebezpieczeństwami, jakie nas otaczały. Zdarzyła się nam przygoda, o której wspominam ze wstrettem, bo, jeśli, jak twierdził lord John, rodzina iguanodonów żyć będzie w naszej pamięci, jak sen fantastyczny, to trzęsawisko pterodaktyłów będzie nas prześladowało jak ohydny koszmar. Opiszę jednak dokładnie wypadki.

Szliśmy przez las bardzo powoli, po części dlatego, że lord John, pełniący funkcje wywiadowcze, pozwalał nam się posuwać wyłącznie z zachowaniem wielkich ostrożności a po części i dlatego, że profesorowie nasi co krok zatrzymywali się w zachwycie na widok jakiejś rośliny, czy jakiegoś owada, dotychczas im nieznanego. Zrobiliśmy więc jakie trzy mile, trzymając się prawego brzegu strumienia, gdy doszliśmy do dość sporej łąki. Otaczała ją wieniec krzewów, które grupowały się w gęste zarośla u podnóża kilku skał. Całe płaskowzgórze usilane jest glazami. Szliśmy powoli ku tym skałom, poprzez zarośla, sięgające nam do ramion, gdy

uderzyły nas jakieś dziwne, świszczące odgłosy, które zdawały się wypełniać powietrze nieustannym brzęczeniem, a pochodziły skądś z pobliza. Lord Roxton dał nam ręką znak, abyśmy się zatrzymali, a sam ruszył żwawo w stronę skał. Widzieliśmy, jak pochylał się nad głazami i jak potem usunął się zdumiony; przez chwilę zdawał się tak pochłonięty tem, co ujrzał, że zapomniał o nas, ale wreszcie skinął ku nam, jednocześnie dając nam znak, abyśmy się ostrożnie posuwali. Zachowanie jego dawało nam wyraźnie do zrozumienia, że natrafiliśmy na jakieś ciekawe, lecz niebezpieczne zjawisko.

Skradając się, stanęliśmy u skał; mieliśmy przed sobą otchłań, która musiała być kiedyś kraterem jakiegoś drobnego wulkanu. Na dnie jego, o kilkadziesiąt jardów od nas, stała sadzawka zielonkawej, zasnutej pleśnią wody. Było to samo przez się złowrogie jakieś miejsce, ale mieszkańcy jego czynili je podobnem do siódmego kręgu Dantejskiego piekła. Nora ta była wylęgarnią pterodaktyłów; setki ich kotłowały się pod nami, młode trzepotały się nad brzegiem sadzawki, a ohydne samice siedziały na błoniastych, żółtawych jajach. Z całej tej masy wstrętnych, oślizgłych gadów unosił się ten świszczący odgłos, rozlegający się po całej łące, i wydzielal się wilgotny, smrodliwy zaduch, który mógł przypawić o mdłości. Nieco wyżej, każdy na oddzielnym kamieniu, siedziały samce, wielkie, szare, pomarszczone, podobne raczej do sztucznie

zasuszonych okazów, niż do żywych stworzeń; były zupełnie nieruchome, tylko od czasu do czasu toczyły swymi czerwonymi oczyma, i otwierały dzioby, aby pochwycić przelatującego ogromnego owada. Błoniaste ich skrzydła były złożone i każdy z tych gadów sprawiał wrażenie olbrzymiej staruchy, owiniętej w szary szal, z nad którego wyglądałaby sucha i drapieżna głowa. Około tysiąca tych wstrętnych stworzeń, większych i mniejszych, znajdowało się u naszych stóp.

Obydwa profesorowie pozostałoby tu chętnie cały dzień, tak byli zadowoleni z tej okazji studjowania przedhistorycznego życia. Wskazywali sobie wzajemnie szczątki ryb i ptaków, leżące wśród kamieni, jako dowód tego, czem się żywią pterodaktyle. Cieszyli się też, że nareszcie znaleźli wyjaśnienie, czemu kości tych latających potworów odnajdywane były w tak wielkiej ilości w piaskach Cambridge; wszak pterodaktyle, tak jak pingwiny, żyją stadami.

Koniec końców, jednak Challenger, dowodząc w zaciętrzewieniu czegoś, czemu Summerlee przeczył, wychylił się poza skały i o mało nie zgubił nas wszystkich. Jeden z bliżej siedzących samców wydał natychmiast ostry, świszczący krzyk, i rozwinąwszy swoje błoniaste, na dwadziesta stóp długie skrzydła, uniósł się w powietrze. Samice i pisklęta zbiły się w jedną gromadkę na dnie

gniazda, a samcy poczęli jeden po drugim, wzbijać się do góry.

Widok tej setki przynajmniej, wstępnych stworzeń, bujających w powietrzu z lekkością jaskółek, był istotnie nadzwyczajny, ale przekonaliśmy się bezzwłocznie, że z żadnym z nich nie możemy się mierzyć. Z początku kołowały nad naszymi głowami, jakby chcąc się przekonać o rodzaju grożącego im niebezpieczeństwa, ale stopniowo lot ich stawał się coraz powolniejszy, zataczane koła coraz to mniejsze, aż wreszcie unosiły się tuż nad nami, a suche, ostre uderzenia ich potężnych skrzydeł napełniały powietrze szmerem, który przywodził na pamięć aerodrom w dniu popisów.

— Ruszajmy do lasu trzymając się kupy — zakomenderował lord Roxton — te potwory chcą się na nas rzucić.

W chwili, gdyśmy się zabierali do ucieczki, koło pterodaktyłów zacieśniło się już nad nami tak, że skrzydła ich dotykały niemal naszych twarzy. Waliliśmy je kolbami fuzji, ale wśród miękkiej masy ich ciał, uderzenia nasze nie napotykały żadnego oporu. Aż nagle z pośród tej brzęczącej, ciemnowej chmury wynurzyła się jakaś długa szyja, zakończona drapieżnym dziobem. Kilka uderzeń nastąpiło jedno po drugim; Summerlee krzyknął i podniósł rękę ku twarzy, po której płynęła krew. Silny cios w tył szyi obezwładnił mnie na chwilę. Challenger upadł, a gdy nachyliłem się, aby mu pomódz pow-

stać, otrzymałem drugie uderzenie, w plecy i zwałem się na niego. W tej samej chwili jednak usłyszałem wystrzał ze strzelby lorda Johna i ujrzałem, że jeden z pterodaktyli miota się ze straskanem skrzydłem po ziemi, piszcząc i skrzecząc, rozwierając swój ohydny dziób, i tocząc wściekłemi, nalanemi krwią oczyma, niczem szatan ze średniowiecznego obrazu. Towarzysze jego, spłoszeni wystrzałem, rozproszyli się nad naszymi głowami.

— Teraz, teraz — wołał lord John — chodzi o życie!

Rzuciliśmy się przez zarośla, ale nie zdążyliśmy jeszcze dobiec do lasu, jak te harpie rzuciły się znowu na nas. Mocne uderzenie strąciło Summerlee z nóg, ale podnieśliśmy go i wpadliśmy między drzewa; tutaj byliśmy bezpieczni, gdyż pterodaktyle nie mogły manewrować wśród gałęzi swemi olbrzymiemi skrzydłami. Ale, cofając się pokalczeni i pobici w stronę fortu, widzieliśmy jeszcze gromadę napastników, unoszącą się nad naszymi głowami wysoko, na tle błękitnego nieba, kołująca to wyżej to niżej, nie większą z tej odległości, jak stadko gołębi, i śledzącą nas swemi złemi oczyma. Aż wreszcie, gdyśmy się dostali do gęstszego lasu, dały spokój tej nagance i znikły nam z oczu.

— Pouczający i ciekawy incydent — rzekł Challenger, zanurzając w strumieniu, nad którymśmy się zatrzymali, spuchnięte kolano — możemy powiedzieć, Summerlee, żeśmy się dokładnie zapo-

znali ze zwyczajami rozdrażnionych pterodaktylów.

Summerlee obmywał pokaleczone czoło, a ja przewiązywałem ranę na szyi. Rękaw kurtki lorda Johna był zupełnie wydarty, ale zęby napastnika ledwie drasnęły ramie.

— Ciekawy to fakt — ciągnął Challenger — że młody nasz przyjaciel otrzymał cios dziobem, podczas, gdy ubranie lorda Roxtona zostało poszarpane zębami. Co do mnie, to waliły mnie po głowie skrzydłami, tak, że zapoznaliśmy się wszechstronnie z ich środkami napaści.

— Byliśmy o włos od śmierci — odezwał się poważnie lord John — i doprawdy trudno sobie wyobrazić nikczemniejszy koniec, jak rozszarpanie przez te wstrętne gady. Szkoda, że musiałem strzelić, ale, na honor, nie miałem wyboru.

— Nie bylibyśmy uszli z życiem, gdyby pan nie był strzelił, milordzie — zauważyłem z przekonaniem.

— Może nie będzie to miało żadnych złych następstw — rzekł — wśród tych lasów musi się nieraz rozlegać trzask padającego drzewa, podobny do wystrzału. Ale teraz, mojem zdaniem, mieliśmy dość wstrząśnień na dzisiaj i najlepiej zrobimy, wracając do obozu, aby zajrzeć do naszej apteki. Któż nam zaręczy, czy te potwory nie mają jakiego jadu w pazurach czy ślinie?

Ale napewno od stworzenia świata żaden człowiek nie przeżył takiego dnia jak my wówczas; oczekiwała nas bowiem jeszcze jedna niespodzianka. Gdyśmy wreszcie, idąc brzegiem strumienia, doszli do naszego obozu, nienaruszona barykada z cierni kazała nam przypuszczać, że znajdujemy się wreszcie w bezpiecznym miejscu. Ale okazało się, że zamiast spoczynku, czeka nas jeszcze jedna robotą, bo choć i furtka obozu i ściany jego były mietknięte, jednak zwiedzało go w naszej nieobecności jakieś dziwne a potężne stworzenie. Stopy jego nie pozostawiły żadnego śladu, i tylko zwisająca nisko gałąź olbrzymiego drzewa, wskazywała, którądy weszło i wróciło. Stan naszych zapasów mówił wyraźnie o złośliwych zamiarach gościa. Wszystko było rozrzucone po trawie; z jednej paczki z mięsem, rozbitej i zgniecionej, wyciągnięto jej zawartość. Naboje wysypano z pudełka.

Uczucie niejasnego lęku znowu nas opanowało, i zmęczonemi oczyma poczęliśmy badać otaczające nas głębie lasu, z którego mogło wynurzyć się nowe niebezpieczeństwo. To też nawołujący nas głos Zambo podziałał na nas kojąco, i z prawdziwą radością ujrzeliśmy murzyna, stojącego na piramidzie po przeciwnej stronie przepaści.

— Wszystko dobrze Massa Challenger — wołał — ja tu pozostać. Pan być spokojny, mi zaraz się tu znaleźć, jak potrzeba.

Jego poczciwa, czarna twarz i widok, jaki roz-

taczał się przed nami, przeniosły nas znów myślą do dorzeczy Amazonki, i uprzytomniły nam, że nie zostaliśmy żadną siłą magiczną przeniesieni w odległe czasy, na jakąś nieznaną planetę, lecz istotnie żyjemy na Ziemi w XX wieku. Trudno jednak było uwierzyć, że ta niebieskawa linja na dalekim horyzoncie graniczyła z wielką rzeką, po której płyną parowce, a na nich ludzie rozmawiają o swych drobnych, codziennych sprawach, podczas gdy my, uwięzieni wśród przedpotopowych potworów, mogliśmy jedynie spoglądać w dal i tęsknić za nią.

Pamiętam jeszcze jeden drobny incydent, na którym chciałbym zamknąć opis wypadków tego dnia: nasi dwaj profesorowie, zapewne podnieceni swemi guzami i ranami, zaczęli żywą dysputę, czy nasi napastnicy należeli do gatunku pterodaktyłów czy dimorhodonów. Nie chcąc się przysłuchiwać ich waśniom, usiadłem zdala na pniu zwałonego drzewa i zapaliłem papierosa, gdy lord John zbliżył się do mnie.

— Czy pan pamięta, Malone, to miejsce gdzieś-my natrafili na pterodaktyle? — spytał.

— Bardzo dokładnie.

— Był to jakby krater wygasłego wulkanu, nieprawdaż?

— Tak jest.

— Zauważył pan jaki tam był grunt?

— Skalisty.

— Ale wokół wody—tam, gdzie rosły trzciny?

— Grunt miał zabarwienie błękitnawe. Wyglądał jak glina.

— Otóż właśnie. Kadź wulkaniczna pełna błękitnawej kliny.

— Więc cóż z tego? — spytałem.

— Nic, nic zupełnie — odparł i cofnął się ku miejscu, skąd głosy dwóch profesorów rozlegały się jak nieprzerwany duet, gdzie ostry falset Summerlee łączył się z donośnym basem Challengeera. Zapomniałbym zupełnie o rozmowie z lordem Johnem, gdyby nie fakt, że w nocy usłyszałem jak szeptał sam do siebie: „błękitnawa glina — glina w kadzi wulkanicznej“. Był to ostatni dźwięk, jaki mnie dobiegł zanim zapadałem w kamienny sen.

Rozdział XI.

„I ja byłem raz bohaterem“.

Lord Roxton miał rację, przypuszczając, że ukąszenie ohydnych pterodaktyłów mogło być jadowite; na drugi bowiem dzień po naszej przygodzie Summerlee i ja dostaliśmy silnej gorączki i bóli, a kolano Challengeera tak spuchło, że ledwie mógł stapać. Z tego powodu pozostaliśmy przez cały dzień w obozie, a lord John zajął się wzmocnieniem jego ścian, które były naszą jedyną obroną. My zaś pomagaliśmy mu w tej robocie, na ile nam sił starczyło.

Przypominam sobie, że w ciągu tego całego długiego dnia doznawałem wciąż przykrego uczucia, że ktoś obserwuje nas zbliska, choć kto to jest i skąd to czyni nie umiałbym określić. Wrażenie to było tak żywe, że zwierzyłem się zeń profesorowi Challengeerowi, który położył je na karb mej gorączki.

Raz po raz oglądałem się wokół, przekonany, że spotkam czyjeś spojrzenie, ale wzrok mój padał niezmiennie na ciemną głąb lasów. Temniemniej z biegiem dnia uczucie, że jestem śledzony przez jakąś złośliwą, podstępna istotę wzrastało we mnie coraz silniej. Przypomniałem sobie indyjski przesąd o Curupuri — strasznym duchu puszczy — i zrozumiałem, jaką męką musiał być dla tych, którzy zgwałcili jego najszybszy przybytek, strach przed jego obecnością.

Tej nocy, a była to trzecia na Ziemi Maple White'a, spotkała nas znów przygoda, która wywarła na nas przygnębiające wrażenie i przekonała nas jak rozsądnie postąpił lord Roxton wzmacniając mury naszego obozu. Spaliśmy wszyscy wokół dogasającego ognia, gdy zbudziły nas, lub raczej wyrwały ze snu, najprzeróżniejsze ryki i piski, jakie można sobie wyobrazić. Nie znam odgłosu do którego mógłbym porównać ten zdumiewający hałas, który zdawał się dobiegać z odległości nie większej niż kilkaset kroków od naszego obozu. Był to jakby rozdzierający uszy gwizd lokomotywy, ale nie mechaniczny i ostry, a natomiast nieporównanie głębszy, wibrujący przerażeniem i bólem. Zasłoniliśmy dłońmi uszy, aby nie słyszeć tego wstrząsającego nerwy wołania. Czułem, że całe moje czoło pokrywa się zimnym potem i że serce zamiera mi z żalu i strachu. Cała męka, cała trwoga torturowanej istoty wyrażała się w tym przejmującym,

rozpaczliwym głose, któremu towarzyszył inny; coś jakby przerywane, niskie, gardłowe chychotanie, — groteskowy, a zarazem potworny akompanjament dominującego nad nim bólu. Przez trzy czy cztery minuty trwał ten przerażający duet; spłoszone ptaki zrywając się z drzew szeleściły jego listowiem. Aż wszystko zamilkło tak nagle, jak się zaczęło.

Prze długą chwilę siedzieliśmy w pełnem grozy milczeniu; wreszcie lord Roxton dorzucił parę szczap do ognia, który, zapłonawszy czerwonym blaszkiem, oświetlił zmęczone twarze moich towarzyszy i zamigotał wśród gałęzi drzew.

— Co to było? — wyszeptalem.

— Dowiemy się zrana — odparł lord John — musiało się to dziać w pobliżu, nie dalej jak na przełęczy.

— Dostąpiliśmy zaszczytu asystowania przy prehistorycznej tragedji, odgrywającej się wśród sitowia, na brzegu Jurajskiej laguny, gdzie mocniejszy zwierz, dławił słabszego w mule błotnym — odezwał się Challenger tak uroczyście, jak nigdy dotychczas — wielkie to szczęście dla człowieka, że zjawił się jak ostatnie ogniwo w łańcuchu stworzeń. W odległych bowiem wiekach panowały siły, których nie byłby zdolął przemóc ani odwaga ani broń. Czemże są jego maczugi, luki, strzały wobec takiej potęgi, jaka rozpełtała się dzisiejszej nocy?

Nawet dzisiejsza fuzja byłoby igraszka wobec takiego potwora.

— Myślę jednak, że można nieco liczyć na mego przyjaciela — rzekł lord John, głaszcząc swoją fuzję.

Summerlee podniósł rękę.

— Pst — szepnął — coś się zbliża.

W głębokiej ciszy rozległ się nagle równy, powolny szmer. Było to stapanie zwierzęcia — odgłos ciężkich, miękkich łap, stawianych ostrożnie na ziemi. Kroki okrążyły z wolna nasz obóz, aż wreszcie zatrzymały się u wejścia. Słyszać było cichy, opadający i unoszący się, nieco chrapliwy, oddech zwierzęcia.

Jedynie wątła zagroda dzieliła nas od tej strasznej zjawy nocnej, każdy z nas pochwycił za broń, a lord John usunąwszy niewielki peczek cieni, zrobił wylom w murze.

— Na honor — szepnął — widzę go!

Poprzez jego ramię spojrzałem w otwór. Tak i ja dojrzałem napastnika. W głębokim cieniu drzew majaczyła jakaś masa jeszcze ciemniejsza, niewyraźna, — jakiś kształt przyczajony, dziki i groźny. Nie większy był od konia, ale rozrosły i potężny. Oddech jego, regularny, pełny jak sapanie maszyny, mówił o potwornej sile organizmu. Raz, gdy się poruszył, zdawało mi się, iż dostrzegam dwoje zielonawych, błyszczących oczu. Wreszcie usłyszeliśmy szmer, jakgdyby zwierzę z wolna podpełzało naprzód.

— Zdaje mi się, że gotuje się do skoku — rzekłem, podnosząc fuzję.

— Nie strzelać, nie strzelać — szepnął lord John — echo wystrzału w tej ciszy nocnej rozjeździe się na milę wokoło. Zachowajmy to na najgorszy wypadek.

— Jeżeli zwierzę przeskoczy żywopłot, będziemy zgubieni — szepnął Summerlee, a głos jego załamał się w nerwowym śmiechu.

— Nie, nie przeskoczy — zawołał lord John — ale do ostatniej chwili wstrzymajcie się ze strzałem. Może mi się uda wybrnąć z sytuacji. W każdym razie spróbuję.

Nie sądziłem nigdy, aby człowiek mógł zdobyć się na czyn tak odważny. Lord Roxton zbliżył się do ogniska, porwał płonąca głównię i błyskawicznie wysunął się przez otwór, znajdujący się przy wejściu. Zwierzę cofnęło się z okropnym chrapnięciem, ale lord John, nie wahając się ani chwili, podbiegł ku niemu i zwinnym, pewnym siebie ruchem cisnął mu głównię między oczy.

Prze jedną chwilę mignęło przedemną coś jakby łeb olbrzymiej ropuchy, o lepkiej, pokrytej wrzodami skórze i szerokiej paszczy, umazanej świeżą krwią. Poczem rozległ się trzask łamanych gałęzi i straszny gość zniknął.

— Byłem pewien, że uleknie się ognia — zaśmiał się lord John, gdy wróciwszy ku nam cisnął głównię w ognisko.

— Jak pan mógł narażać się na takie niebezpieczeństwo! — zawołaliśmy jednocześnie.

— Nie było innej rady. Strzelając do zwierzęcia, gdyby się tu dostało, byłibyśmy się wzajemnie pozabijali w ciemnościach. A gdybyśmy się starali dosięgnąć je z poza ogrodzenia, byłibyśmy je jedynie zranili i rozwścieczyli jeszcze więcej. W gruncie rzeczy uważam, żeśmy bardzo szczęśliwie wydobyli się z tego niebezpieczeństwa. Jakże się zowie ta istotka?

Nasi uczeni spojrzeli na siebie z pewnem wahaniem.

— Co do mnie — rzekł Summerlee, zapalając fajeczkę u ogniska — przyznaję, że nie potrafiłbym nazwać tego zwierzęcia.

— Przyznaniem tym daje pan dowód wielkiego naukowego taktu — zauważył Challenger z dobrotniwym pobłażeniem — nawet ja sam nie potrafię powiedzieć nic nad to, że dzisiejszej nocy mieliśmy do czynienia z jakąś odmianą mięsożernego „dinosaurusa“. Wyrażałem już poprzednio zdanie, że zwierzęta tego gatunku istnieją prawdopodobnie na tem płaskowzgórzu.

— Niech pan jednak pamięta — odparł Summerlee — że istnieje wiele odmian przedhistorycznych zwierząt, które wyginęły zupełnie bez śladu. Przedwczesnem też byłoby przypuszczać, że potrafimy określić każde, jakie napotkamy tutaj.

— Oczywiście. Musimy się pogodzić z bardzo ogólnikową klasyfikacją. Ale być może, że rano natrafimy na jakiś ślad, który nam umożliwi rozpoznanie zwierzęcia; na razie udajmy się znów na przerwany spoczynek.

— Ale nie bez warty — rzekł stanowczo lord John — nie można zdawać się na łaskę losu w podobnym kraju. Od chwili obecnej będziemy wartowali kolejno po dwie godziny.

— W takim razie ja zaczynam kolejkę, co mi pozwoli dopalić fajeczkę — odezwał się Summerlee.

Istotnie od tej chwili nie zasypialiśmy nigdy bez straży.

Następnego ranka odkryliśmy z łatwością przyczynę tego strasznego, nocnego tumultu. Przełęcz iguanodonów była sceną okropnej rzeźni. Trawa pokryta była wokół kałużami krwi i usiana wielkimi strzępami mięsa, co kazało nam początkowo przypuszczać, że większa ilość zwierząt została tu zmasakrowana, ale przyjrawszy się baczniej szczątkom doszliśmy do przekonania, że ofiarą padł jeden z tych niepomiernych potworów, który został rozszarpany dosłownie na kawałki, przez napastnika, może nie większego od siebie, ale znacznie okrutniejszego.

Profesorowie zapuścili się w skomplikowaną dysputę, oglądając kolejno strzępy mięsa, z których każdy nosił ślady potężnych kłów i pazurów.

— Musimy się powstrzymać jeszcze z wydaniem sądu — zaopiniował Challenger, trzymając na kolanach wielki kawał białawego mięsa — pewne poszlaki wskazują, iż napastnikiem był tygrys o szablowych zębach, jeden z takich, których szczątki do dziś znaleźć można w wykopaliskach naszych jaskiń, ale zwierzę widziane przez nas w nocy było stanowczo większe i miało raczej cechy płaza. Osobiście skłaniam się do myśli, że był to allosaurus.

— Albo megalosaurus — wtracił Summerlee.

— Tak jest. Wogóle którykolwiek z większych dinosaurów. Wśród nich to znajdują się najpotworniejsze gatunki zwierząt, jakie kiedykolwiek były plagą ziemi, a rozkoszą muzeów — i przy tych słowach zaśmiał się głośno ze swego konceptu, bo choć nie jest obdarzony zbyt subtelnym dowcipem, jednak własne żarty pobudzają go do najserdeczniejszej wesołości.

— Im mniej hałasu, tem lepiej — zgromił go krótko lord John — nie wiemy kto, czy co, może znajdować się w pobliżu. Jeśli ten miły jegomość powórci i spożyje nas na śniadanie, nie będziemy mieli zbytniego powodu do śmiechu. Ale co to za znak na skórze igranodona?

Na chropowatej, ciemnej skórze widniała nad łopatką dziwna, czarna plama, jakgdyby z asfaltu. Żaden z nas nie umiał wytłomaczyć jej pochodze-

nia, a Summerlee twierdził, że zauważył coś podobnego na skórze młodych inaguadonów. Challenger nie przemówił ani słowa, ale jego nadasana i napuszona mina dawała wyraźnie do poznania, że, gdyby tylko zechciał, potrafiłby rozwiązać absorbującą nas zagadkę. Wreszcie lord John zasięgnął jego zdania.

— Jeżeli Wasza Lordowska Mość pozwoli mi otworzyć usta z największą przyjemnością wypowiem swoje zdanie — rzekł wówczas Challenger z przesadnym sarkazmem — nie jestem przyzwyczajony, aby upominano mnie w sposób, który zdaje się być właściwym jego lordowskiej Mości. Przytem nie wiedziałem, że należy pytać o pozwolenie, zanim człowiek się uśmiechnie z niewinnego żartu.

Dopiero solenne przeprosiny zdołały ułagodzić naszego drażliwego przyjaciela. Po tem zadośćuczynieniu rozsiadł się na pniu zwalonego drzewa i, tak jak to było jego zwyczajem, zwrócił się do nas z wykładem, niby do swych uczniów.

— Co się tyczy owej plamy — zaczął — to podzielam zdanie mego przyjaciela i kolegi profesora Summerlee, iż jest ona pochodzenia asfaltowego. Zważywszy, iż to płaskowzgórze odznacza się charakterem wybitnie wulkanicznym, i że asfalt jest substancją pozostającą w związku z siłami plutonicznymi — nie wątpię, iż istnieje on w stanie płynnym i że te zwierzęta mogą się z nim stykać. Ale

problemem nierównie ważniejszym jest rodzaj tego mięsożernego potwora, którego ślady znajdujemy na tej tu przełęczu. Wiemy już, iż płaskowzgórze to nie jest większe od przeciętnego angielskiego hrabstwa; na tej to ciasnej przestrzeni żyje od niezliczonych lat pewna ilość zwierząt, przeważnie wymarłych w pozostałej części świata. Oczywiście jasnym jest, że w ciągu tak długiego okresu czasu zwierzęta drapieżne, mnożąc się bezustannie, powinny były wyczerpać cały zapas pożywienia, i musiałyby albo zmienić sposób odżywiania, albo wyginać z głodu. Jednakowoż tak nie jest. Wskutek tego musimy dojść do wniosku, że jakieś przyczyny, ograniczające mnożenie się drapieżnych zwierząt, utrzymują równowagę przyrody. Odkrycie tych przyczyn jest jednym z najciekawszych zadań, jakie nas tu oczekują. To też mam nadzieję, że w przyszłości zdarzy nam się jeszcze okazja do bliższego zapoznania z drapieżnym dinosaurem.

— A ja mam nadzieję, że ta okazja się nie zdarzy — wtrąciłem.

Profesor rzucił mi z pod krzaczastych brwi takie spojrzenie, jakiem się karci uczniaka za niestosowne odezwanie.

— Może profesor Summerlee ma jaką uwagę od zrobienia — rzekł i obydwaj uczeni zagłębili się w skompilkowaną rozprawę, czy doniosłe owe przyczyny należy przypisać warunkom niesprzyjającym rozmnażaniu się wielkich zwierząt, czy też

zmniejszeniu się ilości mniejszych, które im mogły służyć za pożywienie.

Tego dnia zbadaliśmy okolice, leżące na zachód od strumienia, omijając starannie bagno pterodaktylów. Napotkaliśmy na gęste lasy, których obfite posycie utrudniało niepomierne nasz marsz.

Dotychczas opisywałem wyłącznie złe strony Ziemi Maple White'a, ale posiada też ona i wiele uroku, gdyż cały ten poranek spędziliśmy wśród ślicznych kwiatów, przeważnie białych lub żółtych, które to kolory, jak nas objaśnili profesorowie, są prymitywnemi barwami kwiatów. Miejscami pokrywały one ziemię kobiercem, w którym zapadałiśmy się po kostki, a którego zapach był odurzający. Zwykle pszczoły uwijały się wokół nas. Wiele drzew, pod którymiśmy przechodzili, obwieszona były owocami; niektóre gatunki były nam znane, inne znów zupełnie nowe. Zrywając te, które były napoczęte przez ptaki, co nas zapewniało, że nie były trujące, powiększaliśmy nasze zapasy o nowy przysmak.

Wśród puszczy zauważyliśmy wiele szlaków, wydeptanych przez zwierzęta, a w okolicach błotnistych masę dziwacznych śladów, a między nimi i ślady iguanodona. Raz spostrzegliśmy kilka tych olbrzymich stworzeń, pasących się w zaroślach; lord John dojrzał przez lornetę, że i te miały znak asfaltowy, ale w innym miejscu, niż ten, który nas

tak zastanowił zrana. Nie mogliśmy pojąć, co oznacza ten fenomen.

Napotkaliśmy także wiele mniejszych stworzeń, jak jeżozwierze, mrówkojady, pokryte łuska, i dziłkie świnię, pstrokate z długimi, zakrzywionymi kłami. Raz, między rzadszymi nieco w tym miejscu drzewami, ujrzeiliśmy zielony stok jakiejś góry, na tle której przemknęło spore, brunatne zwierze. Mignęło zbyt szybko, abyśmy mogli je rozróżnić, ale jeśli był to jelen, jak twierdził lord John, to musiał być tak ogromny, jak te potworne irlandzkie losie, których szczątki uczeni wykopują niekiedy z bagnisk mojej ojczyzny.

Od czasu owej tajemniczej wizyty w naszym obozie, zastawaliśmy go zawsze, za powrotem z wycieczki, w jakimś nieładzie. Tym razem jednak nic w nim nie ruszono.

Tegoż wieczora odbyliśmy walną naradę nad naszym położeniem i najbliższymi projektami; naradę tę chce obszernie opisać, gdyż wynikiem jej było takie zapoznanie się z Ziemią Maple White'a, jakiego by nam nie dało długie jej badanie.

Summerlee wszczął rozmowę; przez cały dzień był w kłótlwym nastroju, aż wreszcie niewinna wzmianka lorda Johna o planach na dzień jutrzejszy, wywołała wybuch goryczy.

— To cośmy powinni robić jutro i pojutrze i codziennie — rzekł — to szukać sposobu wydobycia

się z tej pułapki w jakąśmy wpadli. Wszyscy wysilacie się nad tem, jak dotrzeć w głąb tego kraju, a ja uważam, żeśmy powinni za wszelką cenę zeń się wydobyć.

— Doprawdy dziwię się — zauważył Challenger, majestatycznie głaszcząc brodę — dziwię, iż człowiek nauki może żywić tak niskie uczucie. Znajdujemy się w kraju, który może zaspokoić ambicje i ciekawość prawdziwego przyrodnika, jak żaden inny, od samego stworzenia świata! A pan chce go porzucić, nie zbadawszy go nawet powierzchownie! Doprawdy, panie profesorze, nie tego spodziewałem się po panu.

— Muszę panu przypomnieć — zauważył Summerlee kwaśno — iż zostawiłem w Londynie liczne grono słuchaczy, na łasce bardzo niedostatecznego zastępcy, w tem właśnie różni się nasza wzajemna sytuacja, mój drogi profesorze, gdyż o ile mię pamięć nie myli, nie powierzono panu nigdy jeszcze odpowiedzialnej pracy wychowawczej.

— Rzeczywiście — odciął Challenger — uważałem za świętokradztwo rozpraszanie, w podobnym zajęciu, umysłu, zdolnego do głębszych badań. Dlatego wymawiałem się stale od wszelkiej belferki.

— Kiedyż to, naprzykład? — drwiaco zapytał Summerlee, ale lord Roxton pośpieszył zmienić temat rozmowy.

— Muszę się przyznać — rzekł — iż powrót do Londynu przed dokładniejszym zbadaniem tego kraju, uważałbym za nader smutną ostateczność.

— Co do mnie — zawołałem — nie ośmieliłbym się nigdy spojrzeć w oczy starego Mc Ardle'a (wybaczy pan, nieprawdaż, drogi redaktorze, te szczerość mego listu), ani nawet ukazać się w redakcji po takim postępku. Mac Ardle nie darowałby mi nigdy zmarnowania podobnej okazji, podobnych tematów do artykułu. Pozatem wydaje mi się że cała ta dyskusja jest bezcelowa, gdyż nie możemy się stąd wydostać, nawet gdybyśmy chcieli.

— Młody nasz przyjaciel wynagradza pewną dozą zdrowego rozsądku liczne swoje umysłowe braki — zauważył Challenger — oczywiście sprawy związane z jego oplakanyim zawodem nic nas nie obchodzą, ale, ponieważ, jak to słusznie zauważył, nie możemy się stąd wydostać, więc wszelkie dyskutowanie w tej sprawie jest tylko marnowaniem energii.

— Marnowaniem energii jest myślenie o czemkolwiek poza tem właśnie — zamruczał Summerlee z poza dymów swej fajki — pozwolę sobie przypomnieć panom, iż przybyliśmy tu w ściśle określonej misji, jaką nam powierzono na zebraniu w Instytucie Zoologicznym w Londynie. Celem tej misji było przekonanie się o prawdziwości twierdzeń profesora Challengeera, które to twierdzenia, jak muszę przyznać, możemy dziś śmiało poprzec. W ten

— Muszę się przyznać — rzekł — iż dowiodłoby
więc sposób misję naszą doprowadziliśmy do po-
myślnego rezultatu, zbadanie zaś tego płaskowzgó-
rza jest zadaniem, któremu mogłaby spostać jedy-
nie duża, specjalnie wyekwipowana wyprawa. My,
gdybyśmy się do tego zabrali, to nietylko nie do-
konalibyśmy niczego, ale poprostu żaden z nas nie
wyszedłby stąd z życiem. Profesor Challenger
wynałazł sposób dostania się tutaj; mam wrażenie,
że możemy polegać na jego pomysłowości i wów-
czas, gdy chodzi o wydostanie się stąd.

Przyznaję, że ten punkt widzenia wydał mi się
bardzo rozsądnym. Nawet Challengerowi trafiła
do przekonania uwaga, że nie zdoła zwyciężyć
swych wrogów o ile dowody jego twierdzeń nie
dojdą do wiadomości ogółu.

— Sprawa wydostania się stąd — rzekł — jest
na pierwszy rzut oka beznadziejna, tem niemniej
wierzę, że zdołam jej podolać. Zgadzam się rów-
nież z moim kolegą, że dłuższy pobyt na Ziemi Maple
White'a nie jest na razie wskazanym, i że niebawem
powinni będziemy myśleć o powrocie, ale zgodzę
się opuścić płaskowzgórze dopiero po takim, choć-
by powierzchownym zbadaniu, które by mi pozwo-
liło sporządzić jego mapę.

Summerlee nie mógł powstrzymać gestu znie-
cierpliwienia.

— Spędziliśmy tu dwa długie dni — od-
parł — i też wiemy o topografii kraju co
i w chwili przybycia. Widocznem jest, że płasko-

wzgórze porastają gęste lasy, których przebycie wymagałoby miesięcy. Gdybyż jeszcze gdzieś w centrum wznosiła się wyżyna... ale przecież o ile możemy dotychczas sadzić, poziom gruntu zniżą się do środka; to też im dalej się posuwamy, tem mniej jest prawdopodobieństwa, abyśmy mogli trafić na ogólny widok płaskowzgórza.

W tej to chwili nagły pomysł zrodził się w mojej głowie. Spojrzenie moje padło na olbrzymi pień drzewa ginkgo, którego gałęzie zwieszały się nad nami. Skoro było ono o tyle grubsze od innych drzew, to prawdopodobnie musiało być i o wiele wyższem, a jeżeli brzegi płaskowzgórza były zarazem najwysięjszymi punktami, to czemuż drzewo to nie miałoby odegrać roli strażnicy, wznoszącej się nad całym krajem? Dzieckiem, w Irlandji, wspinałem się śmiało i zrecznie na najwyższe drzewa, towarzysze moi celowali we wdzieraniu się na skały, ale wiedziałem, że mi nie dorównają tam, gdzie chodziło o drzewo. Nie wątpiłem ani chwili że jeśli uda mi się zaczepić nogi o najniższe konary, potrafię się dostać aż na szczyt drzewa. Towarzysze moi zachwyceni byli tą myślą.

— Młody nasz przyjaciel — rzekł Challenger wydymając czerwone jak jabłka policzki — zdolny jest do takich akrobatycznych ćwiczeń, na jakie nie potrafiłby się zdobyć człowiek cięższej, choć bardziej imponującej budowy. Pochwalam jego propozycje.

— Na honor, chłopcze, — zawołał lord John, uderzając mnie po ramieniu — trafił pan w sedno! Nie mogę zrozumieć, czemuśmy wcześniej nie wpadli na ten pomysł. Pozostaje już tylko godzina dnia, ale wziawszy z sobą notatnik, będzie pan jeszcze mógł naszkicować pobieżnie mapę. A teraz postawmy jedną na drugiej te trzy skrzynki z amunicją i wwindujemy pana na nie.

Wdrapaliśmy się na skrzynie; poczem obróciłem się twarzą do pnia, a lord John starał się unieść mnie w górę, gdy nagle Challenger podskoczył i tak mnie podrzucił swą olbrzymią łapą, że niemal wpadłem między konary. Objąwszy ramieniami gałąź, podniosłem się powoli w górę, aż wreszcie wydzwignąłem całe ciało i objąłem kolanami pień. Nad sobą miałem trzy wspaniałe gałęzie, stanowiące jakby trzy szczeble drabiny, a nad nimi cały gąszcz zieloności, w który pograżyłem się tak prędko, że ziemia zniknęła mi z oczu, zakryta morzem listowia. Od czasu do czasu natrafiłem na jakąś przeszkodę, raz musiałem się przedzierać na przestrzeni 8 czy 10 stóp przez łodygi jakiegoś pnącza, ale naogół wspinałem się żwawo i grzmiący głos Challengegra dochodził mnie już z oddali.

Drzewo było jednak olbrzymie i spoglądając w górę, nie dostrzegałem wcale, aby gałęzie jego się przerzedzały. Wśród konarów napotkałem jakiś zwój pasożytniczy rośliny, gęstej jak zarośle, i chcąc się przekonać, coby to być mogło wsunąłem

między nie głowę, i — o mało nie spadłem pod wrażeniem tego, com zobaczył.

Jakaś twarz, oddalona o stopę lub dwie od mojej, patrzyła wprost na mnie. Stworzenie, do którego należała, zaczęło się w krzakach i wyjrzało z nich właśnie w tej chwili, gdy ja w nie zajrzałem; była to twarz ludzka, lub raczej ze wszystkich dotychczas widzianych twarzy małpich — najbardziej do ludzkiej podobna. / Była podłużna, płowa, o płaskim nosie, wystającej dolnej szczęce, pokryta brodawkami, i okolona gęstym włosiem. Oczy, ukryte pod krzaczastymi brwiami miały wyraz dziłki i drapieżny, a pół otwarte wargi, otwierając się w groźnym chrapnięciu, ukazały ostre, skrzywione, jakby psie zęby.

Przez jedno mgnienie oka wyczytałem w tem złem spojrzeniu groźbę i nienawiść. — które ustąpiły miejsca wyrazowi niewypowiedzianej trwogi. Potem rozległ się trzask łamanych gałęzi i stworzenie zniknęło wśród gęstego listowia, mignawszy w potoku obrywanych po drodze liści, włochatym cielskiem, podobnem do ciała rudawej świni.

— Co się stało? — krzyknął z dołu lord Roxton — czy się panu co przytrafiło?

— Widzieliście? — zapytałem, obejmując ramionami gałąź i drząc każdym nerwem ciała.

— Słyszeliśmy hałas, jakgdyby się panu noga podwinęła. Co to było?

Czułem się tak wstrząśnięty tem nagłem zjawieniem się małopłuda, że przez chwilę miałem chęć zejść na dół i podzielić się mem odkryciem z towarzyszami, ale wspiałem się już tak wysoko, że wstyd mi było powracać, nie dopiawszy celu wyprawy.

To też po długiej pauzie, odzyskawszy oddech i panowanie nad sobą, począłem wspinać się dalej. Raz oparłem nogę na uschłej gałęzi i zawisłem przez parę sekund w próżni na rękach, ale naogół wspinanie się szło mi dość gładko, stopniowo liście wokół mnie zaczęły się przeredzać, a z wiatru, który począł owiewać mi twarz, wywnioskowałem, że góruję już nad wierzchołkami innych drzew. Postanowiłem jednak nie oglądać się, dopóki nie dosięgnę szczytu, i wdrapywałem się tak długo, aż najwyższa gałąź ugięła się pod moim ciężarem. Wówczas usadowiwszy się wygodnie wśród rozwidlonych gałęzi, rozejrzałem się wreszcie w cudnym krajobrazie tego dziwaczного kraju, w którymśmy się znajdowali.

Słońce zachodziło, ale wieczór był wyjątkowo spokojny i jasny, tak, że całe płaskowzgórze rysowało się wyraźnie przed moimi oczyma. Widziane z tej wysokości, miało kształt elipsy, o trzydziestu milach długości a dwudziestu szerokości. Brzegi jego zniżały się ku środkowi, gdzie leżało obszerne jezioro, mogące mieć jakie dziesięć mil obwodu. W wieczornem świetle błyszczały cudownie jego zie-

lone wody, otoczone gęstą frendzlą sitowia, splamione złotawemi plamami piaszczystych ławic. Na tych ławicach dojrzałem jakieś ciemne podłużne przedmioty, zbyt długie, jak na czółna, a zbyt wielkie na aligatory. Za pomocą lunety przekonałem się, że przedmioty, te były to żywe stworzenia, ale nie potrafiłbym określić jakie.

Z tej strony płaskowzgórza, na któreśmy się znajdowali, ciągnęły się na przestrzeni sześciu mil, t. j. aż do jeziora, gęste lasy, poprzecinane polankami; u moich stóp leżała polana iguanodonów, a nieco dalej przerwa między drzewami wskazywała na trzęsawisko pterodaktyłów. Ale przeciwna strona płaskowzgórza przedstawiała widok wręcz odmienny. Bazaltowe skały, które ją opasywały, tworzyły urwiska na jakie dwieście stóp głębokie, porośłe lasami. U podnóża tych czerwonych skał widniały ciemne otwory jaskiń; w jednej z nich połyskiwało coś białawego, czego nie mogłem dokładnie rozróżnić.

Pilnie rysowałem mapę kraju, aż zapadający zmrok uniemożliwił mi pracę; wówczas ześlizgnąłem się na dół ku towarzyszom, wyczekującym mnie niecierpliwie. Nareszcie i ja byłem bohaterem. Mojemu pomysłowi i wykonaniu zawdzięczaliśmy mapę, która mogła nam zaoszczędzić całomiesięcznego błądzenia poomacku wśród czyhających wokół niebezpieczeństw. Każdy z towarzyszy uściskał mi uroczyście dłoń; zanim jednak przystą-

piliśmy do oglądania mapy, opowiedziałem o moim spotkaniu z małpoludem.

— On musiał być ciągle na tem drzewie — zakończyłem.

— Skąd pan to wie? — zapytał lord John.

— Ponieważ miałem bezustannie uczucie, że jakaś wroga istota nas śledzi. Wspominałem panu o tem, panie profesorze.

— Tak — potwierdził Challenger — nasz młody przyjaciel mówił mi coś w tym rodzaju. On jeden z pośród nas obdarzony jest tą celtycką wrażliwością, która reaguje na podobne objawy.

— Cała teoria telepatji — zaczął Summerlee, napychając fajkę.

— Jest za obszerna, abyśmy mogli teraz nad nią się zastanawiać — przerwał mu ostro Challenger, a zwracając się do mnie z miną biskupa, wizytującego niedzielną szkołkę, zaczął mnie indagować: proszę mi powiedzieć — rzekł — czy stworzenie to mogło skrzyżować duży palec na dłoni?

— Nie zauważyłem tego.

— A czy miało ogon?

— Nie.

— Nogi o palcach chwytnych?

— Przypuszczam, że nie wspinałoby się tak zwinnie po gałęziach, gdyby nie mogło ich chwycić palcami nóg.

— W Ameryce Południowej żyje, — o ile mnie pamięć nie myli, a w takim wypadku prosiłbym

profesorze^o Summerlee o sprostowanie — żyje więc trzydzieści sześć gatunków małp, ale niema wśród nich małpy antropoidalnej. Widocznem jest jednak, że istnieje na tem płaskowzgórzu, i nie jest odmianą kosmatego goryla, spotykanego jedynie w Afryce lub na wschodzie (spoglądając w tej chwili na Challengera, miałem ochotę zauważyć, że odmianę takiego goryla widziałem po raz pierwszy w Enmore Parku). Jest to brodaty i bezbarwny gatunek, a bezbarwność jego wskazuje, że pędzi życie w cieniu drzew. Otóż nasuwa się nam pytanie, czy napotkana przez pana istota zbliża się do małpy, czy do człowieka. W tym ostatnim wypadku mogłaby być właśnie tem, co nazywamy pospolicie „brakującym ogniwem“. Rozstrzygnięcie tego pytania jest teraz naszym najpierwszem zadaniem.

— Bynajmniej — zaprotestował Summerlee — właśnie teraz, gdy dzięki inteligencji i zręczności pana Malone zaopatrzyliśmy się w mapę kraju, najpierwszem naszym zadaniem jest wydostać się stąd zdrowo i cało.

— Powinniśmy być pionierami cywilizacji — bronił się Challenger.

— Raczej jej kronikarzami, profesorze. Obowiązkiem naszym jest zapoznać świat z naszym odkryciem, pozostawiając innym jego badanie. Zresztą zgodziliśmy się na to wszyscy, zanim p. Malone zdobył swą mapę.

— Coprawda — rzekł Challenger — muszę przyznać, że i ja będę spokojniejszy, gdy upewnię się, że wyniki naszej wyprawy nie pójdą na marne. Nie wiem jeszcze, w jaki sposób wydostaniemy się stąd, ale ponieważ dotychczas nigdy jeszcze nie natrafiłem na problemat, którego by mój umysł nie potrafił rozwiązać, nie obiecuję wam, że od jutra zajmę się poważnie sprawą naszego powrotu.

Na tem zakończyliśmy narady. Ale tego samego wieczoru, przy świetle naszego ogniska i jedynej świecy, zajęliśmy się opracowywaniem pierwszej mapy zaginionego świata. Każdy szczegół, zanotowany z wierzchołka mego obserwatorium, został odpowiednio wyrysowany. Ołówek Challengego zatrzymał się wreszcie na białej plamie, oznaczającej jezioro.

— Jakżeż je nazwiemy? — zapytał.

— Dlaczegoż nie miałby pan skorzystać, profesorze, z okazji uwiecznienia swego nazwiska? — odparł Summerlee ze zwykłą sobie ironją.

— Jestem pewien, panie, że imię moje w inny, poważniejszy sposób przyjdzie do potomności — surowo odparł Challenger — byle jaki osieł może uwiecznić swoje nędzne imię, nadając je jakiejś rzece lub górze. Co do mnie, nie potrzebuję podobnego pomnika.

Summerlee, uśmiechając się kwaśno gotował się do jakiejś nowej zaczepki, ale lord John zainteresował pośpiesznie.

— Panu, młodzieńcze, przysługuje prawo ochrzcenia tego jeziora — rzekł — pan je pierwszy dostrzegł i, na honor, jeśli podoba się panu nazwać go „jeziorem Malone“ nikt nie będzie miał prawa zaprotestować.

— To prawda — poparł go Challenger — niech nasz młody przyjaciel wyszuka sam nazwę.

— W takim razie — rzekłem, i przyznaje, że zaczerwieniłem się przy tych słowach — niechże się nazywa „jeziorem Gladys“.

— Nie sądzi pan — zauważył Summerlee — iż nazwa „Centralnego Jeziora“ odpowiadałaby lepiej jego położeniu?

— Wolałbym, aby się nazywało „Jeziorom Gladys“.

Challenger spojrział na mnie współczująco i pokiwał głową z wyrazem pobłażliwej nagany:

— Młodzi ludzie są zawsze jednacy — rzekł — niechże będzie „jeziorem Gladys“.

ROZDZIAŁ XII.

„Strasznie było w lesie“..

Wspominałem już, a może i nie wspominałem, gdyż pamięć zaczyna ostatnio mnie zawodzić — iż promieniałem dumą, gdy trzech tacy ludzie, jak moi towarzysze, dziękowali mi za uratowanie sytuacji, lub przynajmniej za wybitną pomoc w tym kierunku. Jako najmłodszy z całej wyprawy, nie tylko pod względem wieku, ale i co do wiedzy, doświadczenia i wyrobienia życiowego, — jednym słowem pod względem tego wszystkiego, co się składa na indywidualność prawdziwego mężczyzny — dotychczas zajmowałem najpośledniejsze miejsce. Aż wreszcie przyszła kolej i na mnie; myśl ta napawała mnie niewypowiedzianą radością. Niestety, pycha prowadzi do upadku, i ta obudzona we mnie próżność, to przesadne pojęcie o własnych siłach popchnęło mnie tejże nocy do kroku zakończonogo przygoda, o której nie mogę myśleć bez przerażenia.

Stało się to w następujący sposób: podniecony wyprawą na szczyt drzewa, nie mogłem żadną miarą usnąć. Summerlee, który wartował, siedział przy płonącym ognisku, trzymając strzelbę między kolanami, i zgarbiwszy swą kościstą, suchą postać, za każdym mimowolnym zdrzemnięciem kiwał koźlą bródka. Lord Roxton, owinięty długim płaszczem, leżał spokojnie, a chrapanie Challengeera rozlegało się echem po lesie. Księżyc w pełni świecił jasno, a powietrze było świeże i chłodne. Co za noc do spaceru! I nagle błysnęła mi w głowie myśl: Cemu nie? Cemu nie wymknąć się po cichu z obozu, nie dotrzeć samotnie aż do brzegów jeziora i wrócić przed śniadaniem z zaciekawiającym sprawozdaniem mojej wycieczki? Na jakież pochwały zasłużyłbym sobie wówczas! I gdyby przeważało zdanie profesora Summerlee co do natychmiastowego powrotu, gdyby zostały obmyślane środki wydobycia się z tej pułapki — przywieźlibyśmy do Londynu rozwiązanie największej zagadki tego płaskowzgórza, a ja byłbym jedynym w świecie człowiekiem, któryby dotarł do jego serca. Przypomniały mi się słowa Gladys: „zawsze można znaleźć okazję do niezwykłych czynów“. Zdawało mi się, że słyszę głos, którym je wymawiała. Stał mi także przed oczyma Mc Arde; co za wspaniałe artykuły dla naszego dziennika. Co za droga do sławy! Kto wie, czy w najbliższej wojnie nie zostałbym korespondentem z placu boju.

Sięgnąłem po strzelbę — kieszenie miałem pełne naboń — i, rozsunawszy ciernie w bramie naszego obozu, szybko wymknąłem się do lasu. Ostatnie moje spojrzenie padło na Summerlee, najlichszego z wartowników, który nad dogasającym ogniem kiwał się tak miarowo, jak dziecinny pajac.

Ale nie zdołałem jeszcze ująć i stu metrów, gdy pożałowałem mej decyzji; wspomniałem już raz w moich listach, że na skutek zbyt żywej wyobraźni, nie jestem prawdziwie odważnym, ale, że zawsze lękam się, aby nie wyglądać na tchórza. Ten to właśnie lęk popchnął mnie naprzód; poprostu nie mogłem wrócić do obozu, nie dopiawszy celu. Nawet gdyby moja chwilowa nieobecność ukryła się przed moimi towarzyszami, uczucie wstydu wobec samego siebie byłoby dla mnie zbyt męczącym. A jednak drżałem, widząc się tak samotnym w tym wielkim lesie, i dałbym dużo za to, aby się mózgi wycofać z honorem z całej tej sprawy.

Istotnie, strasznie było w lesie. Drzewa, rosące gęsto, posplatane były ze sobą konarami tak ściśle, że przez gąszcz ich listowia dostrzegałem księżyc zaledwie w niektórych rzadszych miejscach. Wzrok mój, przyzwyczajony się do ciemności, rozróżnił wśród drzew, rozmaite jej stopnie — gdzieindziej majaczyły przedemną jakieś szare, niejasne kontury, gdzieidziej znów mijałem ze strachem, ziejące cienia plamy, podobne do otworów olbrzymich jaskiń. Myślałem mimowoli o rozpaczli-

wej skardze męczonogo iguanodona — skardze, której echo powtórzyły lasy. I myślałem także o potwornej, okrwawionej, owrzodzonej paszczy tej bestji, która ujrzałem przy świetle główki lorda Johna. Znajdowałem się w obrebie jej państwa, każdej chwili bezimienny, ohydny potwór mógł wychylić się ku mnie z cienia. Zatrzymałem się i wyjmując nabój z kieszeni, chciałem odsunąć zamek strzelby...

Serce we mnie zamarło; zamiast porządnej strzelby, wziąłem niedużą dubeltówkę.

Znów ogarnęła mnie chęć powrotu. Miałem dostateczny powód do tego; powód, któremu nikt nie mógłby nic zarzucić. Ale znów odezwała się we mnie fałszywa duma: nie mogłem — nie powinienem być wracać z niczem. Wszak wobec niebezpieczeństw, które mnie czekały, duża strzelba była prawdopodobnie równie nieużyteczną, jak i ta dubeltówka. A trudno byłoby wrócić do obozu, zmienić broń i znów wyjść niepostrzeżenie; gdyby towarzysze moi się zbudzili, musiałbym zwierzyć się im ze swojego zamiaru, i nie zdołałbym go bez ich udziału wykonać. Po krótkiej więc chwili wahania, zebrałem się znów na odwagę, i ruszyłem dalej, dzwigając pod pachą moją nieużyteczną broń.

Ciemność lasu była straszna, ale jasne światło księżyca, zalewające przełęcz iguanodonów — było jeszcze straszniejsze. Z poza krzaków spojrzałem na łączkę: nie było na niej żadnego z olbrzy-

mich tych stworzeń. Być może, że tragedia, w której jedno z nich padło ofiarą, wypłoszyła ich z tego pastwiska. W srebrnym, mglistym świetle nie widziałem śladu żywej istoty; nabrawszy więc nieco otuchy, przebiegłem łączkę i zatrzymałem się po drugiej stronie, w lesie, nad strumieniem, który służył mi za przewodnika. Szemrał i pluskał wesoło jak te drogie mi, ojczyste potoki, w których dzieckiem nocami łowiłem pstrągi. Idąc w górę strumienia, musiałem dojść do jeziora, tak jak i później idąc za brzegiem jego w dół, wiedziałem, że powrócę do obozu. Niekiedy traciłem go z oczu wśród gęstych zarośli, ale plusk jego dochodził do mnie zawsze.

Grunt zaczął się zniżać, a las rzednąc, przechodził w zarośla, wśród których gdzieniegdzie widniało jakieś drzewo. Posuwałem się żwawo naprzód i obserwowałem wszystko wokoło, sam nie będąc widzianym; minałem zbliżka bagno pterodaktylów, a jedno z tych olbrzymich stworzeń — miało ze 20 stóp długości — zerwało się z ziemi i z głuchym, suchym trzaskiem skrzydeł, uniosło się w powietrze. Promienie księżyca, sącząc się przez błonę jego skrzydeł, nadawało mu pozór szkieletu, fruującego w jasnym świetle nocy podzwrotnikowej. Zaczaiłem się w krzakach, gdyż doświadczenie nauczyło mnie, że wstrętne to stworzenie jednym krzykiem mogło sprowadzić na mnie całą setkę towarzyszy. I dopiero wówczas, gdy pterodak-

tyl znikł mi z oczu zupełnie, odważyłem się wyjść z ukrycia.

Noc była przedziwnie spokojna, jednak w miarę jak posuwałem się dalej, przyciszony, głuchy, lecz nieustanny szmer począł dobiegać moich uszu. Wzrastało to coraz bardziej z każdym moim krokiem, aż wreszcie rozlegało się zupełnie z bliska. Sprawiało to wrażenie wody, gotującej się w wielkim kotle; wkrótce odkryłem przyczynę tego szmeru; na środku łąki, przez którą właśnie przechodziłem, znajdowało się coś w rodzaju jeziorka, — lub raczej stawu, gdyż nie było większe od basenu fontany na Trafalgar Square — napelnionego czar-niawą, gęstą cieczą, z której wytryskiwały bomble rozpalonego gazu. Powietrze wokół było rozgrzane, a ziemia tak gorąca, że nie mogłem dotknąć jej gołą ręką. Widocznie siły wulkaniczne, które przed dziesiątkami wieków utworzyły to płaskowzgórze, działały jeszcze. Po drodze widziałem już poczer-niałe kamienie skalne, stwardniałe odłamy lawy, wychylające się z pośród zieleni, ale ten asfaltowy kocioł był pierwszym śladem niewygasłych czyn-ności jakiegoś wielkiego wulkanu.

Nie mogłem przyglądać mu się długo, gdyż czas naglił jeśli zrana miałem wrócić do obozu. Okropna ta wędrówka przez całe życie pozostanie mi w pamięci. Na pustych, zalanych światłem księ-życa przestrzeniach, czołgałem się po ziemi w cie-niu. Wśród dżungli posuwałem się ostrożnie, za-

trzymując się z bijącym niespokojnie sercem ilekroć usłyszałem trzask gałęzi, łamanej jakgdyby łapą dzikiego zwierza. Niekiedy miały przedemną, rozplywając się w cieniach wielkie, milczące, bezszelestne cienie. Ileż razy zatrzymywałem się, oparowany chęcią powrotu, a jednak duma zwyciężyła lek i popychała mnie dalej, do raz zamierzonego celu.

Wreszcie (zegarek wskazywał pierwsza po północy) po przez drzewa zamigotała ku mnie ruchliwa toń wody, a w dziesięć minut później stałem wśród sitowia, nad wielkiem jeziorem.

Spragniony, położyłem się na brzegu i zaczępnawszy ręką wody, napiłem się jej chciwie; była świeża i chłodna. Szeroko wydeptana ścieżka świadczyła, że było to miejsce wodopoju dla okolicznych zwierząt. W pobliżu wznosił się wielki odłam lawy; wdrapawszy się nań, ułożyłem się na szczycie, skąd mogłem wybornie widzieć całą okolice.

Pierwsza rzecz, którą dostrzegłem, wprowadziła mnie w zdumienie; opisując to, co widziałem z wierzchołka drzewa, wspomniałem o szeregu ciemnych plam, które wydały mi się otworami jaskiń. Otóż teraz, spoglądając na te same skały, ujrzałem ze wszystkich stron bladawe, ale wyraźne światelka, podobne do okrągłych okienek wielkiego parowca płynącego noca. Przez chwilę sadziłem, że to odblask lawy jakiego płonącego wulkanu, ale

przypuszczenie to było absurdem, gdyż wulkan wybucha na szczycie, a nie z pośród skał. Cóżby więc to być mogło? Te migotliwe światełka musiały być blaskiem ognia, płonącego wewnątrz jaskiń — ognia rozpalonego ręką człowieka. Zdumiewające, a jednak niezaprzeczone odkrycie. Ludzkie istoty żyły na tem płaskowzgórzu!

Moja wyprawa została uwieńczona nadzwyczajnym skutkiem. Nielada jaką nowinę mogliśmy zawieźć do Londynu!

Przez długi czas przyglądałem się tym jasnym krążkom światła; sądzę, że były o jakie dziesięć mil oddalone odemnie, a jednak nawet z tej odległości mogłem zauważyć ich migotanie, wzmaganie się ich blasku, lub jego przyćmiewanie, gdy cień jakiś przesuwał się przed nimi. Cobym dał za to, aby móżdżek podpełznął bliżej, zajrzeć do wnętrza jaskiń, i móżdżek powiedzieć moim towarzyszom coś o wyglądzie i sposobie życia rasy, zamieszkującej ten dziwny kraj! Oczywiście nie mogłem o tem marzyć narazie, ale czułem, że niepodobna opuścić płaskowzgórza nie zbadawszy tej nowej zagadki.

Jeziro Gladys — moje jeziro — leżało przedemną, jak wielka tafla żywego srebra, w której drgały promienie księżyca. Wody jego były płytkie, gdyż w wielu miejscach wynurzały się z nich lawice piasku. Ruchoma powierzchnia, na której co chwila wysuwały się kręgi, zdradzała wręcz w niej życie, niekiedy błysnęła przedemną srebrzysta lu-

ska rybkę, lub mignął ciemny grzebień przesuwanego się głębiej potwora. Raz dojrzałem na piaszczystej ławicy coś w rodzaju łabędzia, o ciężkiem ciele i długiej, giętkiej szyi; przez chwilę ocierał się o piasek, poczem zanurzył się w wodę, i ukazawszy nad jej powierzchnią swą smukłą szyję i okrągłą głowę, dał nurka i nie pokazał się więcej.

Ale wkrótce to, co się działo u moich stóp, odwróciło moją uwagę od zjawisk bardziej oddalonych. Dwa stworzenia, podobne do wielkich pancerników, przyszły do wodopoju, i przykucnąwszy na brzegu, poczęły pić, wyciągając długie, zwijające się jak wstążka, czerwone języki. Wspaniały jeleni, królewskiej postawy podszedł wraz z łanią i dwojgiem młodych i pił spokojnie obok pancerników. Na całym świecie niepodobna znaleźć takiego jak ten jelenia, gdyż łosie, jakie dotychczas widywałem, nie sięgnęłyby mu nawet do łopatk. Nagle, cudne to zwierzę chrapnęło ostrzegawczo i uciekło wraz ze swą rodziną, a pancerniki odbiegły śpiesznie, szukając schronienia.

Nowy przybysz ukazał się na ścieżce. Przez chwilę zastanawiałem się, gdzie już mogłem widzieć te potworne cielsko, o wygiętym, trójkątnymi kolumnami najeżonym grzbiecie, i dziwnej ptasiej głowie, pochylonej ku ziemi. Aż nagle przypomniałem sobie; był to stegosaurus, zwierz wyrysowany przez Maple White'a, potwór, który przykuł uwagę Challengegera! Oto stał przedemną — ten sam może,

którego widział amerykański artysta. Ziemia drżała pod jego ciężarem, a gdy poczał pić, bulgotanie rozlegało się głośno wśród ciszy. Przez jakie pięć minut stał tak blisko odemnie, że gdybym wyciągnął rękę, mógłbym dotknąć ohydnych kołców jego grzbietu. Wreszcie oddalił się ciężko i zniknął wśród skał.

Zegarek wskazywał wpół do trzeciej i czas mi już było zbierać się w powrotną drogę. Nie miałem żadnej trudności w jej odnalezieniu, gdyż idąc z obozu przez cały czas, trzymałem się lewego brzegu strumienia, który wypływał z jeziora o kilkanaście kroków odemnie. Ruszyłem więc w drogę w znakomitym humorze czując, że wyprawa powiodła mi się i że przyniosę z sobą ciekawe nowiny. Najważniejszą bezwątpienia była wiadomość o świetle w jaskiniach, co dawało pewność, że zamieszkuje je jakaś rasa troglodytów. Poza-tem przekonałem się, że brzegi jeziora roją się od dziwnych stworzeń, których dotychczas jeszcześmy nie spotykali. Idąc, rozmyślałem, że niewielu ludzi na świecie mogłoby spędzić noc ciekawszą od mojej, i bogatszą w wiekopomne odkrycia.

Szłem tak pod górę, zajęty temi myślami, i zrobiłem już może połowę drogi, gdy uwagę moją zwrócił jakiś szmer. Było to coś pośredniego między chrapaniem a mruczeniem, odgłos cichy, lecz wyraźny i niewypowiedzianie groźny. Jakieś dziwne stworzenie znajdowało się widocznie w pobliżu, ale po-

nieważ nie mogłem go nigdzie dojrzeć, więc tylko przyspieszyłem kroku. Ubiegłem jeszcze jakie pół mili, gdy znów usłyszałem ten sam odgłos, ale o wiele groźniejszy. Serce zamarło we mnie na myśl, że to niewidzialne zwierze ściga mnie. Włosy zjeżyły mi się na głowie, a ciało pokryło się zimnym potem. Wzajemne rozszarpywanie się tych potworów było wynikiem zwykłej walki o byt, ale okropną wydała mi się myśl, że mogą rzucić się na współczesnego człowieka.

I znów stała mi przed oczyma straszna, umazana krwią paszcza, która jak widmo Dantejskiego piekła, wyrzała ku mnie z za ramienia lorda Johna. Kolana drgały podemną, gdy odwróciwszy się spojrzałem poza siebie. Wszystko wydawało się uśpionem wśród cichej nocy, nie widziałem nic prócz ciemnych plam zarośli, na które padał srebrny blask księżyca. I nagle, wśród tego milczenia, rozległ się znów głuchy, niski pomruk, znacznie bliższy i głośniejszy niż poprzednio. Niepodobna było wątpić: jakieś zwierzę było na moim tropie i zbliżało się ku mnie bezustanku.

Stałem jak skamieniały, wpatrując się w przebyta przestrzeń. I nagle ujrzałem napastnika. Na oddalonym końcu polanki poruszyły się krzaki, jakiś cień oderwał się od nich i wyskoczył w jasny blask księżyca. Rozmyślnie używam słowa „wyskoczył”, gdyż olbrzymie to zwierzę poruszało się jak kangur: odpychając się od ziemi potężnymi tylnymi no-

gami opadało na przednie. Musiałobyć niezmiernie silne, a choć było tak wielkie jak stojący dęba słoń, jednak ruchy miały mimo to zadziwiająco zwinne.

W pierwszej chwili, gdym je ujrzał, miałem nadzieję, że to iguanodon, o którym wiedziałem, że jest nieszkodliwy, ale mimo mego nieuctwa, spostrzegłem wkrótce, że miałem przed sobą zupełnie odmienne zwierze. Zamiast łagodnej sarniej głowy, żywiącego się liściem trzypalczastego zwierza, bestja ta miała płaską szeroką ropuchowatą paszczę, podobną do paszczy owego drapieżnika, który napastował nasz obóz w nocy. Groźny pomruk zwierzęcia, wytrwałość, z jaką mnie prześladował, przekonywały mnie, że był to krwiożerczy dinozaurus, jedno z najstraszniejszych zwierząt, jakie kiedykolwiek żyły na ziemi.

Olbrzymia ta poczwara posuwała się naprzód, opadając wciąż na przednie łapy i co jakiś czas opuszczając nos ku ziemi weszła moje ślady. Nie kiedy gubiła je na chwilę, ale później znów opadała na trop i podskakując, zbliżała się szybko tą samą drogą, która przeszedłem.

Nawet teraz, gdy myślę o tym strasznym potworze pot występuje mi na czoło. Co miałem począć? Bezużyteczna dubeltówka ciążyła mi na ramieniu. Czegóż się mogłem po niej spodziewać? Obejrzałem się rozpaczliwie wokół za skałą lub drzewem, ale znajdowałem się wśród gestych zarośli,

gdzie nie było nic wyższego nad młodą brzoźkę; tropiący mnie zaś potwór wyrwał z korzeniem zwykle drzewa, jak trzciny. Jedyнным moim ratunkiem byłaby ucieczka, ale nie mogłem biec prędko po nierównym, kamiennym gruncie. Obejrzawszy się rozpaczliwie wokół, dostrzegłem szeroka, wybornie udeptaną ścieżkę, biegnącą tuż przedemną. W ciągu naszych wycieczek napotkaliśmy już niejedną taki szlak, udeptany widocznie przez stada zwierząt; ten mógł stać się deską ratunku dla mnie, gdyż byłem zawsze doskonałym szybkobiegaczem. Cisnąwszy więc beżużyteczną dubeltówkę, rzuciłem się do ucieczki i ubiegłem takie pół mili jakiej nie zrobiłem nigdy jeszcze dotychczas i jakiej nigdy już nie zrobię. Wszystkie członki mnie bolały, serce tłuło się w piersiach, tchu brakło w gardle, a jednak na myśl o tej okropnej poczwarze biegłem, biegłem i biegłem. Wreszcie zatrzymałem się wyczerpany zupełnie. Zdawało mi się przez chwilę, że zmyliłem czujność zwierza, gdyż ścieżka pozamną była pusta. Aż nagle przy akompanjamentie łamanych gałęzi i ciężkiego stapania, groźny pomruk bestji rozległ się znowu. Była tuż za mną. Czułem się zgubiony.

Co za szaleństwem było zwlekać tak długo z ucieczką! Dopóki zwierzę kierowało się jedynie swoim węchem, ruchy jego były powolne, ale dojrzało mnie w chwili gdy zaczął uciekać i, na ścieżce, którą biegłem, widziało mnie wyraźnie przed so-

ba. Teraz w olbrzymich podskokach posuwało się ku mnie, jego wielkie oczy, dwa szeregi zębów w półotwartej paszczy i groźne pazury na krótkich łapach błyszcząły w świetle księżyca. Z okrzykiem śmiertelnego strachu rzuciłem się znów do ucieczki, chrapliwy pomruk zwierzęcia stawał się coraz głośniejszym, ciężkie jego skoki coraz to bliższe. Spodziewałem się, że lada chwila skoczy na mnie, aż nagle zabrakło mi gruntu pod nogami — czułem, że spadam w przestrzeń, w ciemność i straciłem przytomność.

Gdym się ocknął z omdlenia, — które nie mogło trwać długo — uderzył mnie przedewszystkiem ohydny, przenikliwy odór. Wyciągnawszy przed siebie rękę natrafiłem na coś podobnego do wielkiego płata mięsa, drugą namacałem dużą kość. Zasypany gwiazdami skrawek nieba, jaki widziałem nad głową dowodził, iż leżę na dnie jakiejś głębokiej jamy. Powoli podniosłem się na nogi i obmacałem całe ciało. Byłem potłuczony i obolały od stóp do głów, ale czułem, że żadna kość nie jest złamana, żadne ścięgno nie nadwyreżone. Gdy przed zmęczonym moim umysłem stanęły znów wszystkie szczegóły mojego upadku, ze strachem podniosłem głowę, spodziewając się, że na tle jasnego nieba znów ujrzę paszczę potwora. Ale nie było już śladu po nim, ani nie doleciał odgłos jego pomruku. Zacząłem więc po omacku posuwać się przed siebie

chcąc się przekonać co to za miejsce, w którym się znalazłem tak dla siebie szczęśliwie.

Była to, jak już wspomniałem, jama o prostopadłych ścianach, i równem dnem około dwudziestu stóp szerokości. Dno to było usiane kawałami mięsa, którego znaczna część znajdowała się w ostatnim stadium rozkładu. Powietrze było obrzydliwe. Depcząc po tych szczątkach i potykając się o nie, uderzyłem nagle o coś twardego: był to słup wbity mocno w ziemię w samym środku jamy, a na tyle wysoki, że nie mogłem dosięgnąć ręką do jego szczytu; wydawał się posmarowany tłuszczem.

Nagle przypomniałem sobie, że mam w kieszeni pudełko woskowanych zapalek; zapaliwszy kolejno kilka z nich zdołałem rozejrzeć się dokładnie po całej jamie. Nie mogło być żadnej wątpliwości co do jej pochodzenia; była to pułapka, zbudowana ręką człowieka. Znajdujący się pośrodku słup, wysokości jakich dziewięciu stóp, pokrywała czarna i skręplą krew zwierząt, które się nań wbiły. Kawały mięsa rozrzucone wokół były szczątkami tych ofiar, uprzątniętych najwidoczniej z pola, aby ustąpić miejsca następnym. Przypomniałem sobie twierdzenie Challenge'a, że człowiek nie mógłby istnieć na tem płaskowzgórzu, gdyż środki obrony, jakimi by rozporządzał, byłyby zbyt słabe w porównaniu do sił rozkielznanych wokół. Ale rzeczywistość wykazała, że jednak zdołał im się przeciw-

stawić. Wąskie otwory jaskini, niedostępne dla olbrzymich zwierząt, służyły jako schroniska dla kra-
jowców, a ich bystry umysł pozwalał im urządzać
takie oto, przykryte gałęziami pułapki na szlakach
uczęszczanych przez zwierzęta, te wielkie zwierzę-
ta, z którymi pod względem siły równać się nie mo-
gli. Człowiek zawsze staje się panem.

Strome ściany pułapki nie były dla mnie zbyt
trudne do przebycia, ale wahałem się długo, zanim
odważyłem się wychylić z jamy i narazić na po-
wrotne spotkanie z potworem, któremu wymknęłem
się takim cudem. Skądżeż mogłem wiedzieć, czy nie
czyha na mnie w najbliższych zaroślach? Ale na-
brałem otuchy, przypomniawszy sobie rozmowę, ja-
ką mieli kiedyś Challenger i Summerlee, a w toku
której twierdzili obydwaj, że te olbrzymie przedhi-
storyczne zwierzęta były niemal zupełnie pozba-
wione mózgu, że małe ich czaszki nie zawierały
miejsca na jakikolwiek odruch myślowy i że ich znik-
nięcie z powierzchni ziemi wynikało prawdopodobnie
z ich własnej głupoty, wskutek której nie umiały się
przystosować do zmienionych warunków bytu.

To też wgramoliłem się na ścianę jamy i rozej-
rzałem się wokoło.

Gwiazdy już bladły, niebo bieleło, a lekki wiatr
poranny owionął mi twarz. Nie widziałem nigdzie
mego napastnika, ani też nie mogłem dosłyszeć jego
pomruku. Wdrapałem się więc jeszcze nieco wyżej
i usiadłem na brzegu jamy, gotów skryć się w niej

z powrotem na widok najmniejszego niebezpieczeństwa. Wreszcie uspokojony zupełną ciszą, panującą wokoło i coraz jaśniejszem światłem poranka, ruszyłem po ścieżce, którą tu przybyłem.

Po pewnym czasie znalazłem porzuconą strzelbę, a nieco dalej ujrzałem strumień, służący mi za przewodnika. I tak spoglądając nieraz trwożnie poza siebie, skierowałem się w stronę obozu.

Nagle zaszło coś, co przypomniało mi nieobecnych towarzyszy; w spokojnem, jasnem powietrzu poranka rozległ się wystrzał. Zatrzymałem się w oczekiwaniu, ale znów zapadła cisza: przez chwilę zaniepokoiła mnie myśl, że jakieś nagłe niebezpieczeństwo grozi moim towarzyszom, ale później wpadłem na daleko prawdopodobniejsze przypuszczenie, iż, zauważywszy, po przebudzeniu się, moją nieobecność, i sądząc, że zabłąkałem się wśród lasów, dali ten wystrzał ku mojej orientacji. Postanowiliśmy coprawda nie strzelać, ale, na myśl o grożącym mi niebezpieczeństwie, nie wahali się odstąpić od tego pravidła. Przyśpieszyłem kroku, aby jak najprędzej uspokoić ich obawy.

Byłem jednak zmęczony i potłuczony i nie mogłem iść tak szybko, jakbym tego pragnął; wreszcie jednak przybyłem do znanych miejsc. Na lewo miałem trzęsawisko pterodaktylów, a przed sobą polankę iguanodonów; oto już mijam ostatnie drzewa, przesłaniające mi port Challengega. Zacząłem wesoło nawoływać towarzyszy, ale nikt mi nie od-

powiadał. Cisza ta przeraziła mnie... przyspieszyłem kroku. Obóz leżał przedemną nietknięty, taki jakim go porzuciłem, ale brama jego była otwarta. Wpadłem do środka i w bladym świetle świtu ujrzałem straszny widok: rzeczy nasze leżały w nieładzie na ziemi, towarzysze moi zniknęli, a obok tłących resztek ogniska widniała wielka kałuża krwi.

Byłem tak wstrząśnięty tym widokiem, iż na chwilę straciłem zmysły; jak przez sen przypominam sobie, że biegałem wokół pustego obozowiska, wzywając moich towarzyszy. Żaden głos mi nie odpowiadał z ciemnej gęstwiny. Myśl, że nie zobaczę ich nigdy więcej, że pozostanę osamotniony w tym potwornym miejscu i nie mając możliwości powrotu do świata, będę musiał tu żyć i umrzeć, doprowadzała mnie do szaleństwa. Nie mając ich wokół siebie, czułem się jak dziecko porzucone w ciemnościach. Nie wiedziałem ani co począć, ani dokąd się zwrócić.

Gdy jednak minęła pierwsza faza oszaleństwa, poczęłem się zastanawiać nad tem, co mogło się przytrafić moim towarzyszom. Z bezładu, w jakim zastałem obóz, wywnioskowałem, że miał tu miejsce jakiś napad i prawdopodobnie o tej porze, o której rozległ się słyszany przeze mnie wystrzał. To, że strzał ten był jedynym, dowodził, iż walka trwała zaledwie krótką chwilę. Strzelby leżały na trawie, a w jednej z nich — należącej do lorda Johna — brakowało naboju. Pledy Challengeera i Summerlee,

rzucone tuż obok ogniska, nasuwały przypuszczenie, iż obadwaj profesorowie spali w chwili napadu. Skrzynki, zawierające naboje i zapasy żywności, leżały porozrzucane w nieładzie wraz z naszymi nieszczęsnymi aparatami fotograficznymi i pudełkami klisz, ale niczego nie brakowało. Jednak, wszystka żywność, którą wydobyli z puszek — a pamiętam, że wydobyliśmy jej sporo — znikła. A więc prawdopodobnie sprawcami napadu były zwierzęta, a nie krajowcy, gdyż ci zabraliby wszystko ze sobą.

Jeżeli jednak były to zwierzęta — lub jedno tylko groźne zwierzę — to cóż się stało z moimi towarzyszami? Drapieżne bestje byłyby ich rozdarły na kawałki, zostawiając ich szczatki; co prawda wielka kałuża krwi świadczyła o walce, a potwór taki, jaki tropił mnie tej samej nocy, mógłby unieść swą ofiarę z taką łatwością, z jaką kot unosi mysz.

Wówczas pozostali byliby się napewno rzucili z pomocą, ale nie omieszkaliby zabrać swych strzelb.

Im dłużej wysilałem nad tą zagadką mój zmęczony i podniecony umysł, tem mniej ją rozumiałem; przeszukałem cały las w pobliżu, nie wpadłszy na żaden ślad zaginionych.

Nagle błysnęła mi pewna myśl pocieszająca; nie byłem zupełnie samotny, u podnóża skał, gotów na każde zawołanie, czuwał wierny Zambo. Udałem się na brzeg przepaści i spojrzałem w równinę; murzyn, owinięty w pledy, siedział przed ogniem swego maleńkiego obozowiska. Ale, ku memu zdumie-

niu, ujrzałem, że nie był sam. Serce zabiło mi radośnie, gdyż myślałem przez chwilę, iż to któryś z moich towarzyszy przedostał się szczęśliwie na dół. Ale wschodzące słońce oświetliło czerwoną skórę siedzącego. Człowiek ten był indjaninem.

Zacząłem wolać i powiewać rekawiczka; Zambo spojrzał w moją stronę, dał mi znak ręką i po chwili począł się wspinać na skałę. Niebawem stał już niedaleko odemnie i słuchał z przerażeniem opowieści o tem, co zaszło.

— To djabeł ich wziąć, massa Malone — rzekł wreszcie — to kraj djabła, i on wziąć i pana. Słuchać mej rady, massa Malone, i zejść zaraz tutaj, albo djabeł wziąć i pana.

— Ale jak ja zejde, mój Zambo?

— Po ljanach, Massa Malone. Pan przetrzucić tu ljan, a ja je umocować i będzie most.

— Jużeśmy myśleli o tem. Ale niema tu ljan tak mocnych, aby mogły wytrzymać ciężar mężczyzny.

— To trzeba posłać po sznury, Massa Malone.

— Ale kogo posłać i dokąd?

— Do wioski indyjskiej. Tam dużo sznurów. Indjanin na dole. Jego posłać.

Cóż to za jeden?

— Jeden z naszych indjan. Drugi go wybić i zabrać zapłata. Więc on wrócić i teraz wziąć list, przynieść sznur — wszystko.

List! Czemu nie? Widziałem w nim nietylko na-

dzieje pomocy, lecz przedewszystkiem możność powiadomienia świata o naszym odkryciu. W ten sposób będę miał przynajmniej tę pociechę, że śmierć nasza nie była daremna.

Dwa listy miałem już gotowe, w ciągu dnia mógłbym napisać trzeci, zawierający kompletne sprawozdanie naszych przygód, aż do ostatniej chwili. Wszystkie te listy postanowiłem powierzyć indjaninowi, i w tym celu kazałem Zambo, aby powrócił przed wieczorem. Cały ten samotny i smutny dzień spędziłem na opisywaniu zdarzeń ubiegłej nocy; prócz tego skreśliłem notatkę, przeznaczoną dla pierwszego białego człowieka, którego indjanin napotka, a błagając o nadesłanie sznurów, mogących uratować nam życie.

Wszystkie te papiery rzucę dziś wieczorem Zambo wraz z ostatkiem moich pieniędzy. Mam trzy sovereny i przeznaczam je dla indjanina, obiecując mu drugie tyle, jeśli przyniesie sznury.

W ten więc sposób list mój dojdzie rak pańskich, panie Mc Ardlę. Nie zdziwi się pan wcale, nieprawdaż? jeśli będzie on ostatnią wiadomością od pańskiego nieszczęsnego korespondenta. Czuje się narażenie zbyt zmęczonym i zgnębionym, aby układać jakie plany; jutro może wymyślę jaki sposób, któryby mi pozwolił szukać mych biednych towarzyszy, nie zrywając zarazem łączności z obozem.

ROZDZIAŁ XIII.

„Widok, którego się nie zapomina“.

Gdy słońce zachodziło, znacząc początek smutnego wieczoru, długo śledziłem samotną postać indjanina, który, jak wcielenie naszych słabych nadziei, szedł po wielkiej równinie, leżącej u mych stóp, i oddalał się, oddalał coraz bardziej, aż wreszcie znikł wśród różowawych mgieł zachodu, ciągnących się między skalistą równiną, a odległą rzeką.

Mrok już zupełnie zapadł, gdym wrócił do obozu, oglądając się na czerwonawe światło ogniska roznieconego przez Zambo; był to jedyny punkt świetlany w mrokach tej nocy, tak jak obecność wiernego sługi była jedyną pociechą dla mej znęka nej duszy. A jednak czułem się nieco rażniejszy na myśl, że nie wszystko zginie wraz z nami, że świat dowie się o tem, cośmy dokonali, a imiona nasze przejdą do potomności wraz z naszym odkryciem.

Strasznie było nocować samemu w opuszczonym obozie, ale jeszcze straszniej byłoby w dżungli. Nic zaś innego nie miałem do wyboru. Prezor-

ność nakazywała mi czuwać, ale wyczerpane ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Wreszcie wróciłem do obozu, i, pozamykawszy starannie wszystkie otwory, rozpałem trzy ogniska, rozłożone w trójkąt; poczem, zjadłszy obfitą wieczerzę, zapadłem w głęboki sen, po którym nastąpiło najbardziej niespodziewane, ale niezmiernie miłe, przebudzenie.

Wczesnym rankiem, o samym brzasku, poczułem jakąś dłoń na swem ramieniu, a gdym się zerał, sięgając po strzelbę, krzyknąłem z radości, bo oto lord John klęczał nademną.

On to był — i nie on zarazem.

Gdym go widział po raz ostatni, był to człowiek spokojny w zachowaniu, poprawny w obejściu, schludny w ubraniu: Ten, którego w tej chwili widziałem przed sobą, miał twarz błąda, oczy błędne, czoło podrapane i pokrwawione, odzienie poszarpane. Po drodze zgubił gdzieś kapelusz, a oddychał ciężko, jakgdyby zmęczony nadmiernym biegiem. Spoglądałem nań w zdumieniu, ale nie zdażyłem go o nic zapytać, gdyż on sam mówił gorączkowo, nie przestając jednocześnie zbierać rozrzuconych rzeczy:

„Prędko, chłopcze, prędko — szeptał — każda chwila jest droga. Ja mam dwie fuzje, a pan bierz, dwie pozostałe i wszystkie naboje, jakie się zmieszczą w kieszeniach. Teraz trochę żywności. Ze sześć tych blaszanek. Dobrze, dobrze, to wystar-

czy. Niema czasu na rozmowę, ani na zbyt nie namyśli. A teraz w nogi, albo już po nas“.

Na pół jeszcze śpiący, niezdolny pojąć co to wszystko znaczy, znalazłem się wraz z nim w lesie, dźwigając po fuzji na każdym ramieniu, a w rękach pełno najrozmaitszych zapasów.

Lord John przedzierał się przez najgęstsze zarośla, aż wreszcie dotarszy do rozłożystego krzaka cierniowego, zaszył się weń, nie zważając na kolce i pociągnął mnie za sobą.

— Nareszcie — zawołał — zdaje mi się, że tutaj jesteśmy bezpieczni. Splądrują obóz — to jasne jak słońce. Będzie to ich pierwszą myślą, no ale się zdziwiał.

— Co to wszystko znaczy? — spytałem, schwytawszy wreszcie oddech — gdzie są obydwaj profesorowie? Przed kim się kryjemy?

— Przed małpoludźmi — szepnął — Wielki Boże, cóż to za potwory! Niech pan nie podnosi głosu, bo mają oni słuch czujny, — no i bystry wzrok, ale, o ile mi się wydaje, nie mają wcale powonienia, tak, że wątpię aby nas mogli zwietrzyć. Ale gdzie pan był, młodzieńcze? Nie brał pan udziału w naszych przejściach.

W kilku słowach opowiedziałem mu moje przygody.

— Kłepska historia — rzekł usłyszawszy o dinozaurze i upadku do jamy. Nie można powiedzieć aby to płaskowzgórze było idealnym miejscem wypo-

czynku. Ale nie zdawałem sobie sprawy, czem ono jest w istocie, dopóki nie wpadło na nas to djabelstwo. Byłem już raz wśród ludożerców na Papui, ale uważam ich za dandysów wobec tej zgrai.

— Jak się to stało? — zapytałem.

— Było to o świcie; poczeliśmy dopiero budzić się ze snu, dość powiedzieć, że nasi dwaj uczeni nie zdążyli się nawet jeszcze pokłócić. Nagle zaroilo się od małp; spadały z drzewa jak jabłka jesienią. Przypuszczam, że zebrały się w nocy na owem wielkiem drzewie nad nami. Przeszeliłem jedną z nich ale zanim zdążyliśmy się zorientować w sytuacji, cała gromada spadła nam na karki. Nazywam je małpami, ale uzbrojeni byli w maczugi i kamienie, i bełkotali do siebie jakby jakąś mową. Wreszcie związali nam ręce pęczami, tak że w każdym razie są to najzmyślniejsze ze zwierząt, jakie napotykałem wśród mych wędrówek. Małpoludzie — nic innego! Owe słynne brakujące ogniwo! I, słowo daję, żałuję, że się odnalazło. Odwieźli na bok ranionego towarzysza, który krwawił jak prosie, i obsiedli nas kołem, a twarze ich były uosobnieniem okrucieństwa. Są wielcy takiego wzrostu jak ludzie, ale o wiele silniejsi. Oczywiście mają jakieś dziwaczne, szare, szkliste, osadzone pod kłakami rudych brwi; siedzieli wokół nas i bełkotali, bełkotali bezustannie. Nawet Challenger, choć nie zając, ale stracił na śmiałości. Zdołał wszakże zerwać się na nogi, i krzyknął na nich, aby nas

puścili wolno. Mam wrażenie, że pod wpływem tego niespodziewanego napadu, wpadł wprost w jakiś nerwowy szal, bo rzucał się i pieniał, jak nieprzytomny. Gdyby miał przed sobą gromadę swoich ukochanych dziennikarzy, nie mógłby ich lepiej potraktować.

— Cóż oni na to? — spytałem, pochłonięty tą nadzwyczajną historią, którą mój towarzysz opowiadał mi półgłosem, nie spuszczać palca z cyngla strzelby i rozglądając się pilnie wokół swemi bystreimi oczyma.

— Myślałem, że po tym wybuchu zrobia koniec z nami, ale nic podobnego. Znowu coś bełkotali pomiędzy sobą, aż wreszcie jeden z nich podniósł się i stanął obok Challengeera. Będzie się pan śmiał z tego co powiem, ale słowo daję, wyglądali, jak bracia! Sambym temu nie uwierzył, gdybym tego nie oglądał własnymi oczyma. Ten stary małpolud — najwidoczniej wódz całej zgrai — był odmiana Challengeera, ale na rudo, ze wszystkimi właściwościami urody naszego przyjaciela, tylko jeszcze bardziej zaakcentowanemi. Ten sam krótki tułów, szerokie ramiona, wypukła pierś, ani śladu szwi, ta sama skołtuniona obfita broda, tylko ruda, i rude, krzaczaste kępy brwi, nawet ten sam wyraz oczu, który zdaje się mówić: „cały świat mnie nic nie obchodzi i może wynieść się do licha“. Jednym słowem kubek w kubek. Kiedy ów dostojny małpo-człowiek stanął obok Challengeera i położył mu łapę na ra-

mieniu podobieństwo było uderzające. Summerlee, zdenerwowany do ostatnich granic, śmiał się tak histerycznie, że wreszcie się rozplakał. Małopoludzie również się śmieli, a przynajmniej wydali z siebie jakieś okropne rechotanie, poczem pociągnęli nas w głąb lasu. Nie chcieli dotknąć naszych fuzji, ani przyrządów, uważając je widocznie za niebezpieczne, ale zabrali wszystkie zapasy żywności, jakie znaleźli. Jak pan może osądzić po mojej skórze i ubraniu, nie obchodzono się ze mną zbyt łagodnie w tej drodze. Z Summerlee również. Ciągnięto nas przez największe gąszcza, gdyż to djabełstwo ma skórę twardą jak surowiec. Ale Challenger podróżował wspaniale, cztery zwierzaki niosły go na namiętach, niczem rzymskiego imperatora. Co to znaczy?

W oddali dało się słyszeć klekotanie podobne do uderzeń kastanietów.

— Nadchodzą — szepnął mój towarzysz, wsuwając naboje do zapasowego karabinu — niech pan nabije swoją broń, młodzieńcze, bo nie damy się żywcem. Ani mowy o tem. Takie odgłosy wydają, kiedy są podnieceni. No, ale jeśli nas wykryją, będą mieli niemały powód do podniecenia. Tutaj jest nasz ostatni fort, szaniec, gdzie, że tak powiem, gotowi jesteśmy paść, ściskając broń w stygnącej dłoni. Czy słyszy ich pan?

— Z bardzo daleka...

— Przypuszczam, że rozproszyli się na groma-

dy i szukają po całym lesie. Ale wróćmy do mego smętnego opowiadania. Dociągnęli nas do swej siedziby, składającej się z jakiego tysiąca szałasów, w dużym gaju, nad samym brzegiem skały. Te wstrętne bestje obmacały mnie całego i mam wrażenie, że nie domyję się już nigdy. Potem skrępowali nas, a ten, który zabrał się do mnie, potrafi wiązać, jak majtek. Leżeliśmy więc pod drzewem, a jeden z potworów stał na straży z olbrzymią maczugą w łapie. Mówiąc „leżeliśmy“ mam na myśli Summerlee i siebie. Challenger bowiem siedział na drzewie, zjadał ananasy i powodziło mu się znakomicie. Muszę jednak stwierdzić, że przyniósł i nam owoców i własnoręcznie rozluźnił nasze więzy. Gdyby go pan widział, siedzącego na gałęzi obok tego rudego sobowtóra, i śpiewającego swym głębokim basem najpopularniejsze londyńskie piosenki—bo muzyka wszelkiego rodzaju kojąco działa na te bestje — doprawdy nie mógłby się pan powstrzymać od śmiechu. Ale nam się śmiać nie chciało. Challengerowi zostawiono pewną swobodę, ale nas pilnowano czujnie. To też cieszyliśmy się niezmiernie, że pan przynajmniej ocalałeś, a wraz z panem archiwa naszej wyprawy.

„No, a teraz młodzieńcze, powiem coś, co pana zadziwi. Widział pan ślady ludzi, ogniska przez nich rozpalone, pułapki, jakie urządzają, a my, moi drogi, widzieliśmy tych ludzi. Biedne, drobne istoty, mocno przygnębione, czemu nie można się dziwić. O ile

mogę wnioskować, jedna część płaskowzgórza, — ta, gdzie pan widział jaskinię, — należy do ludzi, druga do małopoludzi, którzy toczą z krajowcami żartą walkę. Otóż wczoraj małopoludzie schwytali dwunastu krajowców i przywlekli ich do swego obozu. Trudno sobie wyobrazić większy gwałt i hałas. Pobito i podrapano tych nieszczęsnych tak, że ledwo mogli trzymać się na nogach; dwóch zamordowano w naszych oczach, przyczem jednemu pogruchocono uprzednio ramię. Był to widok kompletnie bestjałski. Ci biedacy jednak trzymali się nad wyraz mężnie i prawie, że nie wydali jęku. My jednak byliśmy strasznie przejęci; Summerlee zemdłał, a Challenger był bliski omdlenia. Zdaje mi się, że teraz poszli w inną stronę?..

Nadsłuchiwaaliśmy pilnie, ale w lesie panowała cisza, przerywana jedynie świergotami ptaków. Lord John ciągnął dalej swe opowiadanie:

— Miał pan rzadkie szczęście w tym wypadku, młodzieńcze. Dzięki utarczce z krajowcami, małopoludzie zapomnieli o panu, w przeciwnym bowiem razie byliby napewno wrócili do obozu po pana. Oczywiście od samego początku śledzili nas z tego drzewa, tak zresztą, jak się to panu zdawało, i musieli zauważyć, że jednego z nas brakuje do kompletu. Jednak byli tak zajęci swymi jeńcami, że o niczem innem nie mogli pamiętać. Dlatego nie małpy, ale ja obudziłem pana dziś o świcie. No, ale byliśmy w okropnych opałach. Boże mój, cała ta przygoda

wydaje mi się przeraźliwą zmorą. Pamięta pan ten gaj bambusowy u podnóża skał? Tam gdzieśmy znaleźli szkielet amerykanina? Otóż rośnie on tuż pod osadą małpoludzi, pod skałą, z której strącają swoich jeńców. Szukając uważnie, bylibyśmy znaleźli niejednego szkielet. Na skałach znajduje się jakby rodzaj placu, a egzekucja odbywa się z całą paradą. Skazańców strącają po kolei, a zabawa polega na tem, czy strącony rozbije się na miazgę, czy też nadzieje się na ostre bambuśy. Powlekli nas na tę ceremonję, a całe ich plemię rozłożyło się na skałach, aby dobrze widzieć. Czterech krajowców musiało zeskoczyć, a bambuśy przeszły przez nich, jak druty przez pończochę; nic dziwnego, że kiedyśmy znaleźli szkielet owego Jankesa, trzciny rosły między jego żebrami. Był to widok straszny, a jednak nieodparty. Nie mogliśmy odeń oderwać oczu, myśląc ciągle, że niebawem przyjdzie kolej i na nas.

Jednak nie przyszła. Sześciu krajowców zachowały sobie na dzisiaj — tak przynajmniej wnioskuje. My jednak mieliśmy być atrakcją przedstawienia. Challenger możeby się wywinał, ale Summerlee i ja byliśmy niezawodnie w programie. Mowa tych małych składała się przeważnie z mimiki, więc nie miałem zbytnej trudności, aby zrozumieć o co im chodzi. Doszedłem też do przekonania, że najwyższy czas porzucić ich towarzystwo; kwestja ocalenia spadała całkowicie na mnie, gdyż Summerlee był do niczego, a na Challengeira niewiele więcej można było

liczyć. Przy pierwszej okazji pokłócili się z sobą o pochodzenie tych djabłów, jeden z nich twierdził, że to rodzaj „dryopothecusa“ z Jawy, drugi — że to gatunek pothecantropusa. Poprostu warjactwo. Pomyleni ludzie. Ale, jak już wspomniałem, porobiłem pewne obserwacje, które okazały się pożyteczne. Przedewszystkiem zauważyłem, że ci małpoludzie nie dorównają w biegu człowiekowi, mają bowiem krótkie, krzywe nogi i nadzwyczaj ciężki tułów. Nawet Challenger mógłby najlepszemu z nich dać kilkanaście jardów fory, a pan i ja jesteśmy wobec nich niezrównani szybkobiegacze. Po drugie nie mają ani pojęcia o broni palnej. Zdaje mi się, że wogóle nie zrozumieli w jaki sposób jeden z nich został zraniony. Z bronią w ręku możnaby jeszcze niejednego dokazać.

— To też dziś o świcie poczęstowałem mojego wartownika dobrym kopniakiem i zanim zdołał się ocknąć, dałem nura. W obozie złapałem pana i naszą broń i oto jesteśmy na posterunku.

— Ale profesorowie! — zawołałem oszołomiony.

— Ba, otóż po nich musimy się wrócić. Nie mogłem ich, niestety, zabrać. Challenger siedział na drzewie, a Summerlee nie byłby w stanie zdobyć się na jakikolwiek wysiłek. To też jedyną deską ratunku było dorwać się do naszej broni i wrócić z odsieczą. Coprawda mogli pomścić się na nich; wątpię wprawdzie, aby ruszyli Challengega, ale za

Summerlee nie odpowiada. Jedyna pociecha, że czy tak, czy owak byliby z nim zrobili koniec, więc moja ucieczka nie pogorszyła w niczem sprawy. Tego jestem pewien. Tem nie mniej honor nie pozwala nam porzucić ich w biedzie i musimy albo ich wyratować, albo los ich podzielić. Musi więc pan zebrać się z siłami i odpowiednio nastroić, młodzieńcze, bo los nasz dzisiaj się rozstrzygnie.

Staralem się oddać o ile możności sposób mówienia lorda Roxtona, jego krótkie zwroty, na pół żartobliwy, na pół niedbały jego ton. Ale człowiek ten był urodzonym wodzem. W miarę niebezpieczeństwa spokój jego wzrastał, słowa padały pewniej, jego ton Kiszotowski was jeżył się i ruszał, wszystko to czyniło zeń nieporównanego towarzysza w takich, jak ta godzinach.

Gdyby nie lęk o życie obydwu profesorów czułbym się wprost szczęśliwym, iż w towarzystwie takiego człowieka danem mi będzie walczyć o życie. Podnosiliśmy się już z naszych miejsc, ukrytych w głębi cierni, gdy nagle lord John schwytał mnie za ramię.

— Na honor, idą! — szepnął.

Z naszej kryjówki widzieliśmy głąb lasu, poszytą zielenią gałęzi i zarośli. Gromada małpóludzi przedzierała się przez nie, szli pojedynczo, skurczywszy nogi, zgarbiwszy plecy, dotykając rękoma ziemi i obracając głowy to w prawo to w lewo.

Trudno było z ich podstawy wnioskować o ich wzroście, ale sądzę, że musieli liczyć około pięciu stóp. Rece mieli ogromnie długie, a klatki piersiowe wypukłe. Wielu z pośród nich było uzbrojonych w maczugi, a zdaleka sprawiali wrażenie ludzkich istot, ale ogromnie włochatych i zdeformowanych. Przez chwilę widziałem ich bardzo wyraźnie, potem znów zniknęli mi w krzakach.

— Jeszcze nie teraz—szepnął lord John, ujmując za karabin — najlepiej zrobimy leżąc spokojnie dopóki nie przestaną nas szukać. Wówczas zaś postaramy się dostać do ich osady i zaatakować ich w najsłabszym miejscu. Musimy, zaczekać z jaką godzinę.

Wypełniliśmy ten czas otworzywszy jedną z puszek, aby spożyć śniadanie. Lord Roxton nie miał od ubiegłego ranka nic w ustach prócz owoców, to też jadł z niepomiernym apetytem. Wreszcie wypchawszy kieszenie nabojami, a na każdym ramieniu dźwigając strzelbę, ruszyliśmy na wyprawę. Przed odejściem jednak naznaczyliśmy starannie kryjówkę, i zanotowaliśmy sobie jej położenie w stosunku do fortu Challengeera, tak, aby móc ją odnaleźć w gęstwinie, gdyby zaszła tego potrzeba.

W milczeniu przesuwaliliśmy się wśród zarośli, aż wreszcie stanęliśmy w pobliżu skał, na których mieliśmy nasze pierwsze obozowisko. Tutaj za-

trzymaliśmy się na chwilę i lord Roxton wtajemniczył mnie w swoje plany.

— Dopóki będziemy się znajdowali wśród drzew (ta zgraja będzie miała nad nami przewagę — mówił — mogą nas bowiem widzieć a my ich nie widzimy. Rzecz jednak ma się inaczej na otwartej przestrzeni. Tam bowiem my ruszamy się zwa-
wiej od nich. Krawędź płaskowzgórza jest mniej zalesiona niż jego wnętrze i dlatego będziemy się posuwać krawędzią. Idź pan powoli, mając oczy dobrze otwarte a fuzję stale w pogotowiu. A nad-
wszystko nie daj się pan złapać, młodzieńcze, dopó-
ki masz choć jeden nabój w lufie. To moja ostatnia rada.

Doszedłszy do brzegu krawędzi spojrzałem w dolinę, gdzie ujrzałem poczołwego, czarnego Zambo, palącego fajkę, u podnóża skał. Dałbym wiele za to aby go móżdź zawołać i wtajemniczyć w całą sytuację, ale wszelki gwar i hałas groził niebezpieczeństwem. Las wydawał się pełnym małpoludów, którzy mogli nas usłyszeć. My nawzajem słyszeliśmy ich nawoływania i w takich chwilach chowaliśmy się wśród zarośli, dopóki znów nie nastąpiła cisza. Wskutek tego posuwa-
liśmy się naprzód bardzo powolnie, i upłynęły do-
bre dwie godziny, zanim z gestów lorda Johna wy-
wnioskowałem, że zbliżyliśmy się do naszego celu. Dał mi znak ręką, abym się położył, a sam podpeł-

znał naprzód, po chwili jednak wrócił a na twarzy jego malowało się wzruszenie.

— Prędzej — szepnął — prędzej. W Bogu nadzieja, że nie przybyliśmy zapóźno!

Czułem, że drzę nerwowo, gdy, przyczołgawszy się naprzód, położyłem się obok niego i wyjrzałem z gęstwiny na polankę.

Miałem przed sobą widok, którego nigdy nie zapomnę — widok tak dziwny, tak nieprawdopodobny, że nie tylko nie wiem, jak go panu opisać, ale wątpię czy będę mógł go sobie uprzytomnić za lat parę, jeśli danem mi będzie ujść śmierci.

Przed nami rozciągała się duża polana, mająca jakie kilkaset jardów szerokości, porośnięta bujną trawą i kępkami paproci, a sięgająca aż do krawędzi skał. Półkole drzew otaczało polankę, a wśród ich gałęzi wzdniwały, jedno nad drugim, dziwaczne szalasy, sklecone z liści i gałęzi. Podobne to były do ptaszarni, tylko że gniazda zastępowały szalasy. Gałęzie drzew i otwory szalaszów roily się od małpoludzi, sądząc z kształtu ich i wzrostu musiały to być samice i młode tej gromady. Tworzyły one jakby tło obrazu, przyglądały się z niekłamana ciekawością scenie, która odgrywała się przed nimi, a która przykuła naszą uwagę, napełniając nas zarazem przerażeniem.

Na polanie, nieopodal przepaści zebrało się około kilkuset rudych, kosmatych małpoludzi; nie-

którzy z nich byli olbrzymi, a każdy z nich był wprost odrażający. Panowała wśród nich pewna karność, gdyż stali w szeregach, którego żaden z nich nie próbował przełamać. Przed szeregiem ujrzeliśmy grupkę krajowców — drobnych, bardzo zgrabnych ludzi, których czerwona skóra połyskiwała jak bronz w jasnych promieniach słońca. A wśród nich znajdował się biały człowiek; w tej wysokiej, kościastej postaci, której opuszczona głowa i każdy ruch, zdradzały zupełne przygnębienie i przestraszenie — niepodobna było nie rozpoznać profesora Summerlee.

Tę gromadkę jeńców otaczało kilkunastu wartowników, uniemożliwiających wszelką myśl o ucieczce. Nad samym zaś brzegiem przepaści, zdala od całej gromady, widniały dwie postacie, które w innych warunkach wydałyby mi się niewypowiedzianie śmieszne. Jedną z nich był nasz towarzysz, profesor Challenger; resztki jego kurtki wisiały na nim w łachmanach, jego zmierzwiłona, czarna broda mieszała się z gęstymi kudłami, porastającymi jego potężną pierś, wylaniającą się z pod podartej na strzępy koszuli. Nie miał kapelusza, a włosy jego, które niezwykle urosły podczas naszych wędrówek, rozwiewały się na wietrze. W ciągu jednego dnia ten przedstawiciel nowożytnej cywilizacji, przedzierzgnął się w najokropniejszego dzikusa Ameryki Południowej.

Tuż obok niego stał jego władca, król małpóludzi. Był on, — zgodnie ze słowami lorda Johna, wiernym portretem naszego profesora. Tylko zabarwienie miał rude a nie czarne; pozatem jednak była to ta sama, krępa rozrosła postać, ta sama broda opadająca na kosmatą pierś. Tylko czoło małpóluda sklepiłone nisko nad krzaczastymi brwiami, przechodzące w spłaszczoną, jajkowatą czaszkę, stanowiło rażący kontrast, z wysokiem czołem i wspaniałą czaszką europejczyka. Pozatem król był śmieszną parodją Challengeera.

Nie mieliśmy zresztą czasu ani przyglądać się ani się zastanawiać, wypadki bowiem rozwijały się błyskawicznie.

Dwóch małpóludzi schwytało pierwszego — z brzegu indjanina i pociągnęło go ku brzegowi skały. Król podniósł rękę, a na ten znak porwali nieszczęsnego za ramiona i nogi i zakolysawszy trzykrotnie w powietrzu, wyrzucili go w górę z taką siłą, że zakreślił łuk w powietrzu, zanim wpadł w przepaść. Gdy znikł za skałą, cały tłum za wyjątkiem wartowników rzucił się na jej brzeg; nastąpiła długa chwila kompletnego milczenia, które przerwał dziki wrzask radości. Małpóludzie skakali po polanie, rycząc wymachując kosmatemi rękoma. Wreszcie znów ustawili się w szereg, czekając na nową ofiarę.

Tym razem miał nią być Summerlee. Dwóch

wartowników schwyciło go za ręce i pociągnęło ku przepaści. Kościste ciało profesora, długie jego ręce i nogi stawiały opór, trzepocząc się jak kurcze, wyciągane z kojca. Challenger rzucił się do króla i wyciągając ręce, prosił, błagał łaski, zaklinał o litość. Ale król odepchnął go niecierpliwie na bok i potrząsnął odmownie głową. Był to ostatni ruch, jaki świadomie wykonał na ziemi, w tej chwili bowiem rozległ się suchy trzask strzelby lorda Johna i sobowtór Challengeera padł na ziemię, jako włochoata, skrwawiona, drgająca masa.

— Pal! — zakomenderował mój towarzysz — pal! w samą tłuściec.

Niezglębione są jednak zakamarki duszy ludzkiej. Z natury jestem dość miękki i nieraz czulem łzy w oczach na widok postrzelonego zająca, ale w owej chwili zbudziła się we mnie żądza krwi. Nie zdając sobie niemal sprawy z tego co robię, kleczałem na ziemi i nabijałem raz po raz karabin, strzelałem w zwartą gromadę przed sobą, wypróżniałem magazyn, znów go ładowałem, nie przestając krzyczeć z zaciekiłości, gniewu i mściwej rozkoszy. Nasze cztery strzelby narobiły sporo spustoszenia, dwaj małpoludzie, trzymający Summerlee padli pod naszymi strzałami, a ich jeniec, odurzony, osłupiały, chwiał się na nogach, nie rozumiejąc że jest wreszcie wolny. Gromada małpoludzi rozproszyła się w popłochu, przerażona tym

nagłym niepojętym atakiem. Krzyczeli, rzucali się, wywracali o rannych i zabitych towarzyszy, aż nagle, pod wpływem jednej myśli, z dziękem wyciem poczęli biec ku drzewom, szukając wśród ich gałęzi schronienia i porzucając na placu zabitych i rannych. Przez chwilę jeńcy zostali sami, pośrodku polany.

Bystry umysł Challengeera ogarnął sytuację; pociągając za sobą oszołomionego towarzysza, profesor ruszył w naszą stronę; dwóch wartowników rzuciło się za nim, ale padli od kuli lorda Roxtona, Obydwaj wyskoczyliśmy z zarośli, i biegnąc na spotkanie naszych towarzyszy, wetknęliśmy każdemu z nich nabita broń w rękę. Summerlee był jednak u kresu sił, zaledwie mógł utrzymać się na nogach.

Tymczasem małpoludzie, ochłonawszy z pierwszego przerażenia, rzucili się do lasu, aby nam odciąć odwrót. Challenger i ja ciągnęliśmy za ręce Summerlee podczas gdy lord John osłaniał odwrót, strzelając w miarę jak rude, kosmate głowy wynurzały się z gęstwiny. Bestje prześladowały nas przez milę lub dwie, ale pogoń ich słabła w miarę jak zapoznawali się bliżej z potęgą naszej broni, i gdyśmy wreszcie dotarli do obozu, nie było nikogo wokół nas.

Takeśmy sądzili, myląc się wszakże głęboko. Zaledwie bowiem załazarasowaliśmy wejście do for-

tu Challengera, i uściskawszy sobie dłonie, padliśmy zdyszani na murawę przy źródle, gdy rozległ się tupot nóg i cichy, żałosny pisk z za żywopłotu. Lord Roxton uzbrojony w fuzję, zbliżył się do wrót i otworzył je: cztery czerwonoskóre postacie leżały kornie przed nami: byli to czterej pozostali przy życiu indjanie, którzy drżąc ze strachu przed nami, błagali nas jednak o pomoc. Jeden z nich wymownym gestem wskazał nam las wokół, dając znak, że kryło się w nim niebezpieczeństwo, poczem zrobiwszy krok naprzód, objął ramionami nogi lorda Johna i przytulił do nich głowę.

— Na honor! — zawołał lord Roxton, z widocznym zmieszaniem szarpiąc wąsa — cóż my pocznjemy z tymi biedakami? No, człowieczku, wstań, przestań że całować moje buty!

Summerlee, który napychał tytoniem swoją ulubioną fajeczkę, rzekł:

— Musimy ich uratować, tak jak wy obydwaj wyrwaliście nas śmierci. Bóg świadkiem, że daliście dowód niezwykłej odwagi!

— Nadzwyczajnie — potwierdził Challenger — nie tylko my osobiście, ale cała nauka współczesna zawdzięcza wam, moi panowie, niezmiernie dużo. Nie waham się bowiem twierdzić, że tak śmierć profesora Summerlee, jak i moja, byłaby niepowetowaną stratą dla nowożytniej zoologii. Nasz młody przyjaciel i pan, milordzie, spisaliście się niepospolicie.

Uśmiechnął się do nas swym zwykłym ojcowskim uśmiechem, ale współczesna nauka byłaby mocno zdziwiona, gdyby mogła w tej chwili widzieć swego wybrańca, nadzieję przyszłości, z tą zmierzwioną czupryną, obnażoną piersią i w tych lachmanach, zastępujących mu ubranie. Ściskając kolanami sporą paczkę konserw, niósł właśnie do ust kawał australijskiej baraniny. Indianie spojrzeli nań, poczem znów z trwożnym piskiem przywarli do nóg lorda Johna.

— No, nie bójcie się, nie bójcie biedacy — rzekł tenże głaszcząc ich okrągłe głowy — słowo daję, nie mogę strawić pańskiej powierzchowności, Challenger, i coprawda, nie dziwię im się wcale. No już dosyć, dosyć. Ten pan jest takim samym człowiekiem jak i my.

— Doprawdy, milordzie! — zaprotestował profesor.

— Pańskie to szczęście, Challenger, że się pan nieco różni od przeciętnego typu. Gdyby pan nie był tak podobnym do małpokróła...

— Słowo daję, milordzie, że pan pozwalasz sobie za wiele!

— Stwierdzam jedynie fakt.

— Proszę pana, aby pan zmienił temat rozmowy. Insynuacje pańskie są niezrozumiałe i ubliżające. Teraz musimy się zastanowić co począć z tymi indjanami? Najlepiej by było odstawić ich

do domu, gdybyśmy wiedzieli gdzie ten dom się znajduje.

Ta kwestja nie przedstawia trudności — wtrąciłem — mieszkają bowiem w jaskiniach nad centralnem jeziorem.

— Nasz młody przyjaciel zna ich siedzibę. Sądzę, że musi to być dość daleko.

— Jakie dwadzieścia mil stąd — rzekłem.

Summerlee westchnął.

— Co do mnie nie zajdę tak daleko... W dodatku słyszę ryki tych potworów, które nas ciągle tropią...

Jakoż w oddali rozległo się głucho nawoływanie małpoludzi. Indianie znów zajęczeli cicho z trwogi.

— Musimy uciekać i uciekać zaraz — zakomenderował lord John — pan niech pomoże profesorowi Summerlee, młodzieńcze. Indianie będą dźwigać zapasy. A teraz ruszajmy, zanim nas spostrzeżą.

W niecałe pół godziny później dotarliśmy do naszej kryjówki w zaroślach i rozłożyliśmy się tam obozem. Przez cały dzień słyszeliśmy nawoływanie naszych wrogów, dochodzące ze strony fortu Challengeera, ale nie wykryli naszego nowego schronienia, w którym wszyscy zbiedzy: biali i czerwonoskórzy spali głęboko. Zasypiałem już z wieczora, gdy ktoś dotknął mego ramienia; otworzywszy oczy, ujrzałem przed sobą Challengeera.

— Prowadzi pan dziennik naszych przygód, panie Malone, i ma pan zamiar ogłosić go drukiem— zaczął uroczyście.

— Jestem tutaj jedynie, jako przedstawiciel prasy — odparłem.

— Otóż właśnie. Słyszał pan zapewne nierozsądne słowa lorda Roxtona, insynuujące... hm... niejako podobieństwo...

— Owszem, słyszałem je.

— Nie potrzebuję panu chyba wspominać, że wszelki rozgłos nadany tej uwadze — jakiegokolwiek zbyteczne jej roztrząsanie w druku — byłoby niezmiernie obraźliwym dla mnie.

— Będę się ściśle trzymał prawdy.

— Lord Roxton pozwala sobie częstokroć na uwagi bardzo fantastyczne, przyczem gotów jest przypisywać najabsurdalniejszym przyczynom, hość jaki oddają wyższym duchom najbardziej nawet nierozwinięte osobniki.

Pan rozumie co chcę powiedzieć, prawda?

— W zupełności pana rozumiem.

— Polegam więc w tej sprawie na pańskiej dyskrekcji. — Po chwili zaś dodał: „ten król małpoludzi miał jednak w sobie coś niepospolitego. Moim zdaniem wyróżnił się inteligencją i urodą. Nie uderzyło to pana?

— Istotnie, był niepospolity — odparłem.

Profesor, widocznie uspokojony, ułożył się znowu do snu.

ROZDZIAŁ XIV.

„Pierwsza depesza z placu boju“.

Sądziliśmy, że nasi wrogowie, nie domyślają się miejsca naszej kryjówki, jednak wkrótce przekonaliśmy się, iż mniemanie to było błędnem.

Zbudziliśmy się wszyscy wyczerpani i głodem i strasznymi przejściami dnia poprzedniego. Summerlee czuł się jeszcze tak osłabionym, że z trudem mógł utrzymać się na nogach; ale jest w nim pewna dumna odwaga, która nie pozwala mu się przyznać do jakiegokolwiek słabości. Zrobiliśmy zaraz naradę, i postanowiliśmy najprzód zjeść jakie takie śniadanie, poczem, przeczekawszy godzinę lub dwie w naszej kryjówce, w poprzek płaskowzgórza dostać się do jaskiń, które, według moich obserwacji, zamieszkiwali krajowcy. Byliśmy pewni, że dzięki wstawiennictwu ocalonych przez nas od śmierci biedaków, rodacy ich przyjmą nas gościnnie.

Wówczas, dokonawszy tego ostatniego zadania, i posiadając spory zapas wiadomości o Ziemi

Maple White'a, skierujemy wszystkie nasze myśli na wyszukanie sposobu wydobywania się z niej. Nawet Challenger przyznał, że wypełniliśmy w zupełności zadanie, które nas tu przywiodło i że pierwszym naszym obowiązkiem jest zanieść światu wieść o naszych nadzwyczajnych odkryciach.

Mogliśmy teraz lepiej się przyjrzeć wyrażanym przez nas czerwonoskórym. Byli to ludzie niewielkiego wzrostu, ale dobrej budowy, zwinni, zgrabni i ich czarne gładkie włosy, ściągnięte były w tył głowy i związane skórzanym postronkiem. Opaski na biodrach mieli również skórzane. Ogotłone ich twarze miały wyraz dobroduszny, a rysy ich były kształtne. Zakrwawione i poszarpane koniuszki ich uszu wskazywały, że musieli nosić jakieś ozdoby, wyrwane przez zwycięzców. Mowa ich, niezrozumiała dla nas, była jednak płynną; a że, wskazując na siebie, powtarzali często wyraz „Accala“ wywnioskowaliśmy, iż musi to być imię ich plemienia. Niekiedy, z twarzą wykrzywioną strachem i nienawiścią, potrząsali zaciśniętą pięścią w kierunku lasu i wołali: „Doda! Doda! — co bezwątpienia było nazwą, jaką nadawali swym wrogom.

— I cóż pan o tem sądzi, Challenger? — zapytał lord John — co do mnie, to o jednym jestem przekonany, a mianowicie, że drobny jegomość, o mocno wygolonem czole, jest ich wodzem.

Istotnie, wskazany przezeń czerwonoskóry, trzymał się nieco na uboczu od swych towarzyszy,

którzy traktowali go z widocznym szacunkiem. Wiekem wydawał się najmłodszy, był jednak tak dumny i śmiały, że gdy Challenger położył mu rękę na głowie, rzucił się, jak koń dotknięty ostroga, i, z gniewnym błyskiem w ciemnych źrenicach, odsunął się od profesora; poczem położywszy rękę na piersiach; powtórzył kilka razy z godnością słowo „Maretas“. Profesor Challenger jednak, niestropiony, chwycił za ramię innego jeńca, i pokazując go nam, tak jak się pokazuje klasie rzadki jakiś okaz, zaczął wykład:

— Osobnik tego typu — mówił swym tubalnym głosem — ze względu na budowę czaszki, wymiar twarzy i inne cechy, nie może być zaliczony do rzędu niższych stworzeń. Przeciwnie, musimy go postawić wyżej wielu plemion Ameryki Południowej, i dlatego żadną hipotezą niepodobna wytłumaczyć ewolucji takiej rasy na tem płaskowzgórzu. Różnica, jaka ich dzieli od małpoludzi i prymitywnych zwierząt, zamieszkujących Ziemię Maple White, jest zbyt wielką, aby mogli oni dojść tutaj do obecnego swego stopnia rozwoju.

— Skądże się więc tu wzięli, u licha? zagadnął lord Roxton.

— Nad tem pytaniem zastanawiać się będą bezwątpienia wszystkie towarzystwa naukowe Ameryki i Europy — odparł profesor — mojem zdaniem — tu wyprężył pierś i spojrzał wyzywająco na nas — mojem zdaniem proces ewolucji odbywa

się tutaj w warunkach zupełnie wyjątkowych, przyspieszając rozwój kręgowców, żyjących bok o bok ze stworzeniami pierwotnego typu. Mojem zdaniem przybyli z zewnątrz. Prawdopodobnie w Południowej Ameryce istniał rodzaj małpy antropoidalnej, która w odległych wiekach przywędrowała tutaj i z biegiem czasu przekształciła się w istoty, oglądane przez nas wczoraj; wśród nich zaś — w tym miejscu bystro spojrział na mnie — nie waham się stwierdzić, że zauważyłem osobniki, które mogłyby być ozdobą każdej rasy, gdyby ich umysłowość równała się ich wyglądowi. Co do Indian, to nie wątpię, że przybyli tu znacznie później z doliny. Pchani głodem, lub chęcią zdobyczy, dostali się aż tutaj, ale, chroniąc się przed strasznymi zwierzętami, jakich dotychczas nigdy nie widzieli, zamieszkali w tych jaskiniach, które nam opisał nasz młody przyjaciel. Prawdopodobnie jednak musieli prowadzić nieublaganą walkę z drapieżnymi bestjami, a szczególnie z małpoludźmi, którzy, traktując ich jak intruzów, prześladowali ich bez litości, ale natomiast z przebiegłością, na jaką niezdolne są zdobyć się olbrzymie tutejsze zwierzęta. Czy dobrze rozwiązałem tę zagadkę, moi panowie, czy też który z was ma co do zarzucenia moim wywodom?

Profesor Summerlee był zbyt osłabiony, aby zdobyć się na opozycję, więc tylko potrząsnął głową na znak przeczenia, a lord John podrapał się w rzedniejącą czuprynę i orzekł, iż nie chce zabierać

głosu w dziedzinie zupełnie sobie obcej. Co do mnie to zgodnie z moją zwykłą rolą ujmowania rzeczy pod kątem praktycznym, zauważyłem, że jednego z Indian brakuje.

— Poszedł po wodę — objaśnił mi lord John — dałem mu pustą puszkę po konserwach.

— Poszedł do dawnego obozu? — spytałem.

— Nie, do strumienia. O jakie dwieście kroków stąd, pomiędzy tamtymi drzewami. Ale stanowczo bawi już za długo.

— Pójdę po niego — rzekłem.

Wziąwszy strzelbę, skierowałem się w stronę strumienia, a towarzysze moi zajęli się przygotowaniem skromnego śniadania. Wydawać się może nieostrożnością, że oddaliłem się, choćby tak nieznacznie, od naszego schroniska, ale byliśmy przecie zupełnie daleko od osady małpoludzi; ci przytem nie znali naszej kryjówki. Zresztą z bronią w reku nie obawiałem się ich wcale, co tylko dowodzi, że nie zdawałem sobie sprawy z ich przebiegłości i siły.

Słyszałem w pobliżu szmer strumienia, ale dzieliła mnie od niego gęstwina drzew i zarośli, przedzieralem się przez nie, straciwszy już z oczu mych towarzyszy, gdy nagle ujrzałem w trawie coś czernego. Zbliżywszy się, ujrzałem z przerażeniem, iż jest to trup naszego Indianina. Leżał na boku, z wyciągniętymi sztywno członkami, a głowę miał wykręconą tak nienaturalnie, jak gdyby patrzył na własne plecy. Krzyknąłem głośno, aby ostrzec, mych towarzyszy i pochyliłem się nad ciałem.

Dobry duch, czuwający widać nademna, kazał mi jednak instynktownie podnieść głowę; a może rozróżniłem niedostłyszalny szelest liści, dość, że z zielonej gestwiny, zwieszającej się tuż nademną, ujrzałem wyciągającą się parę muskularnych ramion. Jeszcze chwila a długie palce zacisnęłyby się około mej szyi. Rzuciłem się wstecz błyskawicznym ruchem, ale ręce te były jeszcze zwinniejsze, aczkolwiek nie dosięgły mej szyi, jednak jedna z nich porwała mnie za plecy a druga za brode. Podniosłem ramię, osłaniając gardło, lecz w tej chwili poczułem, że olbrzymia łapa zakryła mi całą twarz; iakaś siła uniosła mię w górę i przechyliła mi głowę w tył. Uczułem ból tak silny, że pociemniało mi w oczach, ale instynktownie, walcząc z okropnym uściskiem, zdołałem wyswobodzić zeń brode i przez jedno mgnienie ujrzałem nad sobą potworną twarz z dwójgiem blado-niebieskich, nieubłagane okrutnych oczu. Było coś magnetycznego w tem straszonym spojrzeniu, coś, co mnie obezwładniło. Zawisłem bezsilny w muskularnych łapach; na chwilę ujrzałem dwa białe kły z dwóch stron paszczy i poczułem, że żelazna obęcz około mej szyi zaciska się coraz bardziej. Głowa moja przechyliła się w tył, gęsta mgła przesłoniła mi oczy, a cieniutkie srebrne dzwonki zadźwięczały mi w uszach. Jakby gdzieś z oddali dobiegł mnie odgłos wystrzału, poczułem jeszcze, że lecę w otchłań i straciłem przytomność.

Gdym otworzył oczy, leżałem na wznak, na

trawie, w naszej kryjówce. Ktoś przyniósł wody, którą lord John oblewał mi głowę; Challenger i Summerlee przerażeni i wzruszeni, podtrzymywali mnie z obu stron. Nigdy jeszcze nie widziałem tak ludzkiego wyrazu na poważnych twarzach naszych uczonych.

Było to raczej nerwowe wstrząśnienie, niż obrażenie cielesne, które pozbawiło mnie sił. To też w pół godziny później, w zupełnie dobrym humorze, mimo bólu głowy i sztywności w karku, siedziałem na trawie.

— Udało się panu jednak, mój chłopcze—rzekł lord John — gdym nadbiegł, usłyszawszy pański krzyk i ujrzałem pana wierzgającego nogami w powietrzu, z głową napół ukreconą — no, myślałem, że nasze towarzystwo zmniejszyło się o jedną osobę. Chybiłem bestję coprawda, ale, uciekając, wypuściła pana z uścisku.

Jasnym więc było, że małpoludzie wśledzili naszą kryjówkę i że pilnują nas ze wszystkich stron. We dnie byliśmy względnie bezpieczni, ale w nocy prawdopodobnie zaatakują nas. Z trzech stron otaczały nas lasy, gdzie łatwo mogliśmy wpaść w zasadzkę; natomiast z czwartej strony — tam gdzie grunt zniżał się, biegnąc ku brzegom jeziora—znajdowały się niskie zarośla, z rzadko rozsianymi wśród nich drzewami i z całym szeregiem sporych polanek. Była to ta sama droga, którą sobie obrałem podczas mej samotnej wycieczki, a która wiodła

do zamieszkałych jaskiń. Tamteży też, ze wszystkich względów, należało nam się skierować.

Żał nam było tylko porzucić nasz dawny obóz, nietylko z uwagi na zapasy, jakieśmy w nim zostawiali, ale przedewszystkiem dlatego, że traciliśmy w ten sposób kontakt z Zambo, tem jedynem ogniwem, łączącym nas z cywilizowanym światem. Ponieważ jednak mieliśmy spory zapas naboju i wszystkie nasze strzelby, więc przez jakiś czas przynajmniej mogliśmy zaopatrzać się w żywność; mieliśmy przytem nadzieję, że wkrótce uda nam się powrócić do obozu i nawiązać łączność z naszym murzynem. Obiecał nam solennie nie opuszczać posterunku i wierzyliśmy jego słowu.

Popołudniu ruszyliśmy w drogę; młody wódz indyjski szedł na czele, jako przewodnik, ale z oburzeniem odmówił dźwigania pakunków. Za nim szli dwaj pozostali indjanie, niosąc nasz szczupły majątek. My, czterej biali osłanialiśmy pochód, trzymając w pogotowiu nabite sztucery.

Gdyśmy wyszli z lasu rozległo się za nami głośne wycie, które mogło być zarówno wyrazem triumfu małpoludzi wobec naszej ucieczki, jak i pogardy dla naszego tchórzostwa. Oglądając się nie widzieliśmy nic prócz gęstwiny drzew, ale długotrwałość i siła tego wrzasku wskazywała aż nadto na ilość naszych wrogów. Nikt jednak nas nie ścigał i wkrótce wydobyliśmy się na otwartą przestrzeń, gdzieśmy byli bezpieczni.

Idąc na samym końcu pochodu i przyglądając się moim towarzyszom, nie mogłem na ich widok powstrzymać uśmiechu. Czyż to był ten sam wytworny lord Roxton, z którym rozmawiałem na Albany, w mieszkaniu zalanem światłem elektrycznym, zdobnem w maty perskie i cenne obrazy? Lub czy to był ów imponujący profesor, którego ujrzałem przed olbrzymiem biurkiem we wspaniałym gabinecie domu przy Enmore Park? I wreszcie, czyż miałem przed sobą tę samą oschłą, nerwową postać uczonego, który ukazał mi się poraz pierwszy na zebraniu w Instytucie Zoologicznym? Żaden z włóczęgów, napotkanych na przedmieściu Londynu nie mógłby być równie obdartym i nędznym, jak owi trzej ludzie.

Zaledwie tydzień spędziliśmy na płaskowzgórzu, ale nasze zapasowe ubrania pozostały w obozie, na dole, a te któreśmy mieli na sobie ucierpiały srodze w ciągu tego tygodnia. Moje było w najlepszym stanie, dzięki temu, że uniknąłem łap małpoludzi. Trzej moi przyjaciele pogubili swoje kapelusze i musieli poobwiązywać głowy chustkami; odzienie ich wisiało w strzepach, a niegolone ich, brudne twarze były wprost do niepoznania.

Summerlee i Challenger posuwali się ociężale, ra, osłabiony poranną przygodą, wlokłem się z trudnością, a szyja moja, nadkrecona morderczym uściskiem była tak sztywna, jak patyk. Przedstawialiśmy istotnie pożałowania godny widok, i nie dziwię

się, że indjanie spoglądali na nas ukradkiem z wyrazem przestachu i zdziwienia.

Przed wieczorem przybyliśmy nad brzeg jeziora, a gdy, wynurzając się z zarośli, ujrzelismy przed sobą jasną tafłę wody, nasi czerwonoskórzy sprzymierzeńcy wydali okrzyk radości i wyciągnęli przed siebie ręce. Widok, jaki nam się przedstawił, był istotnie piękny: cała flotylla czółen sunęła po wodzie w stronę brzegu, na którymśmy stali. Była oddalona od nas o kilka dobrych mil, ale płynęła z taką szybkością, iż niebawem wiosłarze mogli nas rozpoznać. Wydali jednogłośnie grzmiący okrzyk radości i zerwawszy się na nogi potrząsali wiosłami i włóczniami; poczem wracając znów do wiosłowania, podpłynęli do brzegu, i, wyciągnawszy czółna na ławice piaskową, podbiegli ku nam, aby upaść na twarz przed młodym wodzem i powitać go głośnym okrzykiem. Wreszcie jeden z nich, starszy już człowiek, ustrojony w naszyjnik i bransoletę z kolorowego szkła i w jakąś wspaniałą, bursztynowo-centkowaną skórę, która zwieszała mu się z ramion, wysunął się naprzód i serdecznie ucałował młodzieńca, któregośmy uratowali. Potem przyjrząwszy nam się uważnie i zadawszy kilka pytań, podszedł ku nam z wielką godnością i kolejno nas ucałował. Na jego rozkaz cała gromada padła na ziemię przed nami, na znak hołdu.

Osobiście czułem się nieco onieśmielony, a nawet zakłopotany wobec takiej pokory, i toż same

uczucie wyczytałem z oczu lorda Johna i profesora Summerlee, natomiast Challenger promieniał, jak kwiat w słońcu.

— Mogą to być ludzie o niskim stopniu umysłowego rozwoju — rzekł, przyglądając się im i gładząc brodę — ale zachowanie się ich wobec zwierzchników może służyć za przykład każdemu z naszych Europejczyków. Uderzającą jest trafność instynktów pierwotnego człowieka!

Widocznem było, że krajowcy wybierali się na wojenną wyprawę, każdy z nich bowiem uzbrojony był we włócznię — długi bambus zakończony wyostrzoną kością — w łuk i strzały, oraz w jakąś maczugę lub kamienny toporek. Gniewne spojrzenia, jakie rzucali w stronę lasu i często powtarzające się w ich mowie słowo „Doda“, pozwalały wnioskować, iż wybierali się z odsieczą, lub może, aby pomścić śmierć młodzieńca, który musiał być synem owego starego wodza.

Cały szczepek, kucnąwszy w półkole, odbywał naradę wojenną, której my przyglądaliśmy się, usiadłszy w pobliżu na bazaltowym złomie. Dwóch czy trzech wojowników zabierało głos, aż wreszcie przemówił ocalony przez nas młodzieniec, a żywym jego słowom towarzyszyła tak wyrazista mimika i gesty, że zrozumieliśmy równie dokładnie, jakgdybyśmy znali ich język.

— Póź mamy wracać? — mówił — wcześniej czy później walka ta musi się rozstrzygnąć.

Towarzysze nasi są pomordowani, cóż więc z tego, że ja ocalałem. Tamci zginęli, i nigdzie niema dla nas bezpieczeństwa. Otośmy się zebrali i przygotowali, ci dziwnie ludzie — tu wskazał na nas — są nam przyjaźni. Wielcy to wojownicy a nie nawiąda małpoludzi tak jak i my. Rozkazują oni gromom i błyskawicom — tu wyciągnął ramię ku niebu — kiedyż więc trafi nam się taka druga okazja. Ruszajmy na bój, aby zginąć lub zwyciężyć. Jakżesz inaczej będziemy śmiało stanąć przed obliczem naszych niewiast ?

Drobni, czerwonoskórzy wojownicy zawisli na ustach mówcy, a gdy skończył, uczcili go okrzykiem zapafu, potrząsając nad głowami broniami. Stary wódz podszedł ku nam i zadał nam jakieś pytanie, wskazując jednocześnie na las. Lord Roxten znakiem kazał mu poczekać na odpowiedź i zwrócił się do nas:

— Musicie się zdecydować, panowie, co chcecie czynić — rzekł — co do mnie, mam pewne porachunki z tym małpiem plemieniem, i jeżeli skończą się one jego zniknięciem z powierzchni ziemi, to nie sądzę, aby świat ucierpiał wcale z tej przyczyny. Idę z tym czerwonym ludkiem i w miarę sił pomogę im w przedsięwzięciu. Co pan na to, młodzieńcze ?

— Idę, oczywiście z panem.

— A Challenger ?

— Nie uchylam się od współudziału w tej sprawie.

— A pan, Summerlee?

— Zdaje mi się, że odbiegamy daleko od pierwotnego celu naszej wyprawy, milordzie. Upewniam pana, że porzucając moje wykłady w Londynie, nie przypuszczałem nigdy, iż czynię to po to, aby dowodzić wyprawą wojenną czerwonoskórych przeciwko plemieniu antropoidalnych małp.

— Spada się niekiedy do tak niskich zadań — uśmiechnął się lord John — ale ponieważ stanęliśmy już przed niemi, więc niech pan powie swą decyzję.

— Uważam że jest to krok nader lekkomyślny — odparł Summerlee, oponujący do ostatka — ponieważ jednak zdecydowaliście się nań wszyscy, niema mowy, abym się miał od was odłączać.

— A więc rzecz postanowiona — zakończył lord John, i, zwracając się do wodza, skinął głową i uderzył w swój karabin.

Stary Indianin uściskał nam kolejno ręce, a jego poddani wydawali okrzyki radości, jeszcze głośniejsze niż poprzednio.

Zbyt późno było, aby puszczać się w pochód tegoż dnia, więc Indianie rozłożyli się na miejscu obozem. Ze wszystkich stron rozpalono ogniska; kilku ludzi zniknęło w lesie, skąd wrócili, ciągnąc młodego iguanodona. Tak jak i inne widziane przez nas iguanodony, miał on na łopacie asfaltową pla-

mę i dopiero gdy jeden z indjan, wystąpił z tłumu i z miną właściciela dał znak przyzwolenia na zabicie zwierzęcia, zrozumieliśmy, że te wielkie zwierzęta stanowiły prywatną własność, tak jak stada bydła i że plamy, które nas tak intrygowały, były to jakby stemple, kładzione przez właściciela.

W parę chwil zabito olbrzymie zwierzę, rozczwartowano je i rozwieszono nad ogniskami płaty mięsa wraz z wielką rybą, którą indjanie wyłowili w jeziorze.

Summerlee ułożył się do snu na piasku, my jednak poszliśmy brzegiem wody, aby obejrzeć trochę te nowe miejsca. Dwukrotnie napotkaliśmy pokłady niebieskawej gliny, takiej, jaką widzieliśmy już poprzednio na trzęsawisku pterodaktyłów. Znajdowała się ona w rozpadlinach dawnych wulkanów i, nie wiem czemu, wzbudziła ciekawość lorda Johna.

Uwagę zaś Challengera pochłonał gejzer, który, parskając i bełkocząc, wytryskiwał z błota. Na tem zaś błocie jakiś gaz tworzył wielkie, pękające wciąż bańki. Profesor nasz wetknął w lepką muf wydrążoną trzcinę i krzychał z uciechy jak uczeń, gdy za dotknięciem zapalniczki gaz wybuchł, a błękitnawy płomień ukazał się na końcu trzciny. Ale jeszcze bardziej się ucieszył, gdy skórzany woreczek, który napełnił gazem przez trzcinę, nadał się i uleciał w powietrze.

— Gaz palny i znacznie lżejszy od powietrza —

wolał. — Twierdę bez wahania, że zawiera spory procent tlenu; pomysłowość Jerzego Edwarda Challengeera nie wyczerpała się jeszcze, mój młody przyjacielu, i dowiodę wam, że wyższy umysł nagina siły przyrody do swoich celów.

Napuszył się z jakiejś nieznaney przyczyny, ale nie chciał nic bliżej wyjaśnić.

Co do mnie nic wokół nie wydało mi się tak zajmującym jak wspaniała tafla wody. Nadejście nasze i wrzawa, jakąśmy sprawili, wypłoszyła wszystkie żyjące stworzenia za wyjątkiem paru pterodaktyli, które unosząc się wysoko nad naszymi głowami, czatowały na żer. To też cisza panowała wokół obozu, ale różowawe w zachodzącem słońcu wody jeziora wrzały życiem. Wynurzały się zeń wielkie grzbiety, pokryte ciemną łuską, i otulone srebrną pianą zębate skrzela, aby znów po krótkiej chwili zapaść w tajemnicze głębiny. Na dalekich piaskowych ławicach widać były ciężkie, dziwaczne istoty: olbrzymie żółwie, ogromne jaszczurki, a między nimi jakieś wielkie, płaskie stworzenie, podobne do czarnej, tłustej, drgającej skóry, pełzało zwolna ku wodzie. Gdzieś nad powierzchnią jeziora wysuwały się na długich szyjach głosy węzowe, i przecinając szparko pieniącą się wodę, podnosiły się i opadały pełnym wdzięku, łabędzim ruchem. Gdy jedno z tych dziwnych stworzeń wylądowało na piasku niedaleko od nas, ukazując swoje beczkowate cielsko, zao-

patrzone w potężne skrzele u długiej, węzowatej szyi, Challenger i Summerlee, który już się do nas przyłączył, rozplynęli się obydwaj w zgodnym zachwycie.

— Plesiosaurus! Żywy plesiosaurus! — wołał Summerlee — wielki Boże, że też ja dożyłem takiego wřdoku! Jesteśmy najszczęśliwszymi z pośród wszystkich zoologów świata, drogi Challenger.

Dopiero gdy noc zapadła i światła w obozie naszych sprzymierzenców błysnęły czerwono obaj uczeni dali się odciągnąć od czarów tego jeziora. Nawet w ciemności, leżąc nad jego brzegami, słyszeliśmy plusk i chrapanie stworzeń, które, kotłowały nieustannie w jego głębiach.

O brzasku zaczął się ruch w naszym obozie, a w godzinę potem ruszyliśmy w drogę.

Nieraz marzyłem o tem, aby być korespondentem z jakiej wojny, ale jakaż fantazja mogłaby odgadnąć okoliczności i otoczenie, w którym marzenie to się urzeczywistni. Oto więc moja pierwsza depesza z placu boju:

Przez noc otrzymaliśmy posiłki, tj. świeży zastęp wojowników z jaskiń, tak, że było nas ogółem od czterystu do pięciuset ludzi. Czoło pochodu stanowili wywiadowcy, za nimi posuwała się wśród krzaków, główna kolumna wojowników, która nad brzegiem lasu rozsypała się w szereg, zbrojny w lu-

ki i włócznie. Roxton i Summerlee zajęli pozycję na prawem skrzydle, a Challenger i ja na lewem. Wśród tych zastępów z epoki kamiennej byliśmy gośćmi z innej epoki, gośćmi uzbrojonymi w sztucery i karabiny, będące ostatnim wyrazem sztuki rusznikarskiej.

Wróg nie kazał nam długo czekać na siebie. Dzikie wstrząsające wycie rozdarło głębie lasu i cała chmara małpoludzi dźwigających maczugi i kamienie, spadła na nasze szeregi. Był to krok mężny ale wysoce nieroztropny, gdyż wielkie, niezgrabne stworzenia nie mogły w ruchach dorównać indjanom, zwinnym jak koty. Okropny był jednak widok tych bestyj, gdy z płonącymi oczyma i spienioną paszczą rzucały się na swych przeciwników, nie mogąc ich dosięgnąć, i wystawiając swe cielska na cel ich strzałów. Jeden z tych olbrzymów przeleciał tuż obok mnie rycząc z bólu; tuzin strzał tkwił w jego piersi i bokach. Z litości wsadziłem mu kulę w czaszkę, i padł wśród aloesów. Nie potrzeba jednak było uciekać się do broni palnej, gdyż atak skierowany był w sam środek naszej kolumny, gdzie indjanie odepchnęli go bez naszego współudziału. Wątpię, czy choć jeden z małpoludzi, którzy wpadli na nas, uszedł z życiem.

Sytuacja jednak zmieniła się, gdyśmy weszli do lasu. Przez godzinę czy dwie toczyła się wśród drzew rozpaczliwa walka. Małpoludzie, uzbrojeni w potężne maczugi, wysuwali się z za drzew i nieraz

kładli po trzech lub czterech indjan zanim sami padli przeszyci ich włóczniami. Uderzenia maczug miażdżyły wszystko po drodze; jedno z nich pokruszyło na kawałki sztucer Summerlee i byłoby mu strzaskało czaszkę, gdyby jeden z indjan nie przeszył włócznią serca napastnika. Inni małpoludzie rzucali na nas z drzew kamienie i kłody, a potem zeskakując, walczyli zaciekle póki nie padli pod ciosami. Raz szeregi naszych sprzymierzeńców załamały się i byłyby napewno rozproszyły się w ucieczce, gdyby nie pomoc, z jaką im przyszły nasze karabiny. Zawróceni przez swego starego wodza, indjanie rzucili się do ataku z taką siłą, iż popłoch wszczął się między małpoludźmi.

Summerlee był rozbrojony, ale ja strzelałem bezustannie i pracowały dwa sztucery moich towarzyszy.

Wreszcie losy walki rozstrzygnęły się, panika wszczęła się wśród przeciwników. Z wyciem i jękiem małpoludzie poczęli uciekać na wszystkie strony lasu, ścigani przez indjan, upojonych odniesionem zwycięstwem.

Biegłem i ja za innymi, gdym wpadł na lorda Roxtona i Challengerą, którzy szli z przeciwnej strony.

— Skończone — rzekł lord John — mam wrażenie, że lepiej pozostawić resztę indjanom. Im mniej ujrzymy z tej ostatniej sceny tem spokojniejszy sen będziemy mieli w nocy.

Oczy Challengera błyszczały dziko.

— Mieliliśmy szczęście — rzekł, nadymając się jak cietrzew — uczestniczyć w jednej z wielkich walk świata — jednej z tych co rozstrzygały jego losy. Czemże jest podbicie jednego narodu przez drugi? Niema to znaczenia, bo zwycięstwo tej czy tamtej strony jednakie przynosi rezultaty. Ale te zapasy, odbywają się w zaraniu dziejów, gdy ludzie jaskiniowi zmagali się z tygrysem, gdy słonie po raz pierwszy nauczyły się widzieć w człowieku swego pana — o, to były prawdziwe zwycięstwa. Zwycięstwa, których doniosłość nie da się określić. I oto cudownem zrzadzeniem losu danem nam było przyczynić się do jednego z nich; od dnia dzisiejszego na płaskowzgórzu tem zaczyna się panowanie człowieka.

I otóż, według słów Challengera panowanie człowieka zaczęło się na ziemi Maple White'a. Małopoludzie zostali wymordowani, ich osada zburzona, ich samce i młode zabrane w niewolę, a nienawiść i wojna, trwająca od wieków, zalane morzem krwi. Zwycięstwo to przyniosło nam wiele korzyści: Mogliśmy znów powrócić do obozu i odzyskać nasze zapasy. Zdołaliśmy też wreszcie rozmówić się z Zambo.

— Uciekajcie stamtąd, uciekajcie massas! — wołał, wytrzeszczając z przerażenia oczy — djabeł porwać was jeśli zostanieie.

— Oto głos zdrowego rozsądku — rzekł z prze-

konaniem Summerlee — mieliśmy już dość przygód, które nie odpowiadają ani naszemu stanowisku, ani naszej powadze. Trzymam pana za słowo, kolego Challenger. Od dnia dzisiejszego wyteży pan wszystkie siły, aby znaleźć sposób wydobywania się z tego potwornego kraju i powrotu do ucywilizowanego świata.

ROZDZIAŁ XV.

„Oczy nasze oglądały cuda“..

Piszę te notatki, z dnia na dzień, ale mam nadzieję, że zanim je ukończę, kłopoty nasze dobiegną kresu i słońce błysnie po przez chmury. Tymczasem siedzimy tutaj łamiąc głowy nad sposobem wydostania się i nie mogąc go znaleźć,; jednak mam wrażenie, że kiedyś wdzięczni będziemy losowi, że wbrew naszej woli zatrzymał nas tu, pozwalając nam poznać nieco bliżej dziwy tego niezwykłego miejsca i te stworzenia, które je zamieszkują.

Zwycięstwo indjan było punktem zwrotnym w dziejach naszego tu pobytu; od chwili porażki małpoludzi staliśmy się faktycznymi panami płaskowzgórza, gdyż krajowcy patrzyli na nas ze strachem i wdzięcznością, jak na istoty, których nieopięta siła pomogła im zniszczyć odwiecznego wroga. Dla własnego bezpieczeństwa byliby może woleli pozbyć się dziwnych gości, ale nie okazali

nam żadnej drogi wydobyć się w dolinę. Z gestów ich wywnioskowaliśmy, że istniał niegdyś tunel, którego część widzieliśmy w dolinie, a przez który i małopoludzie i indjanie, w rozmaitych epokach dostali się na płaskowzgórze. Maple White i jego towarzysze również musieli zeń skorzystać, ale poprzedniego roku zaszło silne trzęsienie ziemi, które zniszczyło ów tunel. To też indjanie kiwali jedynie głowami i wzruszali ramionami, gdyśmy im tłumaczyli, że chcemy się stąd wydostać. Być może że nie mogą nam pomóc, a może i nie chcą.

Niewielka garstka małopoludzi, którym darowano życie została umieszczona w pobliżu indyjskich jaskiń, gdzie do końca dni swoich mają służyć swym panom jako niewolnicy.

W dwa dni po bitwie wróciliśmy wraz z naszymi sprzymierzeńcami nad jezioro i rozłożyliśmy się obozem w pobliżu jaskiń. Ofiarowali nam co prawda gościnę w ich wnętrzach, ale lord John nie chciał jej przyjąć pod żadnym pozorem, gdyż byłoby to zupełnem zdaniem się na łaskę lub niełaskę naszych gospodarzy, a któż wie jakie mogą żywić zamiary. Pozostaliśmy więc niezależni i mimo przyjaznych obustronnie stosunków, broń mamy w pogotowiu. Odwiedzamy ciągle jaskinie, które przedstawiają widok niewypowiedzianie ciekawy, niepodobna jednak określić czy są dziełem rąk ludzkich czy sił przyrody?

Leżą wszystkie na jednym poziomie, jako wgniecenia między pokładami miękkiego bazaltu tworzącego wierzchołki skał, a twardego granitu z którego składa się ich podstawa. Schody, wysokie, a tak strome i wąskie, że żadne większe zwierze nie mogłoby wspiąć się na nie, prowadzą do wnętrza jaskiń, znajdującego się o jakie 80 stóp nad ziemią. Wnętrza te są suche i ciepłe; przechodzą w cały szereg rozmaitej długości korytarzy, które biegną wgłąb gór, a których szare ściany ozdobione są doskonałemi rysunkami, przedstawiającymi rozmaite zwierzęta płaskowzgórza. Gdyby więc dziwna ta fauna znikła z powierzchni ziemi, — przyszły badacz znajdzie na ścianach jaskiń, dokładny jej obraz — dinosaura, iguanodona, wodnych jaszczurów — jako dowód, że istniała jeszcze tak niedawno.

Przekonawszy się, iż wielkie iguanodony są poprostu domowem bydłem i, powiedzmy, żywym składem mięsa, doszliśmy do wniosku, że człowiek, nawet w pierwszych fazach swego rozwoju panuje nad światem zwierzęcym; wkrótce jednak przekonaliśmy się jak bardzośmy się mylili, i że władza jego nie tylko nie była uznawana, ale jego obecność zaledwie tolerowana. Dowiódł nam tego wypadek, który się zdarzył na trzeci dzień po naszym powrocie do obozu.

Challenger i Summerlee znajdowali się nad brzegiem jeziora, gdzie kilku krajowców, pod ich

kierownictwem łowiło im harpunami wielkie wodne jaszczurki. Lord John i ja pozostaliśmy w obozie; kilkunastu indjan, zajętych rozmałą pracą, uwijało się na skalistym zboczu w pobliżu jaskiń, gdy nagle rozległ się przeraźliwy okrzyk „Stoa“ i ze wszystkich stron posypali się mężczyźni, kobiety, dzieci, krzycząc ze strachu i uciekając panniecznie w stronę jaskiń, aby się ukryć na ich stromych schodach i w ich wnętrzu. Znakami wzywaliśmy nas do pójścia za ich przykładem, obydwaj więc chwyciliśmy za karabiny i wybiegliśmy, aby się przekonać co za niebezpieczeństwo nam grozi.

Nagle z za drzew wybiegło dziesięciu lub dwunastu indjan, a za nimi pędziły dwa potwory takie, jak ten, który napastował nasz obóz i ten co trapił mnie podczas owej samotnej wycieczki. Kształtem przypominały olbrzymie ropuchy, a poruszały się olbrzymimi susami, ale ohydne ich cielska były większe od największego słonia. Nigdy jeszcze nie oglądaliśmy ich w dzień bo są to nocne zwierzęta, i nie ukazują się we dnie, o ile nie spłoszyć je z legowisk, tak jak to miało miejsce w danym wypadku. Byliśmy wprost oszołomieni ich wyglądem, gdyż łuskowata ich skóra pokryta była wrzodami i za każdym ich ruchem mieniła się kolorowo w blaskach słońca.

Nie mieliśmy jednak czasu zbyt długo im się przyglądać, gdyż wnet dopadły uciekających, siejąc

wśród nich straszne spustoszenie. Rzuciły się kolejno całym swym ciężarem na ofiarę, a zgniótłszy ją na miazgę, dopadały drugiej. Nieszczęśni indjanie krzyčeli rozpaczliwie, ale nie byli w stanie wymknąć się szybkim ruchom i sile swoich napaścników, padali jeden na drugim i zaledwie sześciu z nich pozostało przy życiu zanim lord John i ja pośpieszyliśmy im z pomocą. Niestety pomoc ta nie była wielką a naraziła nas na niebezpieczeństwo. Strzelaliśmy raz po raz z odległości kilkuset kroków ledwie ale kule nasze wchodziły w ciała potworów tak, jak papierowe gałki. Gady pozbawione nerwów i ośrodków mózgowych, były nieczułe na wszelkie rany i odporne na pociski współczesnej broni. Udało się nam jedynie hukiem naszych wystrzałów odwrócić ich uwagę w inną stronę i zatrzymać nieco ich pościg, dzięki czemu i my i indjanie zdołaliśmy schronić się na schody jaskiń. Ale zatrute strzały indjan zmazane w odwarze stropalintum i nurzane potem w gnijącej padlinie, okazały się skutecznymi tam, gdzie broń XX wieku była bezsilna.

Gdy chodziło o natychmiastową obronę, działanie tych strzał byłoby za powolne pozostawiając bestji czas rzucenia się na swą ofiarę. To też dopiero wówczas, gdy oba potwory znalazły się u stóp jaskiń, cały deszcz strzał posypał się na nich z każdego zagłębienia skały; w mgnieniu oka były

nimi naszpikowane, a jednak nie dając znaku bólu, pięły się na skałę drapały ją pazurami; wspinały się na schody i ciężko opadały na ziemię. Wreszcie jednak trucizna poczęła działać; przeciągły ryk wydarł się z paszczy jednego potwora, który pochylając kwadratowy łeb, runął na ziemię. Drugi okrzyk się kilkakrotnie, poczem wydając ostre, przenikliwe ryki, poczał wć się w agonji, aż w końcu zeszywniał na ziemi.

Kiedyś, gdy będę miał lepsze biurko niżeli obecna skrzynka po wędlinie, pióro zamiast użytej reszki ołówka, i trochę papieru zamiast ostatniego poszarpanego notatnika — opiszę dokładnej tych indjan ze szczepu Accala. Opiszę nasze życie wśród nich, ich obyczaje, a także wszystko z czemśmy się zapoznali wówczas na Ziemi Maple White'a. Pamięć mnie nie zawiedzie, bo każde zdarzenie, którego tu byłem świadkiem, każda godzina, którą tu spędziłem, będą mi zawsze stały przed oczyma, tak żywo, jak żywo stoją niekiedy pierwsze wrażenia dzieciństwa. Nic nie zdoła zatrzeć tego co tak głęboko zapadło w duszę.

To też z czasem opiszę tę cudowną noc księżycową, spędzoną na jeziorze, tę noc gdy młody ichthyosaunus—pół zwierzęcia, pół ryby, z dwojem oczu osadzonych z dwóch stron ryja, a trzeciem na wierzchu głowy — zaplątał się w sieć indjan i o mało nie wyrócił naszego czółna. Tej samej nocy

zlelony wąż wodny wychylił się z siltowia i porwał w swe sploty sternika z łodzi Challengera.

Opowiem także o przedziwnych, wielkich mglistych nocnych stworzeniach—do dziś dnia nie wiemy czy były to płazy, czy zwierzęta — I które żyją w błotach na wschód od jeziora i nocą unoszą się w powietrzu z fosforycznym blaskiem. Indianie boją się ich tak panicznie, że nie chcą zbliżyć do błota, my zaś, choć dwukrotnie robiliśmy doń wyprawę, i oglądaliśmy jego dziwacznych mieszkańców, jednak nie zdołaliśmy przebyć trzęsawisk i dotrzeć do ich legowisk. Powiem więc tylko, że wydały mi się większe od krowy, a wydzielały dziwny, piżmowaty zapach. Wspomnę również o wielkim ptaku, który zapędził Challengera na skały: był to ptak większy od strusia, o sępiej szyi i groźnym łbie, będącym jakby uosobieniem okrucieństwa. Gdy Challenger szybko wspinał się na schody, ptaszysko jednym uderzeniem potężnego dzioba urwał mu podeszwę od buta, tak jakgdyby ją odcięto nożem. Tym razem broń współczesna odniosła zwycięstwo i olbrzymie stworzenie — (dwadzieścia stóp wysokości) — phororacus, według słów zdyszanego, lecz zachwyconego Challengera — padło od kuli lorda Johna, jak tuman pierza, z pośród którego wynurzyły się wierzgające nogi i błysnęła para żółtych, złych oczu. Chciałbym ujrzeć tę potężną, płaską czaszkę wśród trofeów w mieszkaniu przy ulicy Albany!

Wreszcie będę musiał wspomnieć i o toxodonie, — na jakie dziesięć stóp wielkiej świni, o olbrzymich sterczących klach, — którąśmy pewnego ranka zabili przy wodopoju.

Opiszę to wszystko z czasem i z prawdziwą rozkoszą zatrzymam się myślą na tych cudnych, letnich wieczorach gdy, pod sklepieniem ciemno-błękitnego nieba, leżąc obok siebie wśród gęstej trawy, podziwialiśmy dziwne ptactwo, unoszące się nad nami. Nieznane stworzenia, wypełszczy ze swych nor, przyglądały się nam, podczas gdy drzewa pochylały ku nam gałęzie, obciążone owocami, a wspaniałe osobliwe kwiaty darzyły nas zapachem swych wielkich kielichów.

Te sceny, które wryły mi się w pamięć na zawsze, chciałbym przenieść kiedyś żywcem na papier..

Ale zdziwi się pan zapewne, na co ta zwłoka, na co poszukiwanie nowych wrażeń, gdy wszystkie siły moje i moich towarzyszy powinny być ciągle skierowane ku wydobyciu się z naszej pułapki? Każdy z nas myśli o tem ale bezskutecznie; o jednem tylko jesteśmy w zupełności przekonani: indjanie nie uczynią nic aby nam dopomóżd. Pod każdym innym względem są nam przyjaźni, niemal niewolniczo oddani, ale gdyśmy im proponowali, by nam pomogli przerzucić drewnianą kładkę przez przepaść, albo aby nam dostarczyli zwojów ljan lub postronków skórzanych, któremibyśmy się mogli przy zejściu posłużyć — spotykaliśmy się ze sta-

nowczą choć dobroduszną odmową. Uśmiechali się, mrużyli oczy, i potrząsali przecząco głowami. Nawet stary wódz trzymał się tej samej taktyki, i tylko Maretas—ów ocalony przez nas z łap małpoludzi, młodzieniec, spojrzał na nas ze współczuciem i wytłumaczył nam gestami, iż nic dla nas uczynić nie może. Od czasu zwycięstwa nad małpoludźmi rodacy jego uznają nas za półbogów, których niepojęta broń zapewniła im powodzenie i są przekonani iż szczęście ich nie opuści dopóki my będziemy wśród nich. Ofarowali też każdemu z nas drobną czerwonoskórą kobietę za żonę, i piękną suchą jaskinię na mieszkanie, pod warunkiem, że zapomnimy o swoim kraju i pozostaniemy na zawsze tutaj.

Dotychczas nie mieliśmy z nimi żadnych zatargów, ale postanowiliśmy zachować nasze plany w tajemnicy, gdyż jesteśmy pewni, że gotowi są zastrzymać nas tu siłą.

Bez względu na niebezpieczeństwo ze strony dinosaura (choć mniejsze we dnie niż w nocy, gdyż jak mówiłem są to przeważnie nocne zwierzęta) odwiedziłem w ciągu ostatnich trzech tygodni dwukrotnie nasz dawny obóz, aby zobaczyć się z murzynem, który nie opuszczał swego posterunku w dolinie. Tęsknie sięgałem wzrokiem w dal, w nadziei ujrzania ratunkowej wprawy, ale niezmiernie usiana kaktusami płaszczyzna, była pu-

stą; pusta aż po odległą, ginącą na horyzoncie linię trzcin.

— Przyjść już niebawem, Massa Malone — pocieszał mnie poczciwy Zambo — jeden tydzień tylko, a indjanie tu być z liną i zabrać was.

Powracając z drugiej takiej wycieczki, która na tyle się przeciągnęła, iż spędziłem noc zdale od moich towarzyszy, miałem dziwne spotkanie. Szedłem zwykłą, dobrze znaną drogą i zbliżyłem się do miejsca, oddalonego najwyżej o jakie dwie mile od trzęsawiska pterodaktyłów, gdy ujrzałem przed sobą jakąś niezwykłą postać. Był to człowiek okryty trzciniową ramą w kształcie dzwona, okrywającą go ze wszystkich stron. Z niepomiernym zdumieniem poznałem w nim lorda Johna, on zaś spostrzegłszy mnie, wydobył się z pod swej klatki i podszedł ku mnie, śmiejąc się, nie bez pewnego zakłopotania:

— Doprawdy, młodzieńcze, — rzekł — nie spodziewałem się spotkać pana tutaj.

— Co pan tu robi, u djaska? spytałem.

— Idę z wizytą do tych miłusich pterodaktyłów.

— Ale po co?

— Ciekawe stworzenia, nie sądzi pan? Tylko strasznie nietowarzystkie! O ile pan pamięta są dość nieuprzejme dla obcych. To też skonstruowałem ten przyrząd, aby się uchronić od zbyt natrzącywej ich uwagi.

— Ale czego pan szuka w tem bagnie? — dopytywałem się.

Spojrzał na mnie bystro a na twarzy jego wy-czytałem wahanie.

— Czyżby ciekawość była wyłącznym przy-wilejem uczonych? — rzekł wreszcie — powinno panu wystarczyć iż studjuje obyczaje tych pięknych ptaszków.

— Bez urazy, milordzie — rzekłem.

Roześmiał się odzyskując swój zwykły, dobry humor.

— Nie, nie, bez urazy, młodzieńcze. Chcę zła-pać jedno takie piskłę dla Challengega. Dziękuję panu za towarzystwo, ale nie mogę go przyjąć: jestem zupełnie bezpieczny w swojej klatce a pan nim nie jesteś. Wróć do obozu przed zachodem słońca.

Zawrócił się i wszedł w las, okryty swym osobliwym przyrządem.

Ale jeśli zachowanie lorda Johna było dziwnem, to Challengega było jeszcze dziwniejszem. Przedewszystkiem muszę stwierdzić, że cieszył się niezwykłym powodzeniem wśród indjanek, wskutek czego nie wypuszczał z dłoni starej gałęzi palmowej, którą się przed nimi oganiał, niczem przed muchami, gdy stawały się zbyt natarczywe. Nie było nic śmieszniejszego nad widok naszego profesora, gdy, z rozwichrzoną brodą, unosząc wysoko pięty, przechadzał się z swą palmą w rękę,

otoczony jak operetkowy sułtan rojem indjanek, przybranych w długie powiewne szaty.

Summerlee zagłębił się w studjowaniu ptaków i owadów płaskowzgórza i cały swój czas (prócz licznych chwil spędzonych na wymówkach, jakie czynił Challengerowi za niewydobycie nas stąd) trawił na klasyfikowaniu swych zbiorów.

Challenger spędzał całe ranki na samotnych wycieczkach, z których powracał nastrojony uroczyście, jak człowiek, który dźwiga na barkach ciężar ogromnej odpowiedzialności. Pewnego dnia, otoczony swemi wielbicielkami, uzbrojony w nierozłączną palmę, zaprowadził nas do swej pracowni i wtajemniczył w swe plany.

Pracownia ta była wielką polanką wśród palmowego gaju, tryskał wśród niej jeden z tych błotnistych gejzerów, jakie już poprzednio opisywałem. Naokoło leżały rozrzucone postronki, wykrojone ze skóry iguanodona, i olbrzymi pęcherz, który był wysuszonym i oczyszczonym żołądkiem wielkiej wodnej jaszczurki. Pęcherz ten był zeszyty w kształcie worka i posiadał tylko jeden otwór, w który wpuszczone były wydrażone trzciny, tkwiące drugim końcem w błocie gejzera. Pęcherz w naszych oczach napełnił się gazem, i począł unosić się z ziemi, tak że Challenger musiał go przywiązać postronkami do drzew, a w pół godziny stał się zbiornikiem gazu; z naprężenia przytrzymujących go sznurów można było wnioskować o sile tego balonu.

Challenger, jak uszczęśliwiony ojciec wobec swego pierworodnego, stał, głaszcząc brodę i wpatrując się w zachwyconem milczeniu w swoje dzieło. Summerlee odezwał się pierwszy:

— Nie ma pan chyba zamiaru, Challenger, wyekspedjować nas stąd na tym przyrządzie?—zapytał lodowatym głosem.

— Mam zamiar, drogi kolego, zademonstrować wam mój wynalazek, i jestem przekonany, że po tej demonstracji, żaden z was nie zawaha się odbyć w nim podróży.

— Niech pan to sobie wybije z głowy odrazu i raz na zawsze — rzekł stanowczo Summerlee — nic mnie nie zmusi do popełnienia takiego szaleństwa. Milordzie, odwołuję się do pańskiego rozsądku i mam nadzieję że nie będzie pan popierał podobnego pomysłu.

— Djabelnie sprytnie pomyślane — odparł nasz wódz — chciałbym to zobaczyć w ruchu.

— I zobaczy pan — rzekł Challenger — przez kilka dni wysilałem mój umysł nad sposobem wydobycia się stąd. Doszliśmy do przekonania, że nie możemy zejść i że niema tu żadnego tunelu. Niema też mowy o przerzucaniu jakiegokolwiek mostu na ową piramidę, z którejśmy się tu dostali. Cóż więc począć? Otóż zwracałem niedawno uwagę naszego młodego przyjaciela, iż czysty tlen wydziela się z tego gejzeru, co mnie, oczywiście naprowadziło na myśl o balonie. Przyznaję, iż miałem nieco trudno-

ści z wyszukaniem odpowiedniej powłoki na zbiornik gazu, ale widok olbrzymich wnętrzości tych pławów rozstrzygnął i to zagadnienie. Otóż macie rezultaty!

Założywszy jedną rękę za kłapę podartej kurtki, drugą wyciągnął tryumfująco przed siebie.

Tymczasem pecherz przybrał kształt dużej kuli i unosił się niecierpliwie w górę.

— Czyste szaleństwo! — złościł się Summerlee.

Ale lord John był zachwycony pomysłem.

— Stary spryciarz, co? — szepnął do mnie, poczem zwracając się do Challengeera, dodał głośniejszym głosem: jakżeż zbudujemy łódkę?

— I na to przyjdzie czas. Obmyśliłem już z czego ją zrobić i jak umocować. Na razie chcę was tylko przekonać że mój aparat zdolny jest wytrzymać ciężar każdego z nas.

— Wszystkich razem?

— Nie, ułożyłem, iż każdy z nas spuści się kolejno, jak na spadochronie, poczem pozostali przyciągną balon za pomocą przyrządu, którego udoskonalenie nie będzie dla mnie trudnem. O ile balon zdoła udźwignąć jednego z nas, i opuści się łagodnie w odpowiednim miejscu, — niczego więcej nie będziemy odeń wymagali. A teraz zademonstruję wam mój przyrząd.

Przydźwigał spory złam bazaltowy i przymocował doń linę. Była to ta sama, za pomocą której

wdzieraliśmy się na skałę i którą zabraliśmy na płaskowzgórze. Wynosiła przeszło sto stóp długości, a choć cienka, była bardzo mocna. Challenger sporządził coś w rodzaju skórzanej obroży, otoczonej długimi pasami skóry. Obrożę tę nadział na balon, a postronki zebrał razem ze spodu, tak, że wszelki ciężar, zawieszony na nich rozkładałby się równo na dość znacznej powierzchni. Poczem obwiązał postronkami złom bazaltowy, a przymocowaną line obwinał sobie kilkakrotnie koło ramienia.

— Teraz — rzekł z uśmiechem zadowolenia — teraz zademonstruję wam siłę mego aparatu.

I z temi słowy przeciął przytrzymujące balon sznury.

Nigdy jeszcze nasza wyprawa nie znalazła się w tak krytycznem położeniu; uwolniony balon uniósł się błyskawicznie w górę, a nim, porwany z ziemi, fruwał i Challenger. Zaledwie zdołałem pochwycić go wpół, gdy i ja utraciłem grunt pod nogami; poczułem, że lord John złapał mnie za nogi i że wraz z nami uniósł się w powietrze. Przez chwilę błysnęła mi wizja czterech podróżników wirujących, niczem sznur serdelków, nad odkrytą przez siebie ziemią. Szczęściem jednak wytrzymałość liny miała węższe granice niżli siła nośna tego piekielnego aparatu. Coś trzasło i po chwili leżeliśmy jeden na drugim na ziemi, a wraz z nami zwój oberwanej liny, a kiedyśmy się wreszcie zerwali na nogi, złom bazaltowy migał już w obłokach jak ciemny punkcik.

— Nadzwyczajne — krzyknął niepokromiony Challenger, ocierając stłuczone ramię — wspa-
niale udane doświadczenie! Doprawdy nie spodzie-
wałem się podobnego sukcesu. Obiecuję wam, moi
panowie, że w ciągu tygodnia, zbuduję nowy apa-
rat, w którym bezpiecznie i wygodnie odbędziemy
pierwszy etap naszej podróży.

Na tem przerwałem moje opowiadanie; dziś cią-
gnę je w obozie u podnóża skał, gdzie Zambo czekał
nas tak długo. Wszystkie niebezpieczeństwa i prze-
szkody minęły jak sen, prześniony wśród wysokich,
czerwonawych skał, które wznoszą się nad naszymi
głowami. Zeszliśmy bez żadnych trudności, choć
w sposób zupełnie nieoczekiwany.; Za sześć tygod-
ni lub najdalej dwa miesiące stanęliśmy w Londynie,
i być może, że zjawię się w redakcji zanim jeszcze ten
list dojdzie do rąk pana. Z tęsknotą i niecierpliwo-
ścią wyglądamy chwili powrotu do tego wielkiego
miasta, w którym pozostawiliśmy wszystko, co jest
drogie naszym sercom.

Los nasz rozstrzygnął się w dzień owego niebez-
piecznego eksperymentu z balonem Challenge'a.
Wspomniałem już, że jedną osobą, która okazywa-
ła nieco współczucia naszym usiłowaniom zejścia
w dolinę, był młody syn wodza, uratowany przez
nas z niewoli u małp. On jeden tylko nie zdradzał
chęci zatrzymania nas przemocą i dał nam to wyraź-
nie do poznania gestami. Otóż, dnia, o którym
wspominam, przyszedł on o zmierzchu do naszego

obożu i podając mi (dla jakichś przyczyn okazywał mi zawsze najwięcej sympatji, może dlatego, że byłem zbliżony doń wiekiem) kawałek kory, wskazał wymownym gestem na szereg jaskiń w górze. Poczem położył palec na ustach na znak milczenia i oddalił się do swoich.

Przy świetle ogniska obejrzelismy ów kawałek kory; szeroki na jaką stopę, na odwrotnej stronie zawierał dziwaczny rysunek: rząd kresek i linji.

Linje te wykonane starannie węglem na białej korze, wydały mi się w pierwszej chwili podobne do nut.

— Cokolwiek przedstawia ten rysunek — rzekłem — gotów jestem przysiąc, iż ma on dla nas niepomierne znaczenie. Wyczytałem to z oczu Indianina, gdy mi go wręczał.

— O ile nie zażartował sobie z nas — zauważył Summerlee — wogóle, zdaniem moim, psotność jest najelementarniejszą cechą rozwoju człowieka.

— To wygląda na rodzaj pisma — rzekł Challenger.

— Albo jak konkursowy rebus taniej gazety — wtrącił lord John, wyciągając szyję, aby lepiej widzieć.

Nagle schwycił kawałek kory.

— Na honor — zawołał — zdaje mi się że odgadłem. I to za pierwszym razem. Spójrzcie no, wiele macie tu linji?

Osiemnaście, tak? Otóż skała nad nami zawiera osiemnaście jaskiń.

— Maretas wskazywał jaskinie gdy mi to dawał — szepnąłem.

— A więc niema żadnych wątpliwości. Mamy przed sobą mapę jaskiń. Jest ich osiemnaście ogółem, jedne krótsze, inne dłuższe, jedne kręte, drugie proste. Cóż ma oznaczać ten krzyżyk? Wskazuje na najgłębszą z jaskiń.

— Te, która przechodzi na wylot — zawołałem.

— Nasz młody przyjaciel rozwiązał zagadkę — rzekł Challenger — jeżeli bowiem jaskinia nie przechodzi na wylot, to nie rozumiem czemu ów młodzian, który ma wszelkie powody aby nam dobrze życzyć, oznaczałby ją krzyżem. A o ile jaskinia sięga na wylot, t. j. posiada otwór po drugiej stronie szeregu skał, to nie mielibyśmy więcej jak sto stóp do zejścia.

— Sto stóp! — jęknął Summerlee.

— Lina nasza jest dłuższą nad sto stóp — odparłem — będziemy mogli zejść.

— No a indjanie w jaskini? oponował Summerlee.

— Indjanie nie zamieszkują tych jaskiń nad nami — rzekłem — używają ich jako składy i śpichlerze. Radzę udać się tam natychmiast i zbadać ich położenie.

Na płaskowzgórzu rośnie pewien rodzaj suchego drzewa — odmiana araucarii, zgodnie z twierdze-

niem naszego botanika — używana przez krajowców za pochodnie. Każden z nas zaopatrzył się w spora jej wiązanke, poczem, po zarośniętych zielskiem schodach, wspieliśmy się ku wskazanej nam jaskini. Tak jak zapewniałem była ona pustą i zamieszkiwały ją jedynie nietoperze, które poczęły chmara unosić się nad naszymi głowami. Nie chcąc obudzić czujności indjan, posuwaliśmy się poomacku, i zapaliliśmy nasze pochodnie, dopiero minawszy kilka zakrętów. Znajdowaliśmy się we wspaniałym, suchym tunelu, którego szare, gładkie ściany pokryte były zwykłymi rysunkami; nad naszymi głowami unosiło się koliste sklepienie, a biały piasek szeleścił pod nogami. Szliśmy pośpiesznie, aż wreszcie zmuszeni byliśmy się zatrzymać z okrzykiem głębokiego rozczarowania! Przed nami wznosiła się gładka, równa ściana, nie mająca nawet takiej szczeliny przez którą mogłaby się prześlizgnąć mysz. Nie mogliśmy marzyć o wyjściu.

Z gorzkim uczuciem zawodu staliśmy przed tą przeszkodą; nie była ona wynikiem żadnej żywiołowej katastrofy, jak zwały w owym tunelu, przez który chcieliśmy tu wejść; końcowa ta ściana była równie gładka jak i boczne, i musiała powstać w tym samym co i one, czasie i w ten sam sposób.

— Nic nie szkodzi, moi przyjaciele — odezwał się Challenger — mamy w odwodzie mój balon. Summerlee westchnął.

— Czyżbyśmy weszli nie do tej jaskini? spytałem.

— Co to, to nie — odparł lord John, nie spuszcżając palca z mapy, — siedemnasta z prawej i druga z lewej. Jesteśmy we wskazanej jaskini niezawodnie.

Spojrzałem w kierunku jego palca i nagle wydałem okrzyk radości.

— Już wiem! Chodźcie za mną!

Świecąc sobie pochodnią śpiesznie przebiegłem drogę, którąśmy przeszli.

— Tutaj — rzekłem, wskazując na rzucone na ziemię zapalki — tutaj zapaliliśmy światła.

— Tak jest.

— Jaskinia rozwidła się w dwóch kierunkach, a my minęliśmy pierwsze rozwidlenie przed zapaleniem pochodni. Z prawej strony musi się znajdować dłuższy korytarz.

Rozumowałem trafnie, nie uszliśmy bowiem nawet trzydziestu jardów, gdy ujrzeliśmy przed sobą wielki ciemny otwór. Zagłębiwszy się weń znaleźliśmy się w korytarzu znacznie szerszym niż poprzedni. Szliśmy nim niecierpliwie na przestrzeni kilkuset jardów, aż nagle w ciemności przed nami błysnęła czerwony punkt. Zatrzymaliśmy się zdumieni.

Wąska, jasna smuga leżała przed nim; pobiegliśmy ku niej. Była nieruchoma i zimna, a jednak błyszczała nieustannie przed nami, rzucając ostre

blaski na ściany jaskini i zmieniając piasek u naszych stóp na masę drobnych klejnotów, aż wreszcie przeszła w duży krąg jasnego, łagodnego światła.

— Księżyc! — zawołał lord John — jesteśmy swobodni! Swobodni!

Był to istotnie księżyc, który zaglądał w otwór jaskini; otwór ten nie był wielki, ale w zupełności dostateczny. Wychylając się przezeń ujrzelśmy, że zejście nie przedstawia specjalnych trudności, gdyż znajduje się dość nisko nad ziemią. Nie było nic dziwnego, żeśmy go nie zauważyli z doliny, gdyż ukryte było wśród skał, pozornie niedostępnych. Ale zejście było możliwe, szczególnie z pomocą naszej liny.

Uscześliwieni wróciliśmy do obozu, aby przygotować się do jutrzejszej wyprawy. Musieliśmy ją zorganizować z ogromną ostrożnością, aby indjanie nie domyślili się naszych zamiarów i nie unicestwili ich w ostatniej chwili. Postanowiliśmy zabrać ze sobą jedynie strzelby i naboje; Challenger wszakże nie chciał się rozstać ze swoimi zbiorami, a pewien z jego pakunków, o którym nie chcę narazie bliżej wspominać, sprawił nam masę kłopotu.

Dzień włókł się niesłychanie powoli, aż wreszcie o zmroku byliśmy gotowi do podróży. Z niemalym nakładem trudu wnieśliśmy nasz dobytek po schodach i u wejścia do jaskini, obejrzelśmy się poraz ostatni na ten zakątek, który wkrótce zapewne sta-

nie się pastwą turystów i badaczy, ale który dla nas pozostanie zawsze naszym krajem, ziemią snów i marzeń, miejscem gdzieśmy wiele dokonali, nauczyli się i przecierpieli.

Na lewo widzieliśmy szereg jaskiń, połyskujących czerwonym blaskiem ognisk, śmiechy i śpiewy ich mieszkańców dobiegały naszych uszu. Zdała majaczyła ciemna linja lasu, a w dole kołysało się wielkie zwierciadło jeziora, tej ojczyzny najdziwniejszych potworów. I nagle ostry, przenikliwy krzyk jakiegoś zwierzęcia rozdarł ciszę i wionął ku nam, jak pożegnanie z Ziemi Maple White'a. Weszliśmy wgląd jaskini prowadzącej w powrotną drogę.

W dwie godziny później byliśmy już na dole, zabrawszy wszystkie pakunki. Bagaż Challenge'a był właściwie jedyną trudnością przeprawy. Zostawiając wszystko u stóp skał, ruszyliśmy odrazu do obozowiska Zambo, dokąd przybyliśmy następnego dnia o świcie i ze zdumieniem zastaliśmy miast jednego ogniska — kilkanaście. Wyprawa ratunkowa przybyła; liczyła dwudziestu indjan zaopatrzonych w sznury, drągi i wszelkie przyrządy mogące posłużyć do przebycia przepaści. Przynajmniej, puszczając się jutro w powrotną drogę ku dorzeczom Amazonki, nie będziemy mieli trudności z dźwiganiem bagaży.

Tak więc szczęśliwy i wzruszony kończę moje sprawozdania. Oczy nasze oglądały cuda, a dusze

nasze zahartowały się wśród przejść. Każdy z nas stał się lepszym i mędrszym.

Być może, że zatrzymamy się nieco w Para, W takim wypadku list ten wyprzedziłby mnie; w przeciwnym jednak razie przybędziemy do Londynu jednocześnie. A tak czy inaczej, mój drogi panie Mc. Ardle, będę mógł niedługo uściskać Pańska dłoń.

ROZDZIAŁ XVI.

„Pochód“.

Chciałbym przedewszystkiem wyrazić wdzięczność wszystkim tym, których gościnność i życzliwość ułatwiła nam i uprzyjemniła powrotną drogę, a więc w pierwszym rzędzie Signorowi Penalosa i urzędnikom brazylijskiego rządu. Kurtuazja ich oszczędziła nam wielu kłopotów. Następnie Signorowi Pereira, który, uprzedzając nasze życzenia, przygotował nam w Para bieliznę, ubranie i obuwie, dzięki czemu mogliśmy się pokazać w cywilizowanym świecie.

To też przykro mi, że za tyle życzliwości odwzajemniliśmy się naszym gospodarzom i dobroczyńcom stekiem kłamstw, i niniejszem uprzedzam, że ktokolwiek starałby się iść naszym śladem, straci jedynie czas i pieniądze. W opowiadaniach podaliśmy fałszywe nazwy, i jestem przekonany, że żaden z naszych następców nie zdoła trafić nawet do okolic, zbliżonych do Ziemi Maple White'a.

Przypuszczaliśmy, że zainteresowanie, jakie wzbudziła nasza wyprawa jest czysto lokalne, i nie mieliśmy pojęcia, że wieść o naszych przygodach podnieciła ogólną ciekawość w Europie; przekonaliśmy się o tem dopiero wówczas, gdyśmy się znaleźli o pięćset mil od Southamptonu i gdy gazeta za gazetą, ajencja za ajencją poczęły nadsyłać depesze, błagając nas choćby o krótki wywiad i ofiarowując zań wielkie sumy. Postanowiliśmy wszakże, że nie udzielimy żadnych informacji prasie przed porozumieniem się z członkami Instytutu Zoologicznego, od którego, jako delegaci, otrzymaliśmy instrukcje i któremu należało się nasze pierwsze sprawozdanie. To też, chociaż zostaliśmy w Southamptonie całą gromadę reporterów, odmówiliśmy im wszelkich objaśnień, co oczywiście tem silniej skierowało uwagę ogółu na zebranie zapowiedziane przez Instytut Zoologiczny w dniu 7 listopada.

Miało się ono pierwotnie odbyć w lokalu Instytutu, tam gdzie narodził się projekt wyprawy, ale, ze względu na zgłaszające się tłumy publiczności, musiano zmienić salę Instytutu na audytorjum w Queen Hall; okazuje się obecnie, że i ta sala była o wiele za szczupłą.

Zebranie zostało naznaczone na drugi dzień po naszym przybyciu do Londynu; pierwszy bowiem poświęciliśmy osobistym, najbliższym naszym sprawom. O moich wolę na razie nie wspominać; może uczynię to z czasem, gdy będę w stanie myśleć

o nich spokojniej. Zwierzyłem się niegdyś czytelnikom z motywów mojego czynu, to też byłoby słusznem, abym ich wtajemniczył również i w jego następstwa. I zdobędę się na to, ale nie teraz jeszcze.

W każdym razie bez względu na przyczyny mego kroku, bez względu na to, co potem zaszło — pozostanie mi przeświadczenie, że brałem udział w jednej z najciekawszych ekspedycji świata, i mogę jedynie być wdzięczny okolicznościom, które mnie do tego skłoniły.

A teraz zbliżamy się do kulminacyjnego punktu w dziejach naszej wyprawy; właśnie, gdy sobie łamałem głowę, jak go opisać, wzrok mój padł na poranne wydanie mojej „Gazety“, zawierające szczegółowe i doskonale sprawozdanie kolegi Macdona. Nic mi nie pozostaje lepszego jak przepisać to sprawozdanie od nagłówka do zakończenia. Tak więc, posłuchajmy przyjaciela Macdona:

ZAGINIONY ŚWIAT

Wielkie Zebranie w Queen Hall

Wrzawa podniecenie.

Niezwykłe zajście.

Cóż to było?

Pochód na Regent-Street.

(od naszego specjalnego korespondenta).

„Oddawna zapowiedziane i oczekiwane niecierpliwie zebranie Instytutu Zoologicznego, owe zebranie, na którym miano wysłuchać sprawozdania Komisji Inwestycyjnej, wysłanej przed rokiem do Ameryki Południowej, celem zbadania czy, zgod-

nie z twierdzeniem profesora Challengera istnieje tam życie zwierzęce w przedhistorycznej formie, odbyło się wczoraj w wielkiej sali Queen Hall, i śmiem twierdzić, że dzień ten będzie jednym z najdonioślejszych w dziejach Nauki, i pozostanie na zawsze w pamięci tych, co mieli szczęście być świadkami jego niezwykłych zająć (cóż za potwornej długości wstępne zadanie, bracie Macdona!)

Bilety wejścia przeznaczone były jedynie dla członków Instytutu i ich przyjaciół, okazuje się jednak, że ostatnie to określenie jest nader rozciąglę, gdyż na długo przed początkiem zebrania sala Queen Hallu była szczelnie wypakowana. Szerokie warstwy publiczności, zupełnie niesłusznie dotknięte wyłączeniem z zebrania, poczęły szturmować do drzwi sali, wskutek czego wywiązała się formalna bójka; parę osób odniosło szwank, a między nimi inspektor Scoble (Dywizja H), któremu złamano nogę. Wtargnąwszy do sali, publiczność przepelniła wszystkie jej katy, a nawet zajęto łoże prasową; tak że liczba słuchaczy, z niecierpliwością oczekujących przybycia podróżników, dochodziła niemal do pięciu tysięcy.

Przybywszy wreszcie, podróżnicy zajęli miejsce na estradzie, gdzie już poprzednio zgromadzili się przedstawiciele stowarzyszeń naukowych, nie tylko naszych ale francuskich i niemieckich. Szwecję reprezentował profesor zoologii uniwersytetu w Upsala p. Sergius.

Zjawienie się czterech bohaterów dnia, dało hasło burzliwej demonstracji, cała bowiem sala powstawszy z miejsc powitała ich długim, niemilkącym okrzykiem. Bystry jednak obserwator mógłby zauważyć, w tym radosnym nastroju pewien rozdźwięk, wróżący, iż zebranie będzie raczej ożywione niżli zgodne.

Nie warto zatrzymywać się nad opisem wyglądu naszych czterech podróżników, gdyż wszystkie dzienniki pomieściły ich fotografie; zauważę więc tylko, że przejścia i trudy wyprawy nie odbiły się na nich zbyt. Broda profesora Challengera jest może nieco więcej zmięszona, twarz profesora Summerlee przybrała jeszcze bardziej ascetyczny wyraz, postać lorda Roxton wydaje się nieco szczuplejszą, a oblicza ich, w dniu gdy opuszczali stolicę nie były tak opalone, jak są w tej chwili, jednak naogół nie zmienili się wiele. Każdy z nich zdaje się cieszyć wyśmienitem zdrowiem. Co się tyczy naszego przedstawiciela, znanego sportowca, i międzynarodowego futbolisty, p. E. D. Malone, to zmężniały, opalony, spoglądał na publiczność ze zwykłym, pogodnym uśmiechem na swej otwartej, dobronudnej twarzy (no, Mac, czekaj niech ja cię gdzie przyłapię samego!)

Gdy wreszcie cisza zapanowała na sali, i po hałaśliwej owacji zgotowanej przybyłym, publiczność zajęła swoje miejsca, książę Durham, przewodniczący, zagał zebranie.

Oświadczył, iż nie chce zabierać długo głosu, aby nie odwlekać sprawozdania z jakim w imieniu członków wyprawy ma wystąpić profesor Summerlee. Oddawna krążą pogłoski, iż wyprawa ta uwieńczyła się niezwykłym powodzeniem. (oklaski) Będzie to dowodem, że wyobraźnia poety i ścisłe wymogi nauki, nie tylko nie wyłączają się wzajem, ale mogą się nawet spotkać. Chciałby jeszcze wyrazić swoją radość, — którą bezwątpienia podzielają i obecni, — iż podróżnicy powrócili cało i zdrowo z tej niebezpiecznej wyprawy, a nie da się zaprzeczyć, że katastrofa, jakaby ich spotkała, byłaby niepowetowaną stratą dla współczesnej nauki (burzliwe oklaski, w których jak zauważono profesor Challenger wziął żywy udział).

Gdy profesor Summerlee powstał z miejsca, powitano go entuzjastyczną owacją, a w trakcie jego przemówienia zrywały się wielokrotnie burzliwe oklaski.

Mowy profesora nie przytaczamy tutaj „in extenso“, gdyż niebawem ukaże się na łamach naszego pisma szczegółowe sprawozdanie z całej wyprawy, napisane przez naszego specjalnego korespondenta. Zadowolimy się więc narazie kilkoma ogólnymi uwagami.

Profesor Summerlee zagaił swe przemówienie, wyjaśniając cel ekspedycji; poczem dał wyraz uznania dla talentu i zasług swego przyjaciela, profesora Challengeera, przypominając z żalem tę nieufność z jaką przyjęto wieść o jego odkryciu, dziś nie pod-

legającemu żadnym wątpliwościom. Następnie skreślił, w krótkich słowach bieg podróży, nie udzielając wszakże żadnych bliższych wskazówek, co do położenia słynnego płaskowzgorza; opisał drogę wzdłuż głównego koryta rzeki, aż do chwili przybycia do podnóża skał, strzegących nieznaną krainę, mówca dał wstrząsający obraz trudności, jakie zwalczyć musieli podróżnicy aby się do niej dostać, wysiłków, na które się zdobyli, a ofiarą których padli dwaj wierni metysi (profesor Summerlee ukrył prawdę aby nie podnosić na publicznym zebraniu drażliwego tematu). Powiódłszy za sobą słuchaczy w tajemniczą krainę, i uwięziwszy ich w niej na skutek zawalenia się drzewa, które służyło za most, profesor Summerlee ukazał im wszystkie jej czary i okropności. Nie zatrzymując się na osobistych przygodach, rozwiódł się głównie nad bogatym plonem naukowym, zdobytym przez wyprawę w postaci przywiezionych zbiorów oraz obserwacji porobionych nad życiem zwierząt, owadów, ptaków i nad roślinnością płaskowzgorza. W ciągu kilku tygodni zebrano czterdzieści sześć odmian coleoptery i dziewięćdziesiąt cztery lepidoptery. Co do potwornych zwierząt, które w pierwszym rzędzie wzbudzają zainteresowanie ogółu, mówca gotów jest wyliczyć sporą ich listę, i jest przekonany, że lista ta znacznie wzrośnie, gdy płaskowzgorze zostanie bliżej zbadane. On i jego towarzysze widzieli przynajmniej z tuzin stworzeń

(przeważnie zdala) dotychczas najzupełniej nauce nieznanych. Stworzenia te zostaną z czasem zbada-
ne i sklasyfikowane; wspomniał o weżu, którego
ciemno-ponsowa skóra, rozpostarta dochodzi do
pięćdziesięciu jeden stóp długości; następnie o bia-
ławych stworzeniach, należących prawdopodobnie
do rodziny ssaków, a świecących nocą silnym fosfo-
rycznym blaskiem, wreszcie o wielkiej, czarnej ćmie,
której ukąszenie indjanie uważają za niezmiernie
jadowite. Pomijając jednak te zupełnie nieznanne
odmiany, płaskowzgórze obfituje w przedhistoryczne
zwierzęta, należące do gatunków epoki Juraj-
skiej, wśród nich wymienił olbrzymiego stegosau-
rusa, którego p. Malone widział raz przy wodonoju,
a przed nim orlądał i uwiecznił na rysunku, ów
dzielny Amerykanin, pierwszy badacz tej ta-
jemniczej krainy. Opisał również iguanodona
i pterodaktyla — pierwsze stworzenia, jakie na-
potkali. Wstrząsnął nerwami słuchaczy, opisując
drapieżnego dinosaura, najstraszniejszą z napotka-
nych bestji, która niejednokrotnie dała się we znaki
członkom wyprawy, poczem przeszedł do wielkie-
go i krowiożerczego ptaka phororachusa i do olrzy-
miego łosia, żyjącego jeszcze na tem płaskowzórzu.
Ale opowiadanie o centralnem jeziorze, i wszyst-
kich dziwach, jakie w sobie kryło, wzbudziło naj-
żywsze zaciekawienie wśród słuchaczy. Zdawa-
ło się obecnym, że śnią na jawie, gdy mówca, spo-
kojnie i systematycznie wyliczał rybo-jaszczury

i potężne węże, zamieszkujące te zaczarowane wody. Kończąc sprawozdanie profesor Summerlee, opisał indyjskie plemię, żyjące na płaskowzgórzu, oraz zdumiewającą kolonję antropoidalnych małp, stojących o wiele wyżej od „pithecantrypusa“ jawajskiego, i zbliżających się najbardziej do tej hypotetycznej istoty, którą zwiemy „brakującym ogniwem“, wreszcie wśród ogólnej wesołości wspomniał o pomysłowej, lecz nader niebezpiecznej komunikacji lotniczej profesora Challengeera, i w kilku słowach wyjaśnił, w jaki sposób członkowie wyprawy zdołali powrócić do ucywilizowanego świata.

„Sądzono początkowo, że po tej przemowie, zebranie rozejdzie się, uchwalivszy votum uznania i dziękczynienia dla podróżników, zaproponowane przez profesora Sergiusa (delegata uniwersytetu w Upsala), ale rzeczy przybrały niebawem wręcz odmienny obrót. Pewna opozycja dawała się wyczuć w sali od początku zebrania, po zakończeniu zaś przemowy profesora Summerlee, podniósł się z środkowych szeregów krzeseł dr. James Illingworth z Edynburga i spytał, czy nie należy zgłaszać sprostowania przed ostateczną rezolucją?

— Oczywiście — odparł przewodniczący — o ile zachodzi potrzeba sprostowania.

Dr. Illingworth odpowiedział, iż zachodzi.

— W takim razie — rzekł przewodniczący — proszę je zgłosić natychmiast.

Profesor Summerlee, powstając gwałtownie z miejsca, zawołał:

— Książę pozwoli mi zauważyć, iż ten pan jest moim osobistym wrogiem od czasu naszego zatargu w „Kwartalniku Naukowym“, co do istot charakteru „bathybiusa“.

— Przykro mi — odparł przewodniczący — ale nie mogę się wdawać w żadne osobiste względy. Udzielam głosu dr. Illingworth“.

Stronnicy wyprawy zagłuszyli słowa profesora Illingwortha, i starali się nawet zmusić go do milczenia, ale jako człowiek niezwykle okazałej postawy, obdarzony wyjątkową siłą głosu, dr. Illingworth zapanował nad zamieszaniem i zdołał wygłosić swoje przemówienie. Nie podlegało wątpliwości, iż posiadał na sali grono zwolenników, choć stanowili oni mniejszość w zebraniu. Większość publiczności zachowała się neutralnie.

Dr. Illingworth rozpoczął swą przemowę od słów uznania dla naukowej działalności profesorów Challenger'a i Summerlee'a. Ubolewał, iż posadzono go o osobistą niechęć, podczas gdy jego zachowanie się miało na celu wyłącznie dobro nauki, wszak w gruncie rzeczy przypadło mu dziś w udziale to samo stanowisko, jakie na pamiętnym zebraniu Instytutu Zoologicznego zajął względem profesora Challenger'a szanowny kolega Summerlee. Kwestjonował on wówczas pewne twierdzenia profesora Challenger'a; dzisiaj zaś, popierając też same twierdzenia, spodziewa się, iż będą one uznane przez ogół. Czy ma dostateczne po temu podstawy?

(okrzyki „Tak, tak“ i „Nie“ oraz gwałtowna wrzawa, podczas której w loży dziennikarskiej dosłyszano jednak, jak profesor Challenger prosił przewodniczącego o pozwolenie wyrzucenia za drzwi dr. Illingwortha). Dr. Illingworth nie zaprzecza, iż członkowie wyprawy są ludźmi nieposzlakowanej prawości, ale są tylko ludźmi, a natura człowieka jest słabą. Chęć sławy może otumanić nawet uczonych, gdyż wszyscy tak jakśmy lubimy kapać się w świetle. Słynni myśliwi i sportowcy nieraz pragną zaćmić swych rywali, a dziennikarze nie są wrogami przesady, tak więc każdy członek wyprawy miał swoje własne cele w tem, aby rezultaty jej były jaknajbardziej zdumiewające („Hańba!! dość!!”) Mówca nie chce nikogo obrazić („a jednak obrażasz pan“), ale musi zaznaczyć, iż ciekawe opowiadania wygłoszone przed chwilą opierają się na bardzo nikłych dowodach. Co znaczy bowiem parę fotografii w czasach gdy je można fabrykować dowolnie. Cóż pozostaje poza nimi? Historia przeprawy na linie, co uniemożliwiło przywiezienie większych okazów; pomysłów to ale niestety mało przekonujących. Podobno lord Roxton posiada czaszkę phororachusa. Otóż mówca chciałby widzieć tę czaszkę.

(Lord John Roxton — „Jeżeli dobrze rozumiem, ten pan zarzuca mi kłamstwo?“) Wrzawa, krzyki. Przewodniczący: Przywołuję wszystkich do porządku. Panie doktorze Illingworth proszę pana o sformułowanie pańskich zarzutów.

Dr. Illingworth: Miałbym jeszcze wiele do powiedzenia ale poddaję się regulaminowi. Wniosek mój jest następujący: podziękować profesorowi Summerlee za interesujące sprawozdanie, ale uznać jego wiadomości za „niestwierdzone“ i wvznaczyć nową liczniejszą i wiarogodniejszą Komisję Inwestygacyjną“.

Trudno opisać zamieszanie, jakie zapanowało po tych słowach, znaczna część słuchaczy wyraziła swoje oburzenie krzykami „Cofnąć wniosek“. „Wyrzucić gościa za drzwi“, „Wstyd“, podczas gdy inni — a trzeba przyznać, iż było ich wielu — wołali: „Cicho“, „Porządek“, „Ma rację“. W dalszych rzędach wywiązała się bójka między studentami medycyny, którzy stawili się licznie na zebraniu. Jedynie obecność pań powstrzymała oba obozy od większej bijatyki. Nagle jednak wrzawa przycichła, a po chwili zupełnie zamarła: profesor Challenger wszedł na estradę. Powierzchność jego i zachowanie mają w sobie coś onieśmielającego, to też gdy podniósł rękę, dając znak iż chce przemówić, wszyscy umilkli aby go wysłuchać.

— Pozwolę sobie przypomnieć tu obecnym — zaczął profesor Challenger — iż sceny podobne dzisiejszej miały miejsce i na poprzednim zebraniu, na którym danem mi było przemawiać. Wówczas profesor Summerlee stał na czele opozycji, a choć dziś przyznaje się do błędu, jednak faktów niepodobna wykreślać z pamięci. Nie potrzebuje chyba

wspominać, że, aczkolwiek profesor Summerlee, jako nominalny kierownik wyprawy, zabierał głos dzisiaj, jednak istotną duszą całej tej wyprawy byłem ja, i powodzenie jej mnie głównie należy zawdzięczać. Ja to doprowadziłem tych panów do słynnego płaskowzgórza, i ja to, jakieście to już słyszeli, przekonałem ich o swoim odkryciu. Mieliśmy nadzieję, że nikt nie będzie tak ograniczony, aby zaprzeczać prawdzie naszych zgodnych twierdzeń, co do mnie jednak, to nauczony doświadczeniem, zaopatrzyłem się w dowody. Tak jak wspominał profesor Summerlee, nasze aparaty fotograficzne zostały zniszczone, a większość klisz rozbita przez małpoludzi (śmiechy i krzyki „opowiadajcie to innym“). Wspomniałem o małpoludziach i muszę przyznać, że niektóre głosy, które dochodzą teraz moich uszu przywodzą mi żywo na pamięć mój pobyt wśród tych zwierząt (Śmiech). Ocalone klisze osądzili znawcy; po za tem, jakież jeszcze moglibyśmy mieć dowody? Warunki naszej ucieczki uniemożliwiły nam zabranie większego bagażu, udało nam się więc ocalić tylko kolekcję motyli i chrząszczy, zebraną przez profesora Summerlee, a zawierającą wiele nieznanych dotąd okazów. Czy i to nie jest dowodem? (Kilka głosów „Nie, nie“). Kto powiedział „nie“?

Dr. Illingworth (wstając z miejsca) Zdaniem naszym podobną kolekcję zebrać można nieko-

niecznie na przedhistorycznym płaskowzgórzu (oklaski).

Profesor Challenger. — Chylę głowę przed pańską naukową powagą, aczkolwiek przyznaję, że imię pańskie jest mi dość nieznane. Pomijając więc kwestje kolekcji i fotografii, przechodzę do wiadomości, któreśmy przywieźli, a które rzucają światło na zagadnienia dotychczas niewyjaśnione, np. o obyczajach pterodaktyłów (krzyki „błaga“), twierdząc, iż obyczaje pterodaktyłów są nam doskonale znane. Posiadam w portfelu fotografię tych stworzeń, zrobioną z natury i zdolną przekonać...

Dr. Illingworth: Żadna fotografia nas nie przekona.

Profesor Challenger: Chciałby pan może ujrzeć pterodaktyle w naturze?

Dr. Illingworth: Bez wątpienia.

Profesor Challenger: I toby pana przekonało?

Dr. Illingworth (śmiejąc się): Oczywiście.

Wówczas zdarzył się wypadek sensacyjny — tak sensacyjny, iż niemasz równego mu w rocznikach zebrań naukowych. Profesor Challenger dał ręką znak, i natychmiast kolega nasz, p. E. D. Malone podniósł się i zeszedł z estrady; po chwili jednak wrócił w towarzystwie olbrzymiego negra, a obydwoj dźwigali wielką, kwadratową, widocznie bardzo ciężką skrzynię, która postawili przed profesorem Challengerem. Głęboka cisza zapanała na sali; uwaga każdego z obecnych skierowa-

na była na skrzynię. Profesor Challenger uniósł jej wieko i, pochylając się nad nią, kilkakrotnie strzepnął palcami i wyrzekł pieszczotliwie „Chodź, chodź maleńki“. Po chwili obrzydliwe, wstrętne jakieś stworzenie, grzechocząc przeraźliwie wyszło ze skrzyni i usiadło na jej brzegu. Uwaga publiczności była tak napreżoną, iż nikt nie spostrzegł nawet jak książe Durham spadł z estrady. Głowa tego stworzenia przypominała najpotworniejsze chimery, jakie się kiedykolwiek wyległy w wyobraźni średniowiecznego rzeźbiarza. Złośliwa i drapieżna, świeciła dwojgiem oczu, czerwonych jak dwa rozpalone węgle. Podwójny szereg drobnych zębów błyszczał w długim, półotwartym dziobie. Skulone, półokrągłe ramiona przykrywało coś na kształt szarego, zgniecionego szala, całość przypominała upiorną, chorobliwą zjawę manjaka.

Przez chwilę groziła ogólna panika; profesor Challenger podniósł ramiona, aby nakazać milczenie, ale ruch ten spłoszył, siedzące przy nim straszdyło. Szary szal rozwinął się nagle w parę błoniastych skrzydeł; i zanim profesor Challenger zdążył przytrzymać potwora, ten frunął na sale i począł zataczać po niej powoli koła, z suchym chrzęstem swych olbrzymich skrzydeł. Wstrętny zapach zgnilizny rozszedł się wokół; ludzie na galerji, wystraszeni bliskością tych czerwonych oczu i tego straszego dzioba, poczęli krzyczeć przeraźliwie, temwięcej płosząc dziwnego gościa. Coraz

żywsze i żywsze zataczał on koła. uderzając się o ściany i lampy.

— Okna! Na miłość Boska, zamknąć okna! — krzyczał z estrady profesor Challenger, miotając się rozpaczliwie i łamiąc ręce.

Było już jednak zapóźno; straszne stworzenie tłukąc się o ściany, jak potworna, niepojętej wielkości ćma, już zbliżyło się do okna, cisnęło się w jego otwór i — uleciało. Na ten widok profesor Challenger padł w fotel i zakrył twarz rekoma, ale zebrani, widząc że niebezpieczeństwo minęło, wydali westchnienie głębokiej ulgi.

Wówczas — doprawdy trudno opisać ten zapał, w którym niedawni przeciwnicy wyprawy łącząc się z jej stronnikami, z jednozgodnym okrzykiem entuzjazmu, jak wezbrana fala popłynęli po sali i łamiąc krzesła, pulpity orkiestry, zaleli estradę i umieśli ze sobą czterech bohaterów. Poprzednie niedowierzanie zostało sownie wynagrodzone; wszyscy, co do jednego byli na nogach, wszyscy krzyczeli i gestykulowali radośnie i wszyscy tłumem otaczali podróżników.

— W górę ich, w górę! wolano i, mimo oporu, czterej bohaterowie zostali podniesieni w górę przez setki rąk. Tłum stał się tak zwarty, że trudno by już było postawić ich z powrotem na ziemi.

— Na Regent street, na Regent street! krzyczano wokół.

Przez chwilę zakotłowało się w ciżbie, poczem wartki prąd ludzi popłynął na ulicę, niosąc czterech

podróżników. Ale przed drzwiami Queen's Hall czekał niezmierny tłum, który zlawszy się z pierwszym, utworzył morze głów. Był to widok niezwykle. Burza oklasków powitała zjawienie się podróżników; w mgnieniu oka utworzono karny, olbrzymi pochód, który ciągnął się aż do Picadilly. Wstrzymano cały ruch uliczny, co dało powód szeregowi zejść między policją i szoferami z jednej strony, a uczestnikami pochodu z drugiej strony. Było już dobrze po północy, gdy rozentuzjazmowana publiczność uwolniła czterech bohaterów ze swych uścisków, odniósłszy ich do mieszkania lorda Roxtona, przy ulcy Albany, poczem śpiewając „God Save the King“ rozeszła się do domów. Tak zakończył się ten wieczór, najciekawszy, jaki oddawna widziano w Londynie“.

Tyle powiedział mój kolega Macdona. może nieco zbyt kwiecicie, ale zgodnie z prawdą. Co do pterodaktyla to pojawienie się jego, tak nieoczekiwane dla publiczności, nie było niespodzianką dla nas. Wspomniałem już poprzednio, że spotkałem raz lorda Johna, gdy osłonięty swym dziwnym przyrządem, szedł, aby złapać „piskle“ dla Challengera. Napomknąłem również o trudnościach, jakie nam sprawiał bagaż profesora, a gdybym był zatrzymał się na opisie naszej podróży powrotnej, niejedno miałbym do opowiedzenia o kłopotach z jakimiśmy się borykali, by zaspokoić apetyt naszego wychowanka, żywiącego się zgniecionymi rybami.

Dotykałem tego tematu jedynie mimochodem, gdyż profesor Challenger pragnął zachować tajemnicę co do istnienia owego żywego „dowodu“, aż do chwili, gdy zajdzie potrzeba przeciwstawienia zarzutom swych wrogów.

Kilka słów jeszcze co do dalszych losów naszego pterodaktyla; niestety niema pod tym względem żadnych pewnych wiadomości. Dwie śmiertelnie wystraszone kobiety twierdzą, iż widziały go na dachu Queen's Hallu, gdzie siedział przez kilka godzin, jak djabełny jakiś posąg. Następnego zaś dnia wieczorne gazety umieściły notatkę, iż szeregowiec Miles został oddany pod sąd wojenny za samowolne opuszczenie posterunku przed pałacem Malborough. Szeregowiec Miles przytoczył na swoją obronę, iż przeraził się i począł uciekać, ujrawszy między sobą a dyskiem księżyca lecącego diabła. Tłumaczenie to sąd uznał za bezsensowne, choć mogło ono rzucić nieco światła na interesującą nas sprawę. Ostatnią wiadomością, jaka mnie doszła o pterodaktylu, było opowiadanie załogi parowca „Friessland“ kursującego między Ameryką a Danją; mianowicie znajdując się o jakie dziesięć mil od portu, załoga ujrzała na horyzoncie coś pośredniego między latającym kozłem a potwornej wielkości nietoperzem, co sunęło z wielką szybkością w kierunku południowo-zachodnim. Jeżeli więc instynkt prowadził go istotnie w stronę rodzinnego gniazda, ostatni europejski pterodaktyl musiał zginąć w wielkich przestrzeniach Atlantyku.

A Gladys — moja Gladys! — Gladys, władczyni czarownego jeziora, które przezwane teraz zostanie na Centralne, nie chcę bowiem, aby to niegdyś drogie imię, zostało unieśmiertelnione przez ziemię. Czyż nie wyczuwałem w niej zawsze jakiejś nuty bezwzględnego egoizmu? Czyżbym nawet wówczas, gdy ulegałem jej życzeniom, nie zdawał sobie sprawy, że lichą jest ta miłość, co z lekkim sercem naraża ukochanego na niebezpieczeństwa, a nawet na śmierć? Czyżbym w chwilach, gdy jej uroda nie przesłaniała trafności mego sądu, nie dostrzegał, że serce jej jest chłodne i samolubne? A jej dążenie do sławy czyż, zamiast wypływać z wzniosłych pobudek, nie było tylko niską chęcią osiągnięcia bez wysiłków i bez poświęceń, tego, co mogło dać jej najwięcej korzyści? A może dziś dopiero, nauczony gorzkim doświadczeniem, poznałem prawdę?

Bądź co bądź zadała mi cięś straszny; niewiele brakowało, abym zwątpił o wszystkim na świecie. Dziś jednak, gdy to piszę, tydzień ubiegł od naszego spotkania, a wczorajsza rozmowa z lordem Roxtonem natchnęła mnie nieco lepszą myślą.

W kilku słowach opowiem co zaszło; w Southampton nie zastałem ani listu, ani depešy, to też stanawszy wreszcie, około dziesiątej wieczór przed willą w Streetham, drżałem z niepokoju. Czy, aby nie umarła? Gdzie było to wszystko, o czem tykrotnie marzyłem: wyciągnięte ku mnie ramiona

Gladys, jej uśmiech radości, słowa zachwytu, jakim wierzyłem, iż powita człowieka, co dla zadowolenia jej kaprysu, narażał życie? Stracony z obłoków, stapałem już po ziemi, jednak chciałem ludzić się jeszcze. Przebiegłem ogród, zapukałem do drzwi mieszkania, skąd dobiegał mnie głos Gladys, i odsunawszy zdumioną służącą, wpadłem do saloniku.

Gladys siedziała w cieniu stojącej lampy, na niskim szeszlonzku, obok pianina; w trzech susach byłem obok niej i pochwyliłem jej rece.

— Gladys! — zawołałem — moja Gladys!

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Jakaś zmiana zaszła w jej twarzy; wyraz jej oczu, chłodne spojrzenie, lekki grymas ust — były mi obce. Wsunęła ręce z mojego uścisku.

— Co to wszystko znaczy? — rzekła.

— Gladys! — zawołałem — co tobie? Czyż nie jesteś moją, moją dawną Gladys?

— Nie — odparła — dzisiaj jestem Gladys Potts. Pozwoli pan, że go przedstawię mojemu mężowi.

Jakże śmiesznem bywa życie! Oto niewielki, brunatno-włosy osobnik, wygodnie zagłębiony w fotelu, przeznaczonym niegdyś dla mego wyłącznego użytku, ścisnął machinalnie moja dłoń i obydwaj uśmiechaliśmy się z przymusem.

— Mieszkamy chwilowo u ojca — wyjaśniała Gladys — nasz dom jeszcze nie jest urządzony.

— Ach, tak — szepnąłem.

— Nie otrzymał pan w Para mojego listu?

— Nie, nie otrzymałem żadnego listu.

— Co za szkoda! Byłoby to wyjaśniło sytuację.

— Sytuacja jest zupełnie jasna — rzekłem.

— Opowiedziałam Williamowi wszystko o naszych stosunkach — ciągnęła dalej Gladys — wogóle mój mąż i ja nie mamy przed sobą tajemnic. Doprawdy przykro mi bardzo ze względu na pana, ale uczucie pańskie nie mogło być zbyt głębokiem, skoro odjechał pan z lekkim sercem, zostawiając mnie samą, nieprawdaż? Nie ma pan chyba żalu do mnie?

— Bynajmniej. Muszę już iść.

— Niech pan coś przekasi — zaproponował brunatno-włosy jegomość i dodał poufnie — tak to się zwykle kończy. Ba, i nie może być inaczej, chyba żeby wprowadzono poligamię, tylko z tamtej strony.

Zaśmiał się idjotycznie, a ja odwróciłem się ku wyjściu.

Otworzyłem już drzwi, gdy nagle myśl błysnęła mi w głowie; podeszłem do mego szczęśliwego rywala, który rzucił niespokojne weirzenie na dzwonek elektryczny.

— Czy nie zechciałby mi pan odpowiedzieć na jedno pytanie? — rzekłem.

— Owszem, o ile będę w stanie — odparł.

— W jaki sposób zdobył ją pan? Czy odnalazł pan ukryty skarb, czy odkrył biegun północny,

może przeleciał pan kanał? Czem się pan odznaczył?

Spojrzał na mnie z wyrazem osłupienia na swej dobrodusznej, tepej, zmęczonej twarzy.

— Zdaje mi się — rzekł — iż jest to pytanie natury zbyt osobistej.

— W takim razie — rzekłem — niech mi pan powie tylko czem pan jest? Jaki jest pański zawód?

— Jestem dependentem — odparł — drugim dependentem w kancelarji adwokackiej Johnson i Merivale, 41, Chancery Lane.

— Dobranoc państwu! — zawołałem i znikłem w mrokach nocy, jak znikają wszyscy nieszczęśliwi kochankowie, a serce moje wrzało bólem, gniewem i szyderstwem.

Jeszcze jedna mała scenka na zakończenie.

Wczoraj wieczorem byłem zaproszony do lorda Johna wraz z obydwoma profesorami. Po kolacji, pałac, rozmawialiśmy o wspólnych przygodach. Dobrze znajome twarze moich towarzyszy tak mi się wydały dziwne w tem odmiennem otoczeniu. Oto mam przed sobą Challengera, z jego pobłażliwym uśmiechem, ciężkimi powiekami, zuchwałem spojrzeniem, i brodą agresywnie rozwianą na potężnej piersi, — jak sapiąc niecierpliwie wykladał profesorowi Summerlee swe teorie. A oto Summerlee, jak z nieodstępna fajeczka, sterczącą między rzadkim wąsem, a szpakowatą koźlą bródką, i z wypiekami na chudej twarzy, zbija twierdzenia

Challengera. Otóż wreszcie i nasz gospodarz, z tem orlem, suchem obliczem, z niebieskimi oczyma, zinnemi jak dwa lodowce, oczyma na dnie których tań się coś groźnego i żartobliwego zarazem.

Takimi pozostaną na zawsze w mej pamięci.

Już po kolacji, w swoim specjalnem sanktuarjum, zalanem falą łagodnego światła, ozdobionem niezliczonemi trofeami — lord John zakomunikował nam wielką nowinę. Wyjął z szuflady stare pudełko od cygar i postawił przed sobą na stole.

— Być może — zaczął — iż powinienem był powiedzieć wam wcześniej to co mówię dzisiaj, ale nie byłem pewien czy nie wprowadzę was w błąd, a nie chciałem wzbudzać w was próżnych nadziei. Dzisiaj jednak gdy się ziściły moją już przemówić. Czy pamiętacie owo gniazdo pterodaktyli wśród trzęsawiska? Otóż zabarwienie gruntu uderzyło mnie wówczas; ponieważ nie zwróciliście na nie prawdopodobnie uwagi więc powiem wam, że był to krater wulkanu o pokładach niebieskawej gliny.

Obydwaj profesorowie skinęli potakująco głowami.

— Raz tylko jeden w życiu widziałem błękitną glinę wśród formacji wulkanicznej, a było to w wielkiej kopalni djamentu w Kimberley. Nie więc dziwnego, że nabiłem sobie głowę djamentami i, skonstruowawszy przyrząd ochronny, na wypadek zatargu z pterodaktylami, spędziłem w ich sąsiedztwie nader miły dzionek. Oto jego plony.

Otworzył pudełko od cygar i wysypał na stół około trzydziestu kamieni, których wielkość wahała się między ziarnkiem grochu a orzechem.

— Mnie należało wtajemniczyć was wówczas w całą sprawę, ale wiem, że djamenty są dla laika zawsze jakimś nieznanem „x“, gdyż wartość, ich bez względu na rozmiar zależy od koloru i czystości wody. Dlatego, nic nie wspominając nikomu, zabrałem je z sobą i zaraz po powrocie do Londynu kazałem je ocenić i zlekka oszlifować“.

Wyjął z kieszeni małeńkie tekturowe pudełeczko i wytrząsnął zeń na stół wspaniały brylant, jeden z największych jakie w mem życiu widziałem.

— Otóż wyniki — rzekł — jubiler oceniła te djamenty, przynajmniej na dwieście tysięcy funtów. Oczywiście dzielimy tę sumę na cztery równe części. Nie chcę słyszeć żadnych protestów. No a teraz, profesorze — zwrócił się do Challengera — niech mi pan powie, co pan pocznie ze swemi pieniędzmi?

— Jeśli istotnie, milordzie, upiera się pan przy tak wspaniałomyślnym podziale — odparł Challenger — to ufunduję prywatne muzeum, co jest od dawna mojem marzeniem.

— A pan, Summerlee?

— Co do mnie usunę się z profesury, co mi da możność zakończyć klasyfikację skamieniałości pokładów kredowych.

— Ja zaś — rzekł lord John — zorganizuję no-

wą ekspedycję i raz jeszcze odwiedzę kochane płaskowzgórze. Co się tyczy pana, młodzieńcze, to oczywiście zacznie się pan szykować do ślubu?

— Nie, — rzekłem, uśmiechając się z przymusem — natomiast, jeśli się pan zgodzi, pojedzie z panem.

Lord Roxton nie odpowiedział ani słowa, ale po przez stół wyciągnął ku mnie opalona dłoń.

KONIEC.

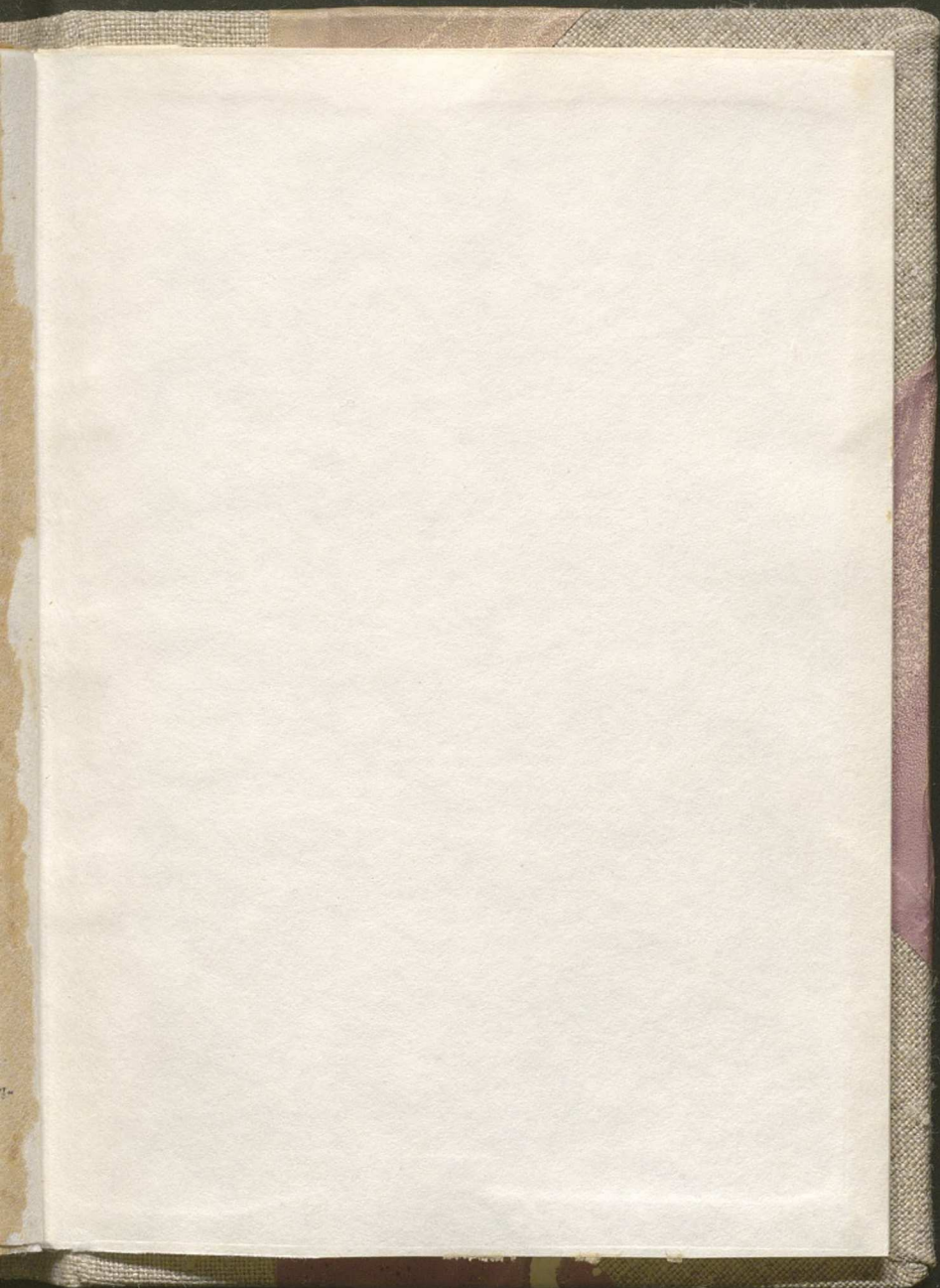


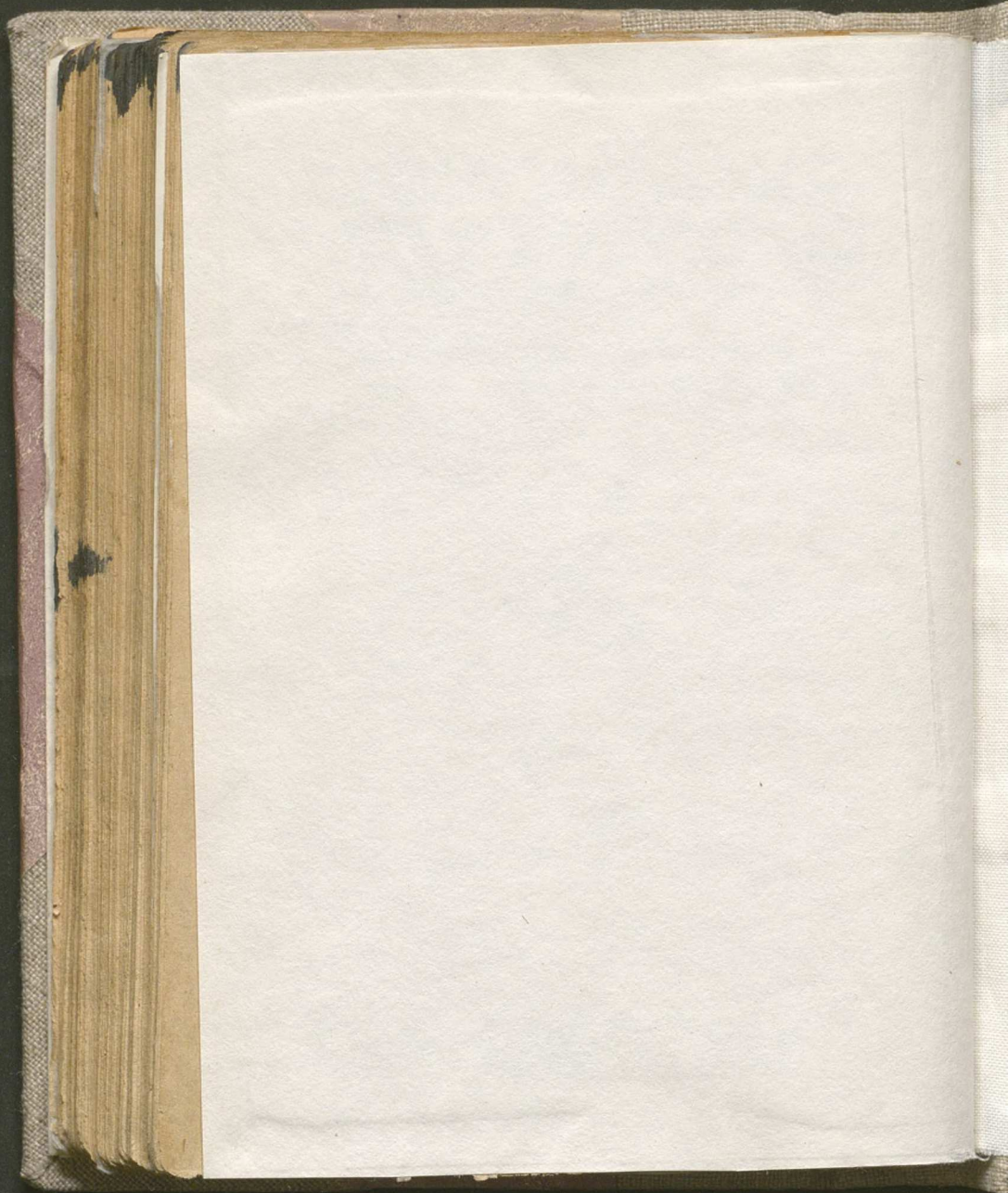
T. Szonchur

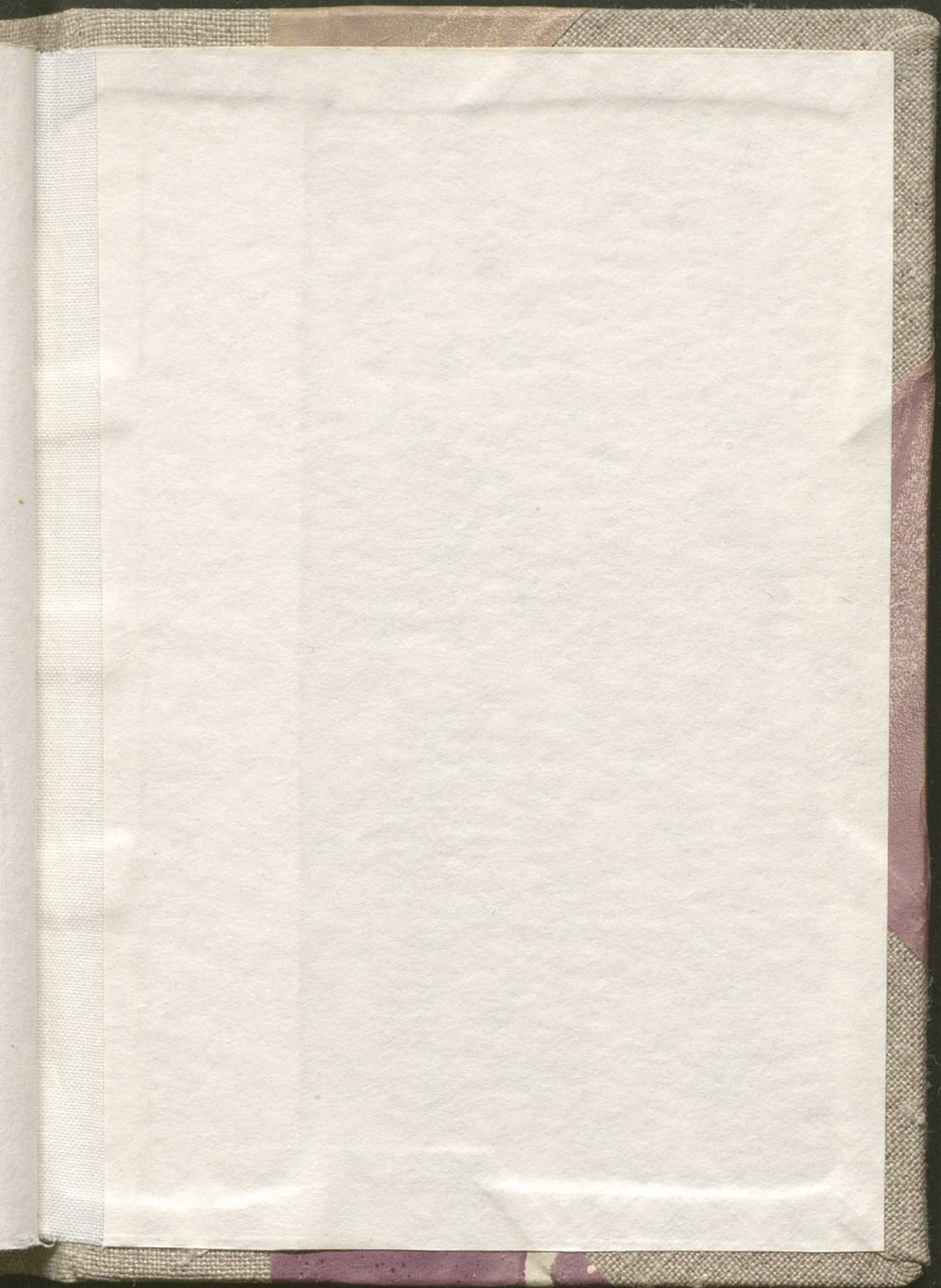
10. XII. 62r.

25.-

Łaskawy Czytelniku, jeżeli chcesz się jeszcze spotkać z sympatycznym prof. Challengerem, to przeczytaj powieść:
Conan Doyle, Świat w letargu.









292750

t. 1-2